

The background of the cover is a vibrant, painterly illustration of a forest. The trees are rendered in shades of green and yellow, with a soft, glowing light filtering through the canopy. The overall atmosphere is magical and ethereal. In the center, a dark silhouette of a woman stands with her back to the viewer, looking out over the forest. The title 'MIASTOWA NA TROPIE' is overlaid on the silhouette in a large, bold, orange font.

MIASTOWA NA TROPIE

Anna M. Brengos

Anna M. Brengos

MIASTOWA NA TROPIE



Radom 2022

Spis treści

Karta redakcyjna

MIASTOWA NA TROPIE

Epilog

Podziękowania

Copyright © Anna M. Brengos
Copyright © 2021 by Lucky

Projekt okładki: *Ilona Gostyrńska-Rymkiewicz*

Autor widoku w tle okładki: *grandfailure (stock.adobe.com)*

Skład i łamanie: *Mariusz Dański*

Redakcja i korekta: *Halina Bogusz*

Wydanie I
Radom 2022

ISBN 978-83-67184-64-9

Wydawnictwo Lucky
ul. Żeromskiego 33
26-600 Radom

Dystrybucja:
tel. 501 50 2519
48 363 83 54

e-mail: kontakt@wydawnictwolucky.pl
www.wydawnictwolucky.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Weronika obiecała sobie, że od tej pory będzie szczęśliwa. Tak szczęśliwa, że bardziej się nie da. Choćby miała sobie to szczęście wyryć szczyrykiem, żeby było widoczne i trwałe. Tak, żeby aż bolało. Żeby ten dupek dowiedział się o tym szczęściu i żeby na samą myśl o nim poogryzał wszystkie paznokcie wypielegnowane przez stado manikiurzystek. I żeby mu te wybielane zęby z zazdrości powypadały.

Dupek.

Dupek, dupek, dupek!!!

Nie, nie będzie już o nim myślała. Teraz wszystkie myśli skieruje na szczęście, które gdzieś za zakrętem na nią czeka.

Niestety, za zakrętem czekała policja i zatrzymana przez nią ciężarówka. Weronika, niesiona marzeniami o świetlanej przyszłości, prowadząc swoją kię picanto z brawurą na granicy ryzyka, z piskiem opon wyhamowała tuż przed zderzakiem radiowozu. Samochodem aż zarzuciło, ale wyszedł z tego bez szwanku.

– Dokąd to pani się tak spieszy? – zainteresował się jeden ze stróżów prawa. Drugi spisywał dane kierowcy ciężarówki. – Życie pani niemiłe?

– Zgadł pan – odburknęła, próbując ochłonąć z grozy, jaką właśnie przeżyła za kierownicą.

Gdyby jechała trochę szybciej, gdyby hamulce nie miały świeżo wymienionych klocków, gdyby czas reakcji przy hamowaniu był chociaż odrobinę wydłużony... Gdyby... Nie miałyby szansy zrealizować swojego idealnego planu bycia szczęśliwą na złość dupkowi.

– Proszę sobie wybrać jakiś mniej spektakularny sposób pożegnania się ze światem niż szarżowanie po drogach. Mało brakowało, a rozbiłaby pani samochód.

– Ale ocalał – mruknęła pod nosem.

– A gdyby w tym miejscu stała wycieczka przedszkolaków? – drażył.

– Ale nie stała.

– Czyli ma pani szczęście. Dokumenty proszę. – Jego mina nie wróżyła milego dalszego ciągu pogawędki.

Weronika sięgnęła po prawo jazdy.

– Hmm... widzę, że pani z daleka – zauważył.

– Właściwie teraz już chyba mogę powiedzieć, że stąd.

– Czyli? – dociekał.

– Właśnie się tu przeprowadzam. Widzi pan, wiozę całe gospodarstwo.

Nie da się ukryć. Malutki miejski samochodzik zawalony był pod sufit bambetlami. Była wśród nich walizka wielka jak sam samochód, wypchane torby turystyczne, tłumok bodaj pościeli, a na przednim siedzeniu i pod nim kartony, paczki i reklamówki.

– I dokąd to pani wiezie?

– Do Powykopek. Będę tam mieszkać.

Posterunkowy Majewski spojrział na Weronikę, ważąc w myślach możliwość wystawienia jej mandatu. Młoda, ale nie smarkata. Blondynka, ale raczej nie głupia. Dobrze ubrana. Starannie, ale nieprzesadnie umalowana. Wyszczekana, pewnie świadoma swoich praw. Nie da się nabrać. Miastowa. Nie miał dowodu na przekroczenie prędkości, bo jej nie zmierzył. Bagaze owszem, wypełniają całe wnętrze, ale nie zasłaniają widoczności (toć ma lusterka zewnętrzne) i nie są na tyle ciężkie, żeby przekroczyły dopuszczalną masę całkowitą samochodu. I tak go nie zważy. Zarzut niebezpiecznej jazdy może się obrócić przeciwko patrolowi. Bania przedobrzył. Gruby partner posterunkowego aspirant Zygmunt Kornacki, zwany przez kolegów Banią, zdecydował, że zasadzą się na tych, którzy nonsza-

lancko jadą szosą wiodącą pomiędzy polami kukurydzy i nie spodziewają się patrolu właśnie tu. Celowo, wręcz z premedytacją, starali się jak najczęściej zmieniać miejsca zasadzek. Była niedziela, więc o kierowców na podwójnym gazie nietrudno w okolicy. Można było zarobić dla starostwa, a może nawet i dla siebie. Ale stojąc za zakrętem, sami prowokowali niebezpieczeństwo. Mogło się to źle skończyć i ta babka o tym wiedziała. Oddała jej dokument.

– Proszę jechać ostrożnie – przestrzegł na do widzenia.

Weronika schowała prawko i włączyła się do ruchu, omijając zawalidrogę.

Słońce świeciło, ptaszki śpiewały, ruch był niewielki, więc trasa mijala jej bardzo przyjemnie. Co prawda gdzieś na horyzoncie niebo pociemniało, ale kto by się tym przejmował.

Pełna dobrych myśli skręciła wreszcie w drogę prowadzącą do znajomej wsi.

Coś z tą drogą jednak okazało się nie tak. Po kilkudziesięciu metrach asfalt się skończył. W oddali widać było znane zabudowania, przede wszystkim charakterystyczną, jakby trochę koślawą bryłę kościoła. Znała ten widok z dzieciństwa, kiedy przyjeżdżała na święta i wakacje. Ale nie pamiętała, by droga była piaszczysta, w dodatku z porośniętą trawą przyzmał pośrodku. Dawniej dostawali się do babci po asfalcie. Zwinęli go? W końcu machnęła na to ręką. Kierunek się zgadzał, więc jechała dalej. Do czasu, gdy w miękkim podłożu zapadły jej się koła. Spróbowała kilku manewrów, by się wydostać, ale tylko głębiej zakopywała się w piach. Koła buksowały. Nie pomogło cofanie, a sprawę pogarszało obciążenie wozu bagażem. Wrzuciła luz i wysiadła, usiłując wypchnąć samochód z pułapki. Jak łatwo się domyślić, nie miała na to dość siły.

– Kurdesz, nieźle się zaczyna. – Z bezsilności kopnęła oponę. – Ja tu miałam być szczęśliwa. Ponoć – zlorzeczyła.

Zaczęła się zastanawiać, jak wybrnąć z sytuacji. Przydałby się drugi samochód albo traktor, który by ją wyciągnął z piaskownicy. Albo jakiś rycerz na białym koniu. Okej, niechby nawet jabłkowitym, mniejsza o maść. Ważne, żeby pociągowy i żeby się dał zaprzęgnąć do „kijanki”.

Kątem oka zauważyła, że z lasu wynurzyła się jakaś postać. Na drogę kilkadziesiąt metrów od niej wyszedł mężczyzna. Był wysoki i dobrze zbudowany, a cała jego postawa miała w sobie jakąś tajemniczość. Szedł zgarbiony, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Z daleka było widać, że jego twarz pokrywa potężny zarost. Gdy mu się lepiej przyjrzała, zauważyła, że w rękę niesie kwiat. Pasował do niego jak kabaretki do walonek i w najmniejszym stopniu nie łagodził ogólnego wrażenia mroczności. Na wszelki wypadek Weronika wsiadła do auta. Chętnie zablokowałaby drzwi, ale zimą zamek zamarzył i Dupex tak się z nim szamotał, że ułamał guzik blokady.

Gdy mężczyzna z lasu zbliżył się do niej, zwoleń, a potem przystanął. Obrzucił wzrokiem samochód, spojrzął na kierowcę i na ładunek.

– Ech, ci miastowi – mruknął pod nosem. – Wsiądź – polecił i delikatnie odłożył kwiat w trawę.

Ani myślała wysiadać. W końcu nie wiadomo, co taki mruk może zrobić samotnej kobiecie na środku drogi między polem jakichś zielonych liści a lasem.

Podszedł od strony kierowcy i otworzył drzwi.

– No, wysiadaj, chyba że chcesz nocować w tych burakach.

A więc to, co tu obok rośnie, to buraki – skonstatowała. Obawiała się, że ten gbur może użyć siły i będzie bolało, więc wyszła po dobroci. Nieznajomy zdecydowanym ruchem odsunął ją od wozu, schylił się pod kierownicę i wyjął chodniczek. Potem obszedł samochód z drugiej strony, by dostać się do drugiego.

Podłożył chodniki pod przednie koła.

– Wsiadaj – mruknął.

Posłusznie zajęła miejsce kierowcy.

– Teraz spróbuj ruszyć z dwójki. Delikatnie. – Przeszedł na tył samochodu, by go wypchnąć. – Tylko powoli! – krzyknął.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła drugi bieg i ostrożnie puściła sprzęgło. Koła najechały na podłoże z dywaników i wytoczyły się z wyrobionego zagłębienia. Samochód był uwolniony. Przez chwilę zastanawiała się, czy porzucić w cholere chodniczki i uciec temu gburowatemu wielkoludowi, żeby ratować życie, ale w końcu stwierdziła, że chyba jednak nic jej nie grozi. Zatrzymała się kilka metrów dalej i wróciła po swoją własność.

– Dziękuję – rzuciła nieznajomemu, złapała chodniczki i nie bacząc, gdzie je rzuca, siadła za kierownicę.

– Jedź bokiem – usłyszała.

– Jakie bokiem? – Zdążyło jej przejść przez myśl. – Można jechać przodem albo tyłem. Nie słyszała o jeździe bokiem. Nie jej samochodem. On takich akrobacji nie potrafi.

– Bokiem albo zawiśniesz. – Zabrzmiało to jak groźba.

Wreszcie do niej dotarło, że ma jechać skrajem drogi, więc zgodnie z sugestią ruszyła, by jak najszybciej oddalić się od burkliwego wybawcy. To się nazywa ambiwalencja: najpierw pomaga jej wydość się z kłopotów, a potem grozi powieszeniem za jazdę środkiem duktu. Jeśli tak ma wyglądać szczęście, na które tak liczyła, to strach pomyśleć, co będzie dalej.

We wstecznym lusterku zobaczyła, że mężczyzna zabrał kwiat i wolnym krokiem, wciąż zgarbiony, jakby niósł w sobie jakiś wielki ciężar, podążał w przeciwnym niż ona kierunku.

Chmury znad horyzontu przesunęły się w stronę wsi i zakryły znaczną część nieba.

Weronika dojrzała do pierwszych zabudowań, gdzie droga gruntowa łączyła się z asfaltówką. Ach, więc to stamtąd powinna była przyjechać! Przystanęła niezdecydowana, zastanawiając się, gdzie się najpierw skierować. W podjęciu decyzji pomógł jej kierowca czarnej wielkiej toyoty, który przy pomocy klaksonu zażądał zjechania ze środka. Spojrzała na niego złym okiem, nastawiona na konfrontację, ale on uzyskawszy odrobinę przestrzeni, zgrabnie ją ominął i podziękował uśmiechem za zrobienie miejsca. Czyli dalej co? I tak nie miała kluczy, więc nie wejdzie do domu. Oznacza to, że najpierw musi podjechać do Zyty. To ten dom z pomalowanym na zielono gankiem i bielizną suszącą się na sznurach rozpiętych między drzewami owocowymi.

– No nareszcie!!! – powitała ją kuzynka od progu. – Spodziewaliśmy się ciebie już wczoraj.

– Mówiłam, że będę w weekend.

– No. Sobota toż przecież weekend. – Zorientowała się jednak, że niepotrzebnie robi wymówki. – Najważniejsze, że dojechałaś cała i zdrowa. Czy możemy się uściskać?

Weronika pozwoliła zamknąć się w niedźwiedzich objęciach, w czym przeszkadzał ciężowy brzuch Zyty.

– Wpadłam tylko po klucze – wyjaśniła.

– Zaraz ich poszukam, ale przecież tak od razu cię nie wypuszczę. Wypijesz kaweczkę? A może jesteś głodna? Tyle kilometrów...

– Jadłam po drodze. Zatrzymałam się na trasie w McDonalddie – wyjaśniła Werka.

– Czyli marnie było. Świństwa jakies – gospodyni machnęła ręką lekceważąco. – Ja tu mam gołąbki. Zjesz?

Gołąbki Weronika bardzo lubiła, ale takie, jakie robiła babcia. Ponieważ to dość pracochłonne danie, więc sama nigdy nie zaryzykowała wykonania ich własnymi rękoma, a te, które czasami kupowała w garmazerii, były obrzydliwe. Składały się głównie z ryżu, do którego wmieszano jakiś łój. Obawiała się, że za chwilę dostanie podobne. Zatem gdy przed nią na stole pojawił się talerz, najpierw przyjrzała im się podejrzliwie, później chwyciła widelec i odskuwała niewielką porcyjkę.

– Ukroję ci do nich chleba, bo ziemniaki wyrzuciłam kurom.

– Hmm... Dobreee – zasłużenie pochwaliła Werka.

– Ścisłe według przepisu naszej babci. Bez kopru, bo zabija cały smak potrawy, za to z koperkiem.

– Jak to: „naszej babci”? – pomyślała Wera.

Babcię Gosię uważała jedynie za swoją. A tu okazuje się, że ktoś jeszcze uzurpuje sobie do niej prawo i okrada ją, Werkę, z rodzowego dziedzictwa w postaci przepisu na gołąbki. Zazdrość jednak nie odebrała jej poczucia sprawiedliwości. Danie było wysmienite i naprawdę zasługiwało na aprobatę.

– Pycha! – powtórzyła, wycierając chlebem resztki sosu.

– To teraz herbatka. – Zyta nie czekała na potwierdzenie, tylko złapała czajnik, sprawdziła, czy jest w im odpowiednia ilość wody i podłączyła do prądu.

– Ja też się z tobą napiję. Co wolisz? – Zaprezentowała w jednej dłoni słoik rozpuszczalnego Jacobsa, w drugiej pudełko Liptona.

– Kawę poproszę. Mam nadzieję, że mnie postawi na nogi. Przede mną jeszcze rozpakowanie gratów, a jestem już padnięta po tej jeździe. W końcu to pół Polski.

– No. Daleko miałaś – przyznała kuzynka.

– Na autostradzie to tylko bzyyyyk i poszło. Dopiero bliżej celu miałam przygody.

– Ale nic złego? – zaniepokoiła się Zyta.

– Spoko, nic się nie stało, w każdym razie nikt nie ucierpiał. Najpierw zatrzymała mnie policja, a później zakopałam się w piachu, ale to już tu na ostatniej prostej.

– Pewnie za wcześnie skręciłaś – domyśliła się kuzynka. – Gościom tak się zdarza. Tą piaskową miedzą jeżdżą głównie traktory. Ziębicki, chcąc się w starostwie podlizać, żeby mu szybciej wydali koncesję na alkohol, bo trzy nowe karczmy otworzył, wylał kawałek asfaltu, żeby nie wyjeżdżać z błotem z pola na główną drogę. Najważniejsze, że jakoś się przedarłaś przez te wyboje.

– Pomógł mi jakiś dziwny facet.

– Dziwny? Jak wyglądał? – Zyta rozważała, kto to mógłby być.

– Wielki, zwalisty, z brodą. Mina taka ponura, jak u jakiegoś zbira, za to w ręku kwiatek.

– Pewnie Marek – domyśliła się dziewczyna. – Straszna tragedia. Dziś niedziela, to chyba szedł na cmentarz. Co tydzień tam chodzi.

– Opowiesz mi?

Zamiast odpowiedzieć, Zyta spojrzała w okno.

– Ależ się ciemno zrobiło! – zauważyła. – Zaraz będzie padać... Rany boskie! – Zerwała się ze stołka, na którym przysiadła, czekając, aż się woda zagotuje.

– Co się stało? – Werka przestraszyła się nie na żarty.

– Pranie muszę zdjąć. Zaraz lunie. – Wybiegła na zewnątrz, zostawiając oszłomionego gościa.

Weronika rozglądała się po pomieszczeniu. Rozległa kuchnia z dużym oknem, na parapecie doniczki geranium. Jasna gładzura na ścianie, sprane, ale czyściutkie ściereczki do naczyń, lekko wytarty drewniany blat, standardowe jasne szafki. Schludnie, prosto, ale przytulnie.

– Ledwie zdążyłam – sapiała Zyta, stawiając w kącie koszyk z zebraną bielizną. – Już zaczyna kropić.

– Z tego otumanienia drogą nawet nie zareagowałam. Powinnam ci pomóc z tym praniem – sumitowała się Werka.

– Daj spokój, przecież nie jestem niedołązna, poradziłam sobie. Jeszcze kawki?

– Chyba powinnam ruszać. Nie chciałabym nosić gratów w deszczu – Weronika zbierała się do wyjścia. – Bardzo ci dziękuję za kolację i zapraszam, jak tylko się urzędzę.

– Pewnie trochę potrwa, zanim poczujesz się u siebie, i na początku będziesz miała tam kłopoty. To stary dom, chociaż wyremontowany. I do tego od dawna niezamieszkały. Nie spieszyła się z przyjazdem. – W jej głosie wyczuć można było lekką przyganę. – Tylko z resztą spadku proszę cię, żebyś chwilę zaczekała. Ale w razie czego zapraszamy, wal jak w dym. Mój mąż co prawda nie ma za dużo czasu, rozumiesz, przepisy go dobijają, ale dla rodziny chwilkę znajdzie, jeśli będzie trzeba... No to niech ci się dobrze mieszka. – Zyta ucisnęła Weronikę i wręczyła jej pęk kluczy wielki jak dla świętego Piotra.

Jeszcze raz się uściślały, Weronika wrzuciła klucze do torebki i ruszyła do auta. Deszcz właśnie rósł w siłę. Skuliła ramiona i zmarszczyła nos, jakby to miało ją uchronić przed kroplami. Ledwie znalazła się we wnętrzu samochodu, kiedy lunęło na dobre. Jazda przez wioskę nie należała do miłych. Jechało się jak w horrorze. Wokół panowała ciemność urozmaicona jedynie światłami w oknach mijanych domów. Stały oddalone od drogi, więc nie miały znaczenia dla widoczności. Wycieraczki bez oczekiwanego efektu skrzybiały po szybie, a dziury w jezdni dopełniały atrakcji. Wypatrując oczy, Weronika odszukała właściwy adres. Od chwili szczęścia, gdy znajdzie się we własnych pieleszach, odgradzała ją przeszkoda. Brama na posesję była zamknięta na wielką kłódkę widoczną w blasku reflektorów nawet z miejsca za kierownicą.

– Który to? – Werka wyluskała pęk kluczy z torebki i porównując wygląd dwóch elementów usiłowała na oko coś dopasować. Taki z dziurką rurką wydał jej się najbardziej prawdopodobny. Naciągnęła sweter na głowę, nabrała powietrza w płuca i zanurkowała w deszcz. Zanim w pośpiechu dopadła bramy, już miała przemoczone buty. Krótka chwila szamotania się z kłódką wystarczyła, by dzianina sweterka przesiąkła na wylot. Strużki wody ciekły jej z grzywki do oczu, utrudniając wcelowanie kluczykiem w kłódkę. Wreszcie się z nią uporała i z powrotem wsunęła się do auta.

– Zamoczę siedzenie – pomyślała. A po chwili stwierdziła, że nie będzie się tym przejmować. – W dupie! Wyschnie.

Światła samochodu wydobyły z ciemności jej nowy dom. Chociaż w potokach deszczu był ledwie widoczny, to i tak prezentował się całkiem okazale. Trochę horrorowo, ale to wina oświetlenia. Przynajmniej tak się pocieszała. Ganek ze snycerskimi wykończeniami rzucającymi w tej chwili tajemnicze cienie, a nad nim dwuspadowy dach z wyrastającymi z niego mansardami. Z każdej strony ganku dwa okna. Te z prawej obrośnięte winem, a z lewej zasłonięte jakimś drzewem.

– Całkiem, całkiem. Chyba odnowiony? – mruknęła. – Witaj w domu, Weroniko – powitała sama siebie i wprowadziła samochód na podwórkę.

Już nie zawracała sobie głowy zamykaniem bramy, tylko od razu wbiegła na ganek, by otworzyć drzwi. Tu daszek chronił ją przed deszczem, co już nie miało znaczenia, bo i tak była mokra. Dawno nieoliwione zamki niechętnie dały za wygraną, a i mosiężna klamka nie chciała jej wpuścić. W końcu drzwi z przeraźliwym skrzypieniem ustąpiły. W środku panowała całkowita ciemność, którą Weronika rozproszyła, włączając telefon.

– Gdzieś miał aplikację latarki – pomyślała, ale wystarczyło jej światło ekranu.

Rozejrzała się za włącznikiem. Powinien być przy drzwiach i rzeczywiście go tam znalazła. Pstryknęła, przezornie mrużąc oczy, by jej nie osłepiło, ale przeżyła rozzarowanie. W odezwie na pstryknięcie nic się nie wydarzyło. Nadal panowały ciemności. Ponowne pstryk-pstryk, pstryk-pstryk nic nie dało. Zatem, wciąż przyświecając sobie telefonem, ruszyła w głąb domu. Potykając się o próg, trafiła do kuchni. Jej oczom ukazał się okazały kredens.

– W szufladzie zawsze były świece – przypomniała sobie z dzieciństwa.

Faktycznie, wśród sznurków i korków od wina znalazła dwa ogarki i pudełko zapalek. Nie od razu chciały się zapalić. Miesiące spędzone w szufladzie sprowadziły na nie wilgoć. Wreszcie udało jej się uzyskać płomień. Był niewielki, ale z jego pomocą obesła główne pomieszczenia na parterze.

Zagrzmiało.

– Cholera jasna – zaklęła. – W tej ulewie nie ma mowy, żebym coś przyniosła z samochodu, bo wszystko zmoczę.

Postanowiła nie przejmować się, że wóz nie jest zamknięty. Założyła, że w taką pogodę żaden złodziej nie wychyli nosa. Była zmęczona, zmarznięta i jedyne, na co miała ochotę, to gorąca kąpiel i sen.

– Padam pyskiem na twarz. Jutro się rozgospodarzę na dobre. Teraz olać wszystko. Moja pościel jest na zewnątrz, a nie wiadomo, czy tu znajdzie jakąś zdatną do użytku. Trudno, jedna noc w opakowaniu chyba mnie nie zabije.

Ze świeczką w ręku przeszła do łazienki. Sedes nawet w tak marnym świetle wyglądał na zapuszczony, więc siusiu zrobiła „na Małysza”. Nie znalazła nigdzie papieru toaletowego, na co również machnęła ręką.

– Jutro kupię, a w razie czego mam chusteczki.

Usiłowała spuścić wodę, ale rezerwuarek nie zareagował na jej zabiegi. Odkręciła kran, żeby umyć ręce. Zabulgotał, ale nie wypuścił ani kropli.

– Ładny gips! Nie mam światła, wody, pewnie ogrzewania... Może wszystko jest, ale w tych ciemnościach i tak nic nie uruchomię. Kurczę! Nieźle się zaczyna.

Była zrezygnowana, rozczarowana, a co najważniejsze, po prostu zmęczona. Wytrzepała na ganku narzutę z kanapy w salonie, wznecając chmurę kurzu, przykryła się nią i postanowiła, że nie będzie się teraz przejmować przeciwnościami losu. Przyjechała tu, żeby być szczęśliwa, a problemy... Jak Scarlett O'Hara, pomyśli o nich jutro. Zgasiła świecę i usiłowała zasnąć.

Kanapa była wysiedziana w jednym końcu. To w tym miejscu babcia Gosia czytała książki pod lampą, haftowała obrusy i dziergała na drutach. Jednak teraz ten dołek powodował niewygodę. Trudno, nikt nie obiecywał luksusów. Weronika wierciła się, by znaleźć najlepszą pozycję, wreszcie się jakoś ułożyła, rozgrzała pod przykryciem i jej oczy zaczęły się rozjeżdżać do snu.

Oprócz odgłosów ulewy we wsi panowała całkowita cisza. W pewnej chwili usłyszała pukanie do okna. Przestraszyła się tego nagłego odgłosu. Ktoś po nocy się tu dobijał. Weronika czekała, czy pukanie się powtórzy albo czy ktoś za oknem się odezwie. Zawoła: „to ja, przyjaciel, nie trzeba się mnie bać!”.

Nic, cisza.

– Cholera! Może odejdzie... Nie zamknęłam bramy. Samochód otwarty... Nie, no w dupie, ani myślę wychodzić spod ciepłego nakrycia w te potoki wody, żeby zabezpieczyć teren. Musi wystarczyć zasuwa w drzwiach... Zamknęłam ją? Tak, tak. Dobra, w dupie. Śpię.

Puk, puk. Puk. Puk, puk.

– O, oooo! Jednak ktoś tam jest. Jeszcze mi łeb ukręca. – Weronika głębiej nakryła się narzutą, udając, że jej tu nie ma.

Puk, puk. Puk.

– Żeż, kurza dupa! – Zerwała się z posłania i dopadła okna. Jednym szarpnięciem odsłoniła zakurzoną firankę. Chwilę siłowała się z kłamką, aż wreszcie udało jej się otworzyć jedno skrzydło. Do pokoju wtargnął podmuch wiatru i sychnął jej w twarz kroplami.

– Kto tam?! – krzyknęła w przestrzeń.

Odpowiedziała jej cisza. Jedyne jej uszu dochodził szum wywołany ulewą.

– Kto tam, do cholery?! – powtórzyła... Z takim samym efektem.

Wychyliła się, by sprawdzić, czy nikt nie kryje się poniżej parapetu. Rozejrzała się na boki, bo może gdzieś odszedł – nikogo. Ciemność.

– Kurczę! – sarknęła, zamknęła okno i wróciła pod przykrycie. Nie zdążyła się nawet rozluźnić, gdy znów usłyszała puk, puk, puk, puk, puk, puk, puk. Wyskoczyła z łóżka i dopadła okna.

– Kto tam jest, do jasnej cholery! Co to za dowcipy?! Pokaż się albo ci za chwilę dupę odstrzelę. Liczę do trzech! Raz! Dwa...! – Nic. Cisza. – Żartowniś się znalazł. Idiota!!!

Wróciła do łóżka.

Po chwili... Puk, puk, puk, puk, puk, puk. Uniosła głowę, żeby sprawdzić, czy za szybą kogoś nie dostrzeże, ale nadal nikogo nie było widać. Ogarnął ją strach. Po omacku przeszła do kuchni i w szufladzie sąsiadującej z tą, w której wcześniej znalazła świecę, namacała najpierw wałek do ciasta, a potem tłuczek do mięsa. Wiedziała, że tam będą. Często pomagała babci w kuchni. Zaopatrzona w broń, ponownie ułożyła się pod przykryciem. Wymyśliła sobie, że w razie czego najpierw będzie rzucać wałkiem, później bronić się tłuczkiem.

– A może lepszy byłby nóż? – analizowała. – Ciach, ciach... E tam, jeszcze się skaleczę.

Puk, puk...

– Pieprzyć to! Niech puka.

Jeszcze spojrziała na zegarek. Dochodziła północ.

– Rano odeśpię – zdecydowała. – Jak dożyję.

I chociaż niepokojące odgłosy wciąż się powtarzały i strach czał się gdzieś w duszy, przytulona do kuchenno-obronnych narzędzi w końcu uległa zmęczeniu.

Nie dane jej było rano pospać.

Już przed szóstą gdzieś całkiem blisko zaczął drzeć się kogut. Umarłego postawiłby na nogi, a co dopiero dziewczynę z miasta spędzającą pierwszą noc w nowym miejscu i to na wysiedzianej kanapie. A głos miał jak dzwon. I lubił się nim popisywać. Piał i piał, upajając się brzmieniem swej pieśni... Jakiego tam pieśni? Swojego hałasowania.

Weronika usiłowała zlekceważyć jego występy przed nieistniejącą publicznością, podobnie jak wcześniej pukanie... (à propos, teraz nie puka!). Nie pomogło nakrywanie głowy zakurzoną poduszką ani zatykanie uszu dłońmi. Głos ptaka był tak świdrujący, że wdzierał się do śpiącego organizmu przez uszy, skórę, włosy, zęby i paznokcie. Aż do kości. Jeszcze chwila i Weronika sama zaczęłaby krzyczeć, dokładając hałasu, skoro już i tak zawładnął całą wsią... W każdym razie tą jej częścią.

Kogut piał, póki nie zachrypl. Gdy melodia zaczęła mu się załamywać, zamilkł. Wiele to nie pomogło, bo była już na tyle rozbudzona, że o dalszym śnie nie mogło być mowy.

– Normalnie w domu teraz wzięłabym kąpiel, umyłabym zęby i zjadła śniadanie.

Niby była we własnym domu, ale nie było normalnie.

– Okej, może jakoś temu zaradzimy. Trzeba być twardym. Jestem u siebie. Przeprowadziłam się, bo kocham wieś... Kocham wieś... Bardzo kocham wieś!

Równo ułożyła narzutę na kanapie, przeczesała włosy palcami i wyszła przed dom. Po wczorajszym deszczu całkiem się wypogodziło. Niebo było czyste i zapowiadał się piękny dzień. Na roślinności polyskiwała rosa, a na drodze widać było lśniące kałuże.

– Muszę sobie kupić kalosze, bo każde inne buty za chwilę znów będą mokre – odnotowała.

Jeszcze nie zrobiła dwóch kroków, kiedy poczuła pod stopą coś śliskiego. Uniosła nogę, żeby zobaczyć, na co nadepnęła.

– No nie!!! Nowe buty!!! Blee! Ptasie gówno! Kurdesz, struś?

W rzeczy samej ptasia kupa była sporych rozmiarów i sądząc ze stopnia zabrudzenia pantofelka, Werkę czekała dłuższa zabawa.

– Na rosół cię przerobię, niech cię tylko dorwę – odgrażała się nieobecnemu winowajcy, wycierając podeszwę o trawę.

Wreszcie dotarła do samochodu. Zależało jej głównie na szczoteczce do zębów, ale żeby się do niej dostać, musiała wypakować całą resztę. Zatem sapiąc i stękając, jąła przenosić graty do mieszkania. Nawracała kilka razy, więc zdążyła zapomnieć o kupie i tym razem wjechała w nią kółkami od walizki.

– Łeb ukreć. I skończysz w piekarniku – złorzeczyła.

Uporała się z kupą przy pomocy chusteczek nawilżających i wody z kałuży. Rozbebeszyła walizkę i z kosmetyczki (jednej z czterech) wydobyla upragnioną szczoteczka. Próba odkręcenia kranu, zgodnie z przewidywaniami, skończyła się tak jak wczoraj. Ze szczoteczka w rękę wróciła do auta. Gdzieś tu miała napoczętą butelkę mineralnej, którą kupiła na drogę. Znalazła ją pod fotelem. Nie zawracała sobie głowy łazienką, tylko przeszła pod drzewko i jedną ręką jak kot umyła buzię, po czym napluła pastą na trawę. Miała odruch, żeby również tu nasikać i pewnie by tak zrobiła, gdyby nie to, że nie była pewna, czy pomimo pustej okolicy ktoś jej nie podgląda. Może ten, co w nocy pukał? Zatem skorzystała

z toalety, po raz kolejny nie spuszczać wody. Powąchała bluzkę, którą miała na sobie od wczoraj. Była nieświeża. I równie nieświeżo czuła się Weronika.

– Potrzebuję wody. Trochę za zimno na kąpiel w rzece.

Woda... Wooda... Woodaaa... Kiedy była mała, babcia miała na podwórku studnię, ale teraz nie ma po niej śladu. Ponowne przeskanowanie terenu wzrokiem przyniosło pewną korzyść. Pod rynną wolno stojącego garażu stała beczka. Po wczorajszym deszczu w trzech czwartych napelniona deszczówką. Hura! Ale to nie rozwiązuje problemu. To nie studnia. Ach, przecież studnia dlatego zniknęła, że założono hydrofor... Hmm... hydrofor... Werka nigdy go nie widziała, ale gdzieś tu powinien być. A jeśli jest, to ciekawe, czy działa. Wiedziona intuicją zeszła do piwnicy. Labirynt pomieszczeń rozpościła się pod całym domem. Czegóż tu nie było!!!

– Przejrzę to później – postanowiła.

W jednym z zakamarków znalazła jakieś urządzenia. Jedno wyglądało jak szafka, drugie jak beczka na olej. Oba były całkiem nowe i sprawiały solidnie wrażenie, ale w mnogości rurek, do których były podłączone, zaworów i wskaźników, trudno było zorientować się, jakie jest ich przeznaczenie. Zrezygnowana uznała, że bez fachowej pomocy sobie nie poradzi. I bez prądu, bo hydrofor chyba jest na prąd?

Zaburczało jej w brzuchu. Poczwała, że głód zagłusza jej myślenie. W domu miała zwyczaj zaczynać dzień od porządnego śniadania. Taaak, w domu. Teraz tu jest jej dom. I na pewno nie ma w nim niczego jadalnego. Przypomniała sobie o batonikach w schowku samochodowym. Zawsze zabierała ze sobą coś takiego w trasę. Chodziło o szybki zastrzyk cukru na autostradzie, gdyby nie było w pobliżu stacji benzynowej. Przetrzęsła schowek i znalazła w nim napoczętego snickersa, dwa pawelki, mentosy i paczkę gumy do żucia. Obdmuchała snickersa z kurzu i z lubością zjadła, przegrzając jednym z pawelków. Trochę ją zemdlilo, więc popiła resztką mineralnej.

– Kurdesz – oparła się o samochód i spoglądała na swoje przyszłe życie. – Trzeba się tu jakoś zorganizować. Gdybym się spodziewała, że nie będzie to takie proste, nie pakowałabym się w przewodniczkę bez przemyślenia i przygotowań. Hmm... Teraz i tak za późno. Raz, że nie mam dokąd wrócić, dwa, że marzenia trzeba spełniać, a to było przecież moje marzenie. Przecież kocham wieś...

Tak. Marzyła o tym, że osiadzie w starym dworku, wolna od Dupka i jego zapachów, będzie chodzić po łąkach i zbierać kwiaty do wazonu, moczyc nogi w rzece, jeść jabłka prosto z drzewa, wieczorami siedzieć przy kominku, w wolnych chwilach pracować na łączach, pozna przystojnego weterynarza albo leśnika, a może właściciela stadniny białych koni. Przyjaciele, jeśli jej jeszcze jacyś zostali, będą ją odwiedzać w wakacje i przyjeżdżać na grilla, a ona będzie siedziała w kieliszkiem wina na tarasie i czytała romanse. Tak miały bohaterki w powieściach, które czytała, i ona też tak chciała mieć.

I wyryje to sobie scyzorykiem...

Hmm... Nie ma scyzoryka.

I naprawdę Weronika od dziecka kochała wieś. Uważała, że chociaż miastowa, to nazwisko Wielowiejska uzasadnia jej miłość do wiejskich przestrzeni. Kiedy przyjeżdżała do babci na wakacje, była tu szczęśliwa. Na stałe zawsze mieszkała w mieście, ale między blokami czuła, że się dusi, wieżowce wlażyły jej na głowę i przytłaczały swoim ogromem, ruch miejski osaczał, a wśród ulicznego tłoku czuła się zagubiona i napastowana. Do tego zawsze mieszkała w małych pomieszczeniach, które wywoływały w niej uczucie klaustrofobii. Na początku małżeństwa jej rodzice wynajmowali dom, ale ledwie przez mgłę pamięta zarośnięty ogród i welurowe kotary w ogromnych oknach na całą ścianę. Pomimo rozmiaru okien wewnątrz było ciemne, bo zasłaniały je drzewa ze zwartymi koronami. Po rozwodzie rodziców przeprowadziła się z matką do niewielkiego mieszkania w blokowisku. Miała swój pokój, trochę większy od babcinej szafy, ale własny. Na studiach wynajęły z koleżanką kawalerkę. Wygospodarowana była z dawnej służbówki w starej kamienicy i nie miała w niej więcej miejsca niż u matki. Jednak usamodzielnienie się dawało jej złudę dorosłości.

Nieco lepiej przedstawiała się jej warunki mieszkaniowe, gdy po trzech miesiącach randek wprowadziła się do Dupka (niech to określenie stanie się od teraz jego imieniem). Był... (generalnie nadal jest, żyje, ale dla niej już nie istnieje). A więc był potomkiem dynastii prawników, którzy z drugiego szeregu zarządzali połową firm w województwie. W tyłku mu się przewracało od dobrobytu. Z perspektywy czasu Weronika musiała przyznać, że dała się nieco zahipnotyzować tym blichтром. Przez pół roku czuła się jak królowna. Pławiła się w szczęściu u boku faceta, który obsypywał ją kwiatami i perfumami, zapraszał na wykwintne kolacje do najlepszych restauracji... No, może nie zawsze serwowały najsmaczniejsze dania, ale rachunek zawsze był z górnej półki. Poił drogim winem, dziwnym w smaku, trochę kwaśnym, ale z najlepszych winnic świata. Dawała się wozić samochodem supermarki. To nic, że miała problem, żeby się z niego wygramolić, bo ciągnął brzuchem po asfalcie i fotel był na poziomie suterenu (weź człowieku i z tego wstań!).

Ledwie zamieszkała z delfinem rodu, gdy uznał ją za swoją własność. Szybko się okazało, że Dupek jest chorobliwie zazdrosny. Do tego stopnia, że zhakował jej telefon, żeby śledzić, gdzie jest w danej chwili. A kiedy zrobił jej karczemną awanturę, wyzywając od dziwek, bo rozmawiała z kuzynem (nieważnie, że o pogrzebie babci), zrozumiała, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Żeby uniknąć kolejnych żenujących scen, skakania sobie do oczu i wzajemnego oskarżania o wszystkie kataklizmy świata, zwiła bez pożegnania. Spakowała niewiele majątku własnego, który jej pozostał z czasów samodzielności. Zostawiła baterię flakonów topowych perfum. Co ciekawe, oprócz kwiatów i pachnidel nie dostawała od Dupka żadnych prezentów: ani ubrań, ani bielizny, nie wspominając o kosztownościach... nawet długopisu. Zgarnęła więc naręczę ciuchów kupionych za samodzielnie zarobione pieniądze, zapakowała dwie torby butów i kosmetyki, poświęciła pomadkę ochronną o smaku wiśni, by napisać na lustrze w przedpokoju ODCHODZE, zmieniła wszystkie możliwe hasła i wrzuciła klucze do skrzynki pocztowej. Wykorzystała na to moment, gdy Dupek został wezwany przed oblicze klanu w celu przejęcia kawałka tortu z ich imperium. Od dawna marzył, by go potraktowano poważnie i pozwolono się usamodzielnic. Miał dostać władzę nad „małą firemką” produkującą części do maszyn rolniczych, bez których padłaby produkcja w całej Europie. Wściekał się, bo wyłączono spod jego jurysdykcji zarządzanie zadaniami dla wojskowości. Teraz będzie miał władzę, ale nie będzie miał dziewczyny. W każdym razie nie tę. Bo Weronika nie miała żadnych złudzeń – szacowała, że za tydzień się pocieszy. A niech spada! Jeśli się poczuł niedowartościowany w rodzice, to nie znaczy, że swoje frustracje miał odbijać na ich związku. Oczekiwał uległości, dyspozycyjności, atrakcyjności... ści... ści... ści. Weronika miała siedzieć cicho, ładnie wyglądać, uprzejmie się uśmiechać, oszalałymi pachnieć i świadczyć grzeczności seksualne... Żeby nie było: jemu i tylko jemu. Nie potrzebowała dużo czasu, żeby zrozumieć, że siedzi w złotej klatce, pozbawiona własnych przyjaciół, swobody w wykonywaniu zawodu i z coraz częstszymi objawami głębokiego stresu. Musiała przyznać, że podejmowanie decyzji o dezercji trwałoby dłużej, gdyby nie nieznośny odór perfum, którymi musiała się zlewać w jego towarzystwie. Wybierał dla niej same duszące, ciężkie zapachy. Bolała ją od tego głowa i zbierało się na torsje. Najgorsze było to, że, kuźwa, trwale były. Nie dawały się zmyć nawet w gorącej kąpieli z użyciem żrącego mydła.

W ekspresowym tempie spakowała więc manatki i uciekła z apartamentu do matki, do Kolonii, gdzie została powitana nader chłodno.

Nie od dziś wiadomo, że mama Weroniki ceniła sobie spokój, luksus i niezależność, które w życiu wielu osób są trudne do połączenia. Jej się udało, ale tylko dlatego, że trafiła na wspańskiego męczycię, który ją na rękach nosił i po rękach całował (sic!). Raczej trudno użyć określenia, że była dla niego całym światem, bo świat biznesu w jego życiu zajmował równorzędną pozycję. Mamie Weroniki wystarczyło, że leży i pachnie, bo jej, w przeciwieństwie do córki, zapachy nie przeszkadzały. Mama otaczała się tłumem przyjaciół, chociaż nie takich, na których mogłaby liczyć w czymkolwiek poza wspólnymi przyjęciami. Biegała na jakieś fitnessy i udawała artystkę, pacykowała bohemy wystawiane w galerii tylko dlatego, że jej właściciel był przyjacielem przyjaciela.

Weronika doskonale zdawała sobie sprawę, że zakłóciła sielankę. Pomimo że została przez partnera matki przyjęta z wielką atencją, wiedziała, że nie może zbyt długo siedzieć im na głowie. Miała rozległe

kwalifikacje i zawód, który mogła uprawiać z każdego miejsca na Ziemi, ale nie mogła wrócić do swojego miasta, bo nie tylko ono, ale i województwo było za małe jednocześnie dla niej i dla Dupka. Znalazły ją i przemieniły życie w piekło. Miała już tego próbki, straciła zlecenia w dwóch agencjach reklamowych. Na szczęście miała przyjaciół, a macki klanu Dupków nie wszędzie sięgały.

Tak czy inaczej spadek po babci był darem losu.

Babcia Gosia po przodkach odziedziczyła imię Weronika, ale go szczerze nienawidziła. Do tego dzieci krewnych i sąsiadów, które lgnęły do niej jak muchy do miodu, nie potrafiły wymówić tego słowa. Dla wszystkich została więc Gosią. Nie tylko spadek nasza Werka po niej przejęła, ale również imię. Zajęta planowaniem odzyskania wolności nawet nie bardzo ogarniała, jak stała się sukcesorką. Kochała babcię i jako dziecko spędzała z nią dużo czasu, tym bardziej że nie miała go dla niej matka. Po rozwodzie rodziców i gdy Weronika przestała wymagać opieki, kontakty z babcią nieco się rozluźniły. Werka w pełni się usprawiedliwiła z braku troski o nestorkę, bo należała ona do tych samodzielnych i samorządnych, a do tego miała już innych członków rodziny, tych „przyzwoitych”. Nikt nie potrafił o siebie zadbać tak jak ona. Chociaż pochodziła ze wsi, głowę miała nie od parady. Zresztą, cóż to była za wieś!!!! Nadal jest uznawana za siedlisko najbogatszych gospodarzy w tej części świata...

Babcia odziedziczyła po rodzicach dom. Właściwie dawny dworek. Co prawda nie byli szlachetnie urodzeni, ale weszli w jego posiadania jak najbardziej legalnie, chociaż nie do końca etycznie. Pradziadek Alojzy wygrał go w karty, będąc z prababcią Eleonorą „u wód”. Łebski Alojzy postawił na nogi gospodarstwo utracjusza, czym zaskarbił sobie szacunek ziomków. Zaakceptowali go i uznali za swojaka, a jego potomków traktowali jak prawowitych dziedziców rodu, wraz z przysługującym poważaniem. Alojzy z małżonką zginęli w katastrofie pociągu, gdy wybrali się do Sopot. Babcia Małgosia po śmierci rodziców uznała, że majątek, w tym ziemia, potrzebuje mężczyzny. Wybrała mądrze, nie bacząc na porwywy serca. Emil był pracowity i oddany swojej Gosieńce, a do tego znał się na wiejskiej robocie. Przed ślubem należał do niego kawał lasu i ziemia po rodzicach ciągnąca się od szosy aż do rzeki. Hektary wniósł do wspólnego gospodarstwa. Procesował się ze stryjem o kolejnych piętnościach, ale bez cienia chłopskiej zaciętości. Mało tego, znając opieszałość sądów, nie zażądał zabezpieczenia spornego majątku, uznając, że ziemia nie może leżeć odłogiem. Dzięki temu wujcio czerpał z tego kawałka całkiem niezłe dochody, bo obsadził wszystko czarną porzeczką i malinami.

Z małżeństwa babci z Emilem na świat przyszedł Grzegorz, który nie bacząc na plany rodziców przejęcia przez niego dworku z rozległymi przyległościami, ożenił się z Sabiną, czyli mamą Weroniki. Jeszcze przed ślubem dali dyla do miasta. Może i dobrze się stało, gdyż Grześ nie należał ani do pracowitych, ani do przedsiębiorczych, ani do stałych. Gdyby został na gospodarstwie, roztrwoniłby majątek, jak roztrwonił małżeństwo.

A wracając do babci Małgorzaty: niestety, błogostan jej stadła nie trwał długo. Na dziadka Emila spadły kłody drzewa z wyładowanej nad miarę ciężarówki. Zmarł po trzech dniach cierpień. Małgorzata była już na tyle wdrożona w zarządzanie dworkiem i ziemią, że całkiem dobrze dawała sobie radę sama. W dworku tak, ale w alkowie nie, więc po Emilu nastąpił wdowiec po Aldonie z Borkowskich – Zygmunt.

Zygmunt miał (nomen omen) tartak, cztery sklepy ogrodnicze w promieniu dwudziestu kilometrów, trzy kamienice w dobrym stanie pod wynajem w mieście i dwoje dorosłych dzieci, które trudno było przekonać do jego ożenku z fertyczną wdówką. Odpuściły Małgorzacie uwiedzenie ojca, przekupione każde własnym domem nad stawem i kawałem ziemi pod szkłem, które ten im kupił w prezencie ślubnym dla samego siebie.

Zygmunta trafił piorun, gdy wracał z kościoła. Poplecznicy jego potomków twierdzili, że to kara boska za krzywdę dzieci, chociaż żadna krzywda ich nie spotkała – żyli i żyją nadal jak pączusie. Wprowadzone w interesy ojca, cały czas kręcą nimi z zyskiem.

Po Zygmuncie nastąpił Maurycy, wdowiec po Wiktorii Zaborzance – ojciec dorosłej córki, zameżnej z właścicielem wzorcowej chlewni i kilku hektarów upraw tytoniu. Maurycy miał stację benzynową, centralę nasienną ze składem nawozów i dawny POM – teraz firmę świadczącą usługi rolne, wyposażo-

ną w tyle kombajnów różnego przeznaczenia, że ogarniał nimi potrzeby całego powiatu. Dla jasności, jego córka to matka Zyty, którą mieliśmy okazję już poznać. Po wypadku rodziców Zyty (wjechali samochodem w nieoświetloną przyczepę traktora) babcia Małgosia pomagała Maurycemu w wychowaniu wnuczki. Robiła to tym chętniej, że dziewczyna była mądra i miła, a rodzony syn Grześ nigdy nie pozwalał się wychowywać.

Maurycy doznał udaru. Zarówno żona, jak i wnuczka pięknie się nim opiekowały w chorobie, która trwała trzy miesiące. Odszedł we śnie, oplakiwany przez obie kochające go kobiety i wnuczkozięcia, który go bardzo szanował.

Opis wszystkich tych koligacji, chociaż długi i nudny, ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia statusu Weroniki Małgorzaty Wielowiejskiej, czyli babci Małgosi, która mimo późniejszych ślubów wciąż trwała przy nazwisku po pierwszym mężu. A później statusu Weroniki Sabinie Wielowiejskiej, czyli naszej Werki.

Kto się zna na prawie spadkowym?

Babcia Gosia.

Gdyby żyła, mogłaby udzielać porad prawnych w tym zakresie. Kuta na cztery nogi, ale nie chciwa, zabezpieczyła siebie i potomnych, dbając, by nie skrzywdzić dzieci swoich świętej pamięci mężów. Zdołała przygotować dwa postępowania spadkowe, żeby uregulować sprawy z pasierbami. Oczywiście żadne z dzieci byłych mężów nie zostało przez nią przysposobione, bo kiedy brała kolejne śluby, były pełnoletnie. Ze wszystkich majątków, które jej się należały, pozostawiła sobie i „swojej krwi” tylko takie, które była w stanie udźwignąć, a lwią część dziedzictwa ojców zostawiła ich potomkom... O wiele więcej, niż im się prawnie należało.

Małgorzata założyła, że ani ona, ani jej spadkobiercy, nie będą „chodzić za plugiem” ani „stać za ladą”. Niezbyt wysoko ceniła intelekt i instynkt biznesowy własnego syna, dlatego postanowiła nie obarczać go sukcesją, którą, jak to określiła, „rozpierzyłby na motocykle” albo „dałby się oszukać kądzemu, kto stawia w barze”. Testament spisała notarialnie, dbając przy tym o stwierdzenie poczytalności, by nikt go nie podważył. Zmarła tak, jak żyła, z filiżanką cappuccino w dłoni, niedługo po Maurycym.

Jakież było zdziwienie jej synowej (dokładnie bylej synowej), gdy skontaktowała się z nią kancelaria notarialna z prośbą o stawienie się w celu przejęcia spadku po teściowej oraz wskazanie miejsca pobytu drugiej spadkobierczyni – Weroniki. Żadna z nich nie zdawała sobie sprawy z zakresu schedy, wiedziały jedynie, że jest tam jakiś domek i kawałek ogródka, gdzie odwiedzały babcie. Nie wgłębiały się w jej koligacje, mężów czy kochanków. Okej, babcia miała bujne życie, ale nie zwierzała się z niego. Mówiąc szczerze, mając dach nad głową i co do garnka włożyć, matka z córką nie interesowały się cudzym majątkiem. Sabinie brakowało tylko ptasiego mleka, bo ptasie mleczko jadła kilogramami, co zaczynało być po niej widoczne. Nie oczekiwała pomocy od teściowej. Weronika co prawda teraz mieszkała kątem u matki, ale traktowała to przejściowo. Miała dwie zdrowe ręce i potrafiła zarobić na swoje potrzeby.

Z Kolonii do babcinej wioski było dość daleko i żadnej z dziedziczek nie chciało się szarpać o miedzę, więc postanowiły powierzyć sprawę pełnomocnikom. Prawnicy partnera matki byli świetnymi specjalistami różnych dziedzin. Zdecydowano się na mecenasa Rokickiego. Weronika śmiała się, że z tak „piekielnym” nazwiskiem ma kwalifikacje na adwokata diabła, więc dla nich tym bardziej się nada. Mecenas przyjął plenipotencje obu pań wraz z wyciecznymi na „w razie czego”. Sabina zrzekła się wszelkich roszczeń na rzecz córki, chyba że będzie coś w gołej gotówce, Weronika marzyła skrycie jedynie o domku, z którym wiązały ją wspomnienia, i który bardzo by jej się w tych okolicznościach przydał. Jednak nie liczyła zbyt wiele na cokolwiek, gdyż wiedziała, że babcia miała liczną rodzinę „z mężów”.

– I żadnych upraw szpinaku ani hodowli dżdżownic, gdyby się trafiły – uprzedziła prawnika.

– I proszę nie przyjmować niczego, wokół czego trzeba będzie później skakać – dorzuciła mama.

Rokicki doskonale zrozumiał swoje zadanie. Pełnomocnictwo wypełnił zgodnie z własnym sumieniem i z zaleceniami. Po wnikliwym przeanalizowaniu całej masy spadkowej, ku milemu zdziwieniu pozostałych uczestników postępowania, wybrał z niej wcale nie najtłustsze, ale z punktu widzenia zleceńodawczyń najsmaczniejsze kęski. Gdy stawiał się przed nimi po powrocie, sprawa podziału spadku była już prawie domknięta.

Okazało się, że przeniewierca Grześ (tata Weroniki) został prawie całkowicie wykluczony w testamencie. Tak jak on zapomniał o rodzinie, hulając po świecie, tak rodzina mogła zapomnieć o nim. Jako syn marnotrawny, a dokładniej „niewdzięczny”, został wydziedziczony bez prawa do zachowku. Na pocieszenie dostał mu się domek po zarządcy tartaku, który to facet trzy lata temu wyprowadził się na swoje. Domek skromny, oddalony od wsi, ale wystarczający, gdyby się okazało, że Grzegorz został wypłuty z hulaszczego trybu życia i nie ma dachu nad głową. Żeby budynek nie niszczał, chwilowo urzędowała tam wiejska biblioteka.

Mecenas przekazał stosowne dokumenty, które Sabina przerzuciła wzrokiem, a w miarę lektury oczy robiły jej się coraz większe. W czasie, gdy ona zapoznawała się z ugodami, Weronika była bardzo zajęta. Wisiała nad nią deadline chałtury dla wydawnictwa i nie miała głowy wgrzyzać się w prawniczy bełkot.

– W każdym razie, w skrócie ci powiem, że tak jak o tym marzyłaś, masz dom – streściła jej cały zapis matka.

I właśnie Weronika stała na podwórku własnego domu, w którym nie było wody, prądu i prawdopodobnie ogrzewania. Dawno go nie odwiedzała, bo nawet na pogrzebie babci zatrzymały się z mamą nie tu, tylko w przydrożnym motelu. Nie chciały wchodzić w parady rodzinie. Nawet nie знаły poszczególnych jej członków. Nie wiedziały, czy ktoś tutaj bywa. Chyba bywał, ale nie za często. Wszystko wydawało się zabezpieczone, ale nieużywane. Dom z jednej strony wyglądał na odnowiony, z drugiej na pozabawiony życia.

– Zaraz go ożywię – pocieszyła się. – Trochę kwiatów, trochę przewietrzyć, trochę zapachów dobrego jedzonka i będzie cudnie. Dobra, najpierw ustalmy priorytety. Po pierwsze, muszę coś jeść i pić. Powinna gdzieś tu być jakaś knajpa. Ale herbatę przydałoby się móc samemu jakoś zagotować. Czyli muszę uruchomić media. Wiejskie media. Tylko jak?

– Hej, hej! – usłyszała radosny głos za plecami.

Zyta machała z drogi świeża i uśmiechnięta, jakby nie ciążył jej wydatny brzuszek.

– Przyniosłam ci kawałek placka na powitanie w nowym domu i chciałam porozmawiać o spadku. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Wybierasz się gdzieś, bo brama otwarta?

Werkę szczerze ucieszyła ta wizyta.

– Fajnie, że wpadłaś. Zapraszam do środka – doskoczyła do drzwi domu, otwierając je szerokim gestem.

– Nie wpadłam, tylko zaszłam świadomie – Zyta puściła oko i już wtoczyła się po trzech schodkach na ganek. – Jeśli nigdzie nie wyjeżdżasz, to zamykaj bramę, bo ci tu jeszcze jakiś łoś wlezie.

Weronika podsunęła jej krzesło przy kuchennym stole.

– Przepraszam, że nie przyjmuję cię w saloniku, ale tu jest mniej kurzu – sumitowała się.

– Zwykle na wsi tak się nie kurzy, ale Klonowski budował nową oborę i jeździli tymi ciężarówkami z piachem i cegłą wte i wewte, że nawet rośliny w ogródku poszarzały. Nie było czym oddychać. Skończył tydzień temu.

– Chętnie zaproponowałabym ci kawę albo herbatę, ale nie mam wody.

– W kranie? Pewnie trzeba włączyć hydrofor – poradziła Zyta.

– No – przytaknęła Werka skwapliwie. – Tylko prądu też nie mam, to chyba nie włączę.

– O, kurka! Poważna sprawa. Ale łącze przecież jest, tylko przepisz licznik. Robiliśmy to z Gwidonem po śmierci dziadka. Łatwizna. Wszystko machniesz przez internet.

– Hmm... Internetu też nie mam. Tyle co w telefonie – Werka zerknęła na wyświetlacz. – No. Tylko prądu w telefonie też już nie mam.

Zamiast się załamać, zaczęły się śmiać.

– Przyjdź do nas. Mamy szybkie łącze... Zbieraj się. Koniec pogaduszek, bo widzę, że to faktycznie najpilniejsza sprawa do załatwienia.

– Muszę jeszcze zapłacić lodówkę, bo nawet do niej nie zaglądałam.

– Halo, obudź się! W lodówce nie masz prądu. A zarcie zdążysz jeszcze kupić. Żabka w miasteczku jest otwarta do dwudziestej trzeciej.

– Dobra. Czekaj, tylko tu wszystko pozamykam – Werka już zgarniała klucze i torebkę.

– I zabierz dokumenty, bo trzeba będzie udowodnić, że właściciel łącza nie żyje, a ty tu teraz jesteś panią na włościach.

Dziewczyny podjechały kijanką do domu Zyty. Dwadzieścia minut zajęło im klepanie w klawiaturę, kilka telefonów, zdjęcia dokumentów, kawa, przelew, klik, klik i sprawa została załatwiona. Pozostało czekać na energetyków, żeby przesuńczyli hebel.

– Paraaaam!!! – Zyta rozłożyła ręce w geście cyrkowca kończącego występ. – Zjesz z nami obiad?

– Cudowna jesteś, ale nie mogę nadużywać twojej gościnności – Weronika naprawdę była wdzięczna. – Chciałabym zrobić zakupy i zacząć trochę ogarniać chałupę, bo dawno nikt tam nie sprzątał.

– Od pogrzebu.

– No. Kilka miesięcy. Tylko ciekawa jestem, jak posprzątam bez wody...

Dopiero w samochodzie uświadomiła sobie, że mogła skorzystać z wizyty u kuzynki i podładować komórkę. Pogrzebała w schowku i wydobyła z niego ładowarkę samochodową. Zwykle podłączała ją, gdy uruchamiała nawigację. Yanosik strasznie zżerał baterię. A teraz przydało się jak znalazł. Ładowała się, póki silnik pracował.

Żabka nie wystarczyła. Chociaż Weronika nie знаła miasta, udało jej się znaleźć duży hipermarket. Spędziła w nim półtorej godziny i wyjechała wózkiem załadowanym ponad miarę. Dziesięć pięciolitrowych butelek wody niegazowanej. Zgrzewka gazowanej, kalosze, środki czystości, mop, bo nie sprawdziła, czy w domu jakiś jest, worki na śmieci, latarka, paczka świec, papier toaletowy, ręczniki jednorazowe, ściereki kuchenne i z mikrofibry, „skurzawka”, pieczywo, paczkowana wędlna, sery, serki i jogurty, ziemniaki, cebula, jajka, mąka, makaron, cukier, kawa, herbata, herbatniki, zgrzewka mleka, mrożonki... które po chwili z powrotem odłożyła, bo przypominała sobie, że nie ma ich jak przechować. Na poprawę samopoczucia czekolada, może lepiej dwie. Nie, trzy. Zastanawiała się, czy kupić turystyczną butle gazową, bo nie sprawdziła, czy kuchenka jest na gaz, czy na prąd (hmmm, właśnie, kuchenka!). Ale nie było kogo spytać, czy to butle z zawartością, czy puste, co oznaczało, że musiałyby gdzieś ją nabić. Nie miała pojęcia, gdzie to się załatwia. Trudno, jeśli nie będzie miała gazu, to zakreśli się koło tego jutro, do tej pory będzie gotować na ognisku.

Z wypchanym koszykiem wstąpiła jeszcze w jedno miejsce. W punkcie dorabiania kluczy sprzedawali przeróżne gadzety. Szukała scyzoryka. Musiał być taki specjalny, z długim ostrzem, piłką i korkociągiem. Dopuszczała w nim też inne bajery, ale te trzy musiał mieć koniecznie. W rzeczywistości nie był jej do niczego potrzebny. Kupiła go jako symbol. Będzie sobie nim ryc szczęście.

O co chodzi? Nic śmiesznego.

Bała się, że zbiją jej szyby i okradną samochód z zakupów, zjadła więc burgera, siedząc przy oknie bistra znajdującego się tuż przy jezdni. Popiła colą i czkając bąbelkami, ruszyła w drogę powrotną. Na jednej z mijanych ulic zobaczyła Marka. Szedł zarośnięty i przygarbiony.

Zakupy trafiły na kuchenny blat, butle wody częściowo w kącie przedsiionka, częściowo do piwnicy, tuż przy schodach. Wera przetrząsnęła szafki. Nie było w nich żadnych wiktuałów, ale zawierały całe standardowe wyposażenie kuchni. Babcia ostatnio traktowała dworek jako domek gościnny. Nikt na stałe tu nie mieszkał, chociaż dom trwał w gotowości. Aż do teraz.

Wczoraj w nocy nie miała szans tego zauważyć, a rano była zbyt rozszpana. Później przyszła Zyta... Teraz w świetle dnia Weronika zauważyła, że od czasu jej ostatniego pobytu na święta w domu nastąpiły zmiany. Ściany zostały odświeżone, a oświetlenie wymienione. Wstawiono nowe sprzęty AGD. Ich wygląd świadczył o przywiązaniu babci do dawnego stylu, dlatego wcześniej nie zwróciła na to uwagi. Stary look, nowa technologia. Kuchenka gazowa, ale sądząc z panelu wyświetlacza, chyba z elektrycznym piekarnikiem. Wera przekreśliła kurek. Nie zasyczało. Docisnęła go. Nie strzeliło iskrami.

– Jasne!

Obeszła wszystkie pomieszczenia. Świeżym okiem przyjrzała się łazience. Również nie zastosowano tu rewolucyjnych zmian, ale przeszła globalny remont. Sanitariaty były nowe. Po prostu dawno nieużywane zaszyły kamieniem z rdzawej wody. Da się doszorować. Z wyjątkiem grubej warstwy kurzu wszystko było gotowe do przyjęcia nowego lokatora. Wygląda na to, że choć babcia nie przewidziała czasu swojego odejścia, była przygotowana, że w każdej chwili może tu nastać ktoś, komu to miejsce będzie bardziej potrzebna niż jej.

– Okej, to biorę się do roboty.

Zdjęła wszystkie narzuty z mebli i wytrzepała je na ganku. Podobnie pościeli i koce, które leżały na wierzchu. Wywołały atak kichania, więc zostawiła je przewieszzone przez balustradę, żeby się wietrzyły. „Skurzawka” obleciała wszystkie meble. W trakcie obchodu znalazła w schowku obok kuchni odkurzacza. Wytoczyła go do saloniku i wetknęła wtyczkę w gniazdko. Pstryk... Przełącznik nie zadziałał.

– Kurdesz! – Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że musi pamiętać o ograniczeniach.

Odkurzacza z powrotem trafił do schowka. Napętniła wiadro wodą z beczki. Pływały w niej jakieś liście, ale do tego celu się nadawała. Starą, podpatrzoną w dzieciństwie metodą owinęła wilgotną ścierkę wokół szczotki i przetarła parkiet z kurzu, zostawiając lśniąca ścieżkę za każdym ruchem. Teraz otę przy wejściu i w kuchni potraktowała mopem. Na razie wszystko tylko w pomieszczeniach na dole.

– Za górę wezmę się później.

Przygotowała pościel, którą przywiozła ze sobą – w kaczuszki i pajacyki.

Zgłodniała.

Przygotowała sobie kanapki. Nóż po maśle wytarła papierem. Pod ścianą garażu ułożone były równo pocięte szczapy drewna do kominka i resztkę cegieł pozostała z rozbiórki starego ogrodzenia. Z ośmiu cegieł ustawiła palenisko. Złamała przy tym paznokciec.

– Kurdesz, sto sześćdziesiąt złotych za manicure!

Ale przecież nic nie mogło jej powstrzymać w tym wyzwaniu. Ułożyła szczapy, trochę drobnych patyków i wróciła do kuchni po czajnik z mineralną, zapalki i papier na podpałkę. Miała do wyboru toaletowy albo ręczniki. Zabrała ich całą rolkę. Oderwała sporą porcję, wepchnęła pod drewno i podpaliła. Papier się zajął, rozżarzył patyki, ale gdy się wypalił, ogień całkiem znikł. Drewno wilgotne po wczorajszym deszczu nie zdążyło chwycić płomieni. Weronika poszukiwała więcej drobnych patyczków, zgrabiła palcami trochę suchej trawy i napakowała na spód sterty jeszcze więcej papieru. Kolejna zapalka i kolejny płomyk. Rozpetził się po papierze, objął trawę i wywołał dym. Więcej dymu. Dużo więcej dymu, którym Wera się zachłysnęła. Zaczęła kasłać. Ona kichała i prychała, gdy tymczasem patyczki znów zgasły.

– Ostatnia szansa – mruknęła Weronika i ponowiła układanie stosiku.

W rzeczy samej, ostatnia, bo została jej jedna zapalka.

– Czym zapalę świece wieczorem? A, przecież jest latarka.

Pstryk i powtórka jak zapętlony film. Papier, trawa, dym, patyki. Trochę więcej trawy, trochę więcej patyków i nawet trochę kory na szczapach się zażarzyło, ale po chwili znów załazek ogniska zgasł. Jedynie, co zdołała osiągnąć, to okopcenie czajnika. Ciekawe, jak go domyje?

Koniec zapalek, koniec szans na gorący posiłek. Zrezygnowana wróciła do domu. Na pocieszenie naląła sobie mleka z kantonu. Zjadła kanapki, wypila mleko i kubeczek przepłukała mineralną. Uznała, że wody z beczki nie powinna używać do żadnych celów spożywczych, nawet do mycia naczyń.

Zapadł zmrok, robiło się ciemno i zimno. Sprawdziła, czy brama jest dokładnie zamknięta i schroniła się w domu.

– Kocham wieś. Kocham wieś. Sprowadziłam się tutaj, bo bardzo kocham wieś.

Przygotowała świece, po czym przypomniała sobie, że nie ma zapalek. Odszukała więc świeżo zakupioną latarkę.

– Kurdesz... Ciągle tu klnę. Kto sprzedaje latarki bez baterii?!

W sklepie nie przyszło jej do głowy, żeby to sprawdzić. Latarka wydawała jej się lekka, ale uznała to za zaletę.

– No! Zaleta. Kurka wodna. Zaleta jak cholera.

Nie zawracała sobie głowy szukaniem piżamy. Odszukała jedynie broń do osobistej ochrony. Zabrała wałek i tłuczek do łóżka, określiła się kołdrą i trwała w ciemnościach, dopóki nie usnęła.

Tym razem nikt nie pukał.

Ten piekielny kogut chyba się na nią uwziął.

Okej, trzeba poczekać, aż ochrypnie. Długo mu to zajęło, ale wreszcie zamilkł.

Weronika wybita ze snu usiadła na posłaniu.

– Hmmm... Od czego by zacząć dzień? – zastanawiała się na głos. – Najpierw siusiu, to oczywiste...

Wsunęła stopy w klapki i poczłapała do łazienki.

Skorzystała z toalety i uznała, że spuszczenie wody stało się już koniecznością. Niestety, w rezerwuarku jej nie było.

Spojrzała w lustro.

– Kurdesz, jestem tu trzeci dzień... Niecały... I już wyglądam jak zapyziała żona traktorzysty. – Przetarła twarz dłońmi. – Trzeba się jakoś ogarnąć. Miałam tu żyć jak królowna z bajki, a to nie bajka, tylko horror. Zapuszczony Kopciuszek, jego mać! Gdzie ten królewicz? Okej, chociaż wróżka, która machnęłaby różdżką i miałabym karetę, pantofelki bez zafajdanych obcasów i działający dom. Dobra, z karetą mogę zrezygnować...

Ze schowka przy kuchni wyciągnęła miskę i wiadro. Postanowiła skorzystać najpierw z tego drugiego. Zacerpnęła wody z beczki przy garażu i szczerze lunęła dosesedu. Zawartość uniosła się i tak została.

– Psia krwia, zapchało się.

Przeszukała pomieszczenie. Szczotka do mycia toalety raczej się nie przyda. Jedynie obklei się papierami i fekaliami – FUJ! W szafce pod umywalką znalazła przepychaczkę do rur, ale zdała sobie sprawę, że przyda się raczej do zlewu niż do kibelka. Chwyciła wiadro i ponownie wyszła na podwórko. Tym razem zanim zacerpnęła wody, rozejrzała się za jakimś narzędziem albo chociaż materiałem na narzędzie. W desperacji zerwała kilka nawłoci i tak uzbrojona ruszyła do akcji. Gibkie, ale mocne pędy mimozy dawały się wepchnąć głęboko i powoli udrażniały odpływ. Brudna woda zaczęła opadać.

– No to chwila prawdy. Lu! – Wera ponownie chlusnęła z wiadra.

Zabulgotało i poziom płynu znów się unióśł. Był nieco czystszy, jakby rzadszy i szybko zaczął opadać.

Ponownie w ruch poszły nawłocie.

– Mimoszaaaami jeeesień się zaczynaaaaa... – zanuciła Weronika, wymachując wiadrem w drodze po wodę.

Zajrzała do beczki.

– Lepiej niech mi włączą ten prąd – mruknęła.

Do trzech razy sztuka. Kolejne chluśnięcie do sedesu odblokowało odpływ. Weronika postawiła wiadro z wodą w kącie, by było pod ręką w razie następnych wizyt w toalecie.

– Kibel doprowadzony do porządku, pora na właścicielkę kibla. A właścicielka kibla to ja... Kurdesz, jestem właścicielką kibla... Nie tylko kibla, ale i całego domu... Nie tylko domu, ale i gospodarstwa... Właściwie to czego ja jestem właścicielką?

W rzeczy samej, do tej pory Weronika nie zadała sobie trudu, żeby przejrzeć dokumenty spadkowe. Wystarczyła jej informacja, że ma dom i wreszcie może wyprowadzić się od matki i jej partnera, co natchmiast uczyniła.

– Muszę to sprawdzić – postanowiła, ale najpierw wzięła się za siebie.

Nalała wody mineralnej do miski i zaczynając od umycia twarzy, dokonała reszty ablucji.

– Brrrr, zimno – mocno wycierała się ręcznikiem, żeby się rozgrzać.

Założyła świeże ubranie. Było pogniecione, ale przecież nie miała jak podłączyć żelazka. Pewnie gdzieś tu było, tylko co z tego. Kontrolnie pstryknęła włącznikiem światła w pokoju. Bez rezultatu.

– Okej, to teraz śniadanie. Okej, znów na zimno. Okej, okej, okeeej – podśpiewywała, szykując kanapki. Znów kanapki. A taką miała ochotę na jajecznicę.

W trakcie posiłku jej wzrok padł na pęk kluczy na kredensie.

– Ciekawe, do czego są? – myślała na głos.

Do tej pory miała okazję użyć trzech: do kłódki przy bramie i dwóch do drzwi wejściowych. Przelknęła ostatni kęs, chwyciła klucze i ruszyła na obchód gospodarstwa. Pierwsze, co wpadło jej w oko, to garaż, ale zanim do niego dotarła, mijiała komórkę (ładna mi komórka – murowana przybudówka wielkości ich miejskiego mieszkania). Hmm... Zamek drzwiowy. Taki z płaskim kluczem. Płaski to ten. I Weronika wetknęła klucz w zamek. Pozwolił się łatwo przekręcić i uwolnił wejście. Wewnątrz znalazła, poniekąd zgodnie z oczekiwaniami, idealnie uporządkowane narzędzia ogrodnicze: kosiarkę i drugie urządzenie trochę do niej podobne, zwoje szlauchów, szpadle, widły, wiadra, stertę skrzynek, paczki nowych rękawic... Jednym słowem wszystko, co może się przydać w ogrodzie, łącznie ze świątecznymi ozdobami – ledowym jeleniem i bałwanem.

– Dobra, jedziemy dalej.

Dalej była piwnica. Nie, nie ta pod domem, tylko stara ziemianka. Tu wisiała kłódka. Pasował do niej złoty kluczyk, taki jak pod kłamkę, tylko mniejszy. Otworzyła drzwiczki i stanęła u szczytu schodów.

– Hmm... Ciemno. Ale coś tam widać.

Ostrożnie, trzymając się ściany, zeszła na dół. W niewielkim wilgotnym pomieszczeniu znajdowały się drewniane, omszałe półki, a jakże, niektóre zastawione, a właściwie założone, butelkami wina.

– O, babciu! Przy moim spożyciu to na kilka lat... Chyba że mama przyjedzie.

Znalazła też skrzynię z ziemniakami – zeschniętymi i o długich kłęczach. Jakieś wyschnięte marchewki i selery w drugiej skrzynce i równie wysuszoną dynię.

– Zapasy na zimę. Chyba trzeba je uzupełnić, a to powyrzucać. Tylko czy ja potrzebuję takich zapasów? – zastanawiała się. – Okej, później o tym pomyślę. Na razie zamykamy.

Kolejny klucz był przeznaczony do ostatniego pomieszczenia – garażu.

– Ale kijankę będę tam trzymać tylko zimą – planowała. Nie uśmiechało jej się za każdym razem mować z wrotami.

A te z żalonym skrzypieniem otworzyły się i oczom Wery ukazał się potężny, solidny i groźnie wyglądający samochód terenowy. Pewnie miał lśniący lakier, ale teraz lekko przykurzony, jak wszystko

w tym gospodarstwie.

– Kurdesz. A to co? Karetą! O, bajko ty moja!

Ktoś wjechał do garażu tyłem, więc i samochód teraz patrzył na nią zmatowiałymi od brudu reflektorami. Miał minę, jakby marszczył nos, a na czole trzy zetknięte wierzchołkami romby oznaczające markę. Pod nimi, dla pewności, na listwie wypisano ją w pełnym brzmieniu.

Zdziwiona znalazłkiem Weronika obeszła wóz dookoła. Czterodrzwiowy pick-up. Chociaż wielki jak stodoła, to w babcinym garażu mieścił się bez problemu. Na tylnej klapie napis L200. Założyła, że to nazwa modelu. Osłoniła oczy dłońmi, żeby wyeliminować odbicia światła od szyby i przykleiła do niej czoło. Cztery rozlazłe fotele, a gdyby złożyć środkowy podłokietnik, to z tyłu będzie miejsce dla piątego pasażera.

– Kurdesz, czyje to?

Pociągnęła za klamkę, ale nie ustąpiła. Sprawdziła dla porządku, ale kluczyków w stacyjce oczywiście nie było. Co by robiły w zamkniętym aucie? Rozejrzała się po pomieszczeniu: opony na zmianę, samochodowe kosmetyki, zestaw różnych ścierek, stary rower, ale w dobrym stanie, jakieś dwa urządzenia ze wskaźnikami, w których rozpoznała prostownik i kompresor, sanki. Nic, co świadczyłoby o pochodzeniu auta. Po prostu wyglądało, jakby przynależało do tego miejsca.

– Dziwne – orzekła. – Ciekawe, czy odkryję tu więcej niespodzianek?

Podczas wczorajszych porządków w pomieszczeniach na dole skupiła się na walce z wszechobecnym kurzem. Jeśli jakiś przedmiot miała w dłoni, to tylko po to, żeby go przetrzeć. Tym razem weszła do domu z zamiarem dokładniejszego zapoznania się z wnętrzem. Gdy przyjeżdżała do babci w odwiedziny, szperanie po szafkach i szufladach było po prostu niegrzeczne. Co innego zostać właścicielką ich zawartości. Oczywiście, orientowała się mniej więcej, co gdzie jest. Ale czy na pewno? Garaż wcześniej był pusty. Wstawiała tam samochód mamy na czas, kiedy tu zostawała, czyli na krótko. Może babcia komuś go wynajmuje?

Już od progu uważniej przesuwiała wzrok po wnętrzu. Jak skanerem. W przedsionku znalazła niewielką wiszącą szafeczkę. Nowość. Nie było jej tu dawniej. Odkryła w niej kolejne klucze niewiadomego przeznaczenia. Były małe, więc raczej od klódek. Nigdzie nie trafiła na coś, do czego by pasowały. Salon, choć rozległy, zwany przez domowników salonikiem, nie był zagracony. Rozłożysty staromodny kredens zawierał typowe wyposażenie: obiadowy serwis porcelanowy i osobny komplet filiżanek, spodeczków i talerzyków deserowych. W szufladach były wszelkiego rodzaju sztućce – od łyżek do zupy po łyżkę do sosów. Ułożone w drewnianych przegródkach i przełożone papierowymi serwetkami w kratkę. I korkociąg w kształcie chłopczyka ze skręconym siusiakiem. Komoda pełna obrusów i serwetek. A pod nimi... broń. Czarny płaski pistolet, a obok kilka pudełek amunicji. Werka na tyle przestraszyła się tego odkrycia, że czym prędzej zakryła znalezisko serwetkami, nawet go nie dotykając. Po prostu udała, że niczego takiego tam nie ma i jakby nigdy nic kontynuowała zwiedzanie domu. Szufladka w niciaku, zgodnie z przeznaczeniem zapełniona była przyborami do szycia, w tym kilkoma parami nożyczek. Stolik pod lampą, na którym babcia kładła książkę i podręczne robotki, też miał szufladkę, a w niej okulary w pokrowcu, karteczki do notatek, długopisy, w tym jeden z różowym puszką, i jakieś szpargały. Stół z krzesłami i oszklona biblioteczka nie kryły tajemnic, chyba że babcia chowała coś w książkach. Ot, salonik starszej pani... prawie. Po co starszej pani broń?

– Nie myślny o tym – postanowiła.

Weronika weszła do pomieszczenia obok. Dawniej był to jeden z dwóch pokoi gościnnych. Teraz urządzono tu gabinet. Do połowy oszklona szafa była prawie pusta, zawierała jedynie kilka różnego koloru segregatorów. Były opisane: rachunki, umowy, gwarancje...

– Będę musiała to przejrzeć – obiecała sobie.

Otworzyła szafę, żeby zobaczyć, co kryją dolne półki. Ze zdziwieniem odnalazła tam laptop, a obok zasilacz ze zwiniętymi przewodami.

– Babcia i strzelanie, babcia i komputer? Chyba nie znałam własnej babci. A może to też nie jej?

Na solidnym biurku leżał oprawiony w ekologiczną skórę notatnik.

Werka usiadła w obrotowym fotelu, zakręciła się na nim w obie strony, stwierdziła, że wygodny. Wzięła do ręki notes, który okazał się spisem telefonów. Było w nim niewiele numerów. Pod „A” Administrator i dwa telefony, pod „B” – Bartek i jego komórka, pod „C” nic, dalej „D” jak dostawcy, od końca śmieci (dostawcy śmieci???), prądu, gazu... (o, gazu, fajnie!). Dalej Wera tylko przeleciała kartki, jej wzrok zatrzymał się na K – księgowa, a później M – mecenas Kwiatkowski. Puste miejsca w notesie i brak telefonów typu „Mariola od Zdzicha” albo fryzjerka, dentysta itd. sugerowały, że spis został stworzony z rozmysłem, jakby na potrzeby konkretnego adresata.

Środkowa szuflada biurka zawierała zestaw przyborów piśmienniczych. Werka zajrzała do lewej. A tam kluczyki od mitsubishi z dowodem rejestracyjnym i firmowym zestawem dokumentów. Książka napraw, instrukcja obsługi, dowody kupna sprzedaży, gwarancja (dlaczego nie w segregatorze?), czerwona książka wozu i polisa, sądząc po datach, wciąż ważna. We wszystkich tych dokumentach figurowało nazwisko babci, co znaczy, że również Weroniki, ale dodane drugie imię i PESEL zdradzały prawdziwego właściciela.

– Babcia jeździła pick-upem?! No dobra, to że tu stoi, to nie znaczy, że dla mnie... Może z pełnym żółdkiem lepiej mi pójdzie dalszy przegląd.

Wczoraj, wracając z miasta, widziała przy drodze jakiś bar. Nazywał się Karczma i wyglądał szemrane, ale chyba mają tam coś na ciepło. Weronika postanowiła to sprawdzić, a że było niedaleko, więc ruszyła pieszo, przed wyjściem wykonując kontrolne pstryk-pstryk. Oczywiście bez rezultatu.

Trasa do knajpy wypadła jej obok gospodarstwa Zyty. Gdy tamtędy szła, kuzynka właśnie odbierała przy furgurce pocztę od kuriera.

– Cześć, Wera! – powitała ją uśmiechem. – Dokąd gnasz taka zamyślona, jeśli to nie tajemnica?

– Żadna tajemnica. Idę do Karczmy na obiad, bo nadal nie mam na czym gotować.

– Chyba nie zamierzasz ryzykować obiadu w tej speluncie? Na twoim miejscu nie jadłabym tam niczego poza słonymi paluszkami i to też, jeśli paczkę otworzą przy tobie. Chyba że chcesz umierać w męczarniach. Lubisz krupnik? Nagotowałam cały gar. Wystarczy dla dwóch wsi na tydzień.

– Chyba przesadziłaś – roześmiała się Werka.

– No, z gotowaniem, bo z określeniem ilości to tylko trochę. Chodź, zjemy razem. Mnie też będzie weselej przy stole, bo Gwidona znów coś zatrzymało w chlewni.

Weroniki nie trzeba było długo namawiać. Z przyjemnością zasiadła w kuchni kuzynki. Na kuchence pyркаł okazałych rozmiarów garnek.

– Zamieszam, bo krupnik lubi się przypalać, i już leję. – Zyta chwyciła warząchew. – Przelew będzie lada chwila. Dasz nam z tym trochę czasu?

– Nie spiesz się.

Weronice słowo przelew skojarzyło się z laniem zupy, więc nie zwróciła na nie uwagi, uznając za regionalizm.

Po chwili na stole pojawiły się parujące talerze.

– W naiwności swojej myślałam, że przyjadę, powieszę kiecki w szafie i będę tu sobie mieszkać jak u Pana Boga za piecem – Wera przerywała mówienie dmuchaniem w łyżkę.

– A co ci w tym przeszkadza? Nie masz wieszaków? – zażartowała Zyta.

– Tego akurat pod dostatkiem. Tylko sama widzisz, ani się umyć, ani ugotować. W nocy już coraz chłodniej, a ja nawet nie wiem, jakie dom ma ogrzewanie, bo chyba nie wyłącznie kominkiem. Jak tu wcześniej bywałam, nie było takich problemów. Wszystko działało.

– Teraz też wszystko działa, tylko trzeba to uruchomić... O, cześć, Gwidon!

Mąż Zyty zdjął buty w przedsiönku i podszedł do żony, żeby ją pocałować na powitanie.

– Cześć, Werka – rzucił w stronę kuzynki. – Umyję ręce i już do was wracam.

- Dobrze, że przyszedłeś, bo może ty będziesz wiedział, jak sprawić, żeby w domku babci były media.
 - A co, nie ma? – Gwidon zajrzał do garnka i nalał sobie zupy.
 - Przede wszystkim prąd i gaz – wyjaśniła Wera.
 - Wiś nie jest zgazyfikowana.... Fuuuuuu, gorące. Pewnie masz pod zlewem niebieską butlę.
 - Nie mam. Pod zlewem jest zmywarka.
 - Hmm... to nie wiem. Może Bartek będzie wiedział.
- Małżonkowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.
- Mam zapisany numer do jakiegoś Bartka – przypomniała sobie Weronika.
 - On często bywał u babci – wyjaśniła Zyta. – Chyba jako jedyna go lubiła.
 - Dlaczego jako jedyna?
 - Bo to zły człowiek.

Wspomnienie złego człowieka przygasiło atmosferę przy stole. Musiał być bardzo zły, jeśli pogodna Zyta straciła humor na samo jego wspomnienie.

Wera jeszcze trochę posiedziała z kuzynostwem. W międzyczasie podładowała sobie telefon i zadzwoniła do dostawcy prądu z pytaniem, kiedy może liczyć na podłączenie. Dowiedziała się, że już winno działać, co ją bardzo ucieszyło. Zadowolona wróciła do siebie, na wszelki wypadek po drodze kupując zapalki.

– Paraaaam! – Pstryknęła włącznikiem, ale znów czekało ją rozczarowanie. – Kurdesz! Gdzie ten Bartek?

Odebrał telefon, ale nie mógł od razu przyjechać, bo był czterdzieści kilometrów dalej.

– Powiniennem być za godzinę, bo jeszcze trochę mi się tu zejdzie.

– Okej, łaskawco – pomyślała Weronika, ale nie powiedziała tego na głos.

Nie miała wyjścia, była zdana na jego łaskę i niełaskę. Zdawała sobie sprawę, że człowiek, nawet zły, może mieć swoje ważne sprawy, ważniejsze niż jej być albo nie być. Pozostawało czekać.

Przez ten czas obeszała pomieszczenia na górze, od razu ze sprzątaniem. Tu zmieniło się więcej. Wymieniono okna, czego z zewnątrz nie dostrzegła, pomalowano przyjaznymi kolorami ściany. Dwie sypialnie wyposażone były w jasne meble. W szafach znalazła zmiany pościeli, koce i ręczniki. A tych szaf było sporo i zostawało w nich dużo miejsca na jej rzeczy. Było też trochę ubrań babci. Z czułością pogłaskała jej płaszcz. Sukienki nosiły jeszcze ślady zapachu perfum. Dyskretny i ziółowy. Zupełnie nieprzypominający duszących zapachów od Dupka.

Hmmm... Dupek...

Z westchnieniem zamknęła drzwi. Trzeci pokój, ogromny jak salonik na parterze, pozostał prawie pusty. Stał tam tylko przepastny fotel i szafka z telewizorem, chyba tylko po to, żeby w ogóle coś tu postawić.

Najbardziej zachwyciła Weronikę łazienka. Dawniej jej tu w ogóle nie było. Wszyscy korzystali z tej na dole. Teraz podziwiała wspaniałą kąpielową z osobnym prysznicem i osobną wanną. Ale jaka to była wanna!!! Tak na oko trzyosobowa.

– Jak ją napełnić wodą, to wpadnie piętro niżej – wyraziła sama przed sobą obawy Wera.

– Jest tu ktoś?! – usłyszała z dołu.

Drgnęła na ten głos. Zbiegła po schodach i przy wejściu zastała młodego, przystojnego człowieka.

– Bartłomiej? – spytała dla formalności.

– Nie. – Wera poczuła się zdezorientowana. – Bartosz. We własnej osobie – sprostował i skłonił się teatralnie.

Był wysoki i postawny. Nie z tych „smukłych trzciniek”. Po prostu kawał chłopca. I tylko jasne oczy i uśmiech równoważyły wrażenie srogości. Jak twierdzą Gwidonowie, złudnie. Weronice przeszła

przez myśl ich opinia: „to zły człowiek” i trochę w to zwątpiła, bo nie wyglądał.

– Jak tu wszedłeś? – Wera nie mogła sobie przypomnieć, czy zamknęła za sobą drzwi na zasuwę.

– Przenikam ściany – zażartował. – Dobijałem się, ale chyba nie słyszałaś, więc wszedłem. Będziesz mnie tak trzymać w progu, czy mam w czymś pomóc?

Weronika zreflektowała się, że to ona ma do niego interes, nie odwrotnie, więc chyba bez względu na to, czy jest dobrym człowiekiem, a może właśnie dlatego że nie, powinna być miła.

– Sorry – wskazała mu drogę, by wszedł dalej. – Ponoć jesteś jedynym, który zna ten dom i wie, jak go uruchomić.

– Chcesz, żeby przeszedł się gdzieś o własnych siłach? – Bartkowi śmiały się oczy.

A uśmiechał się miło i ujmująco, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Weronikę. Takim uśmiechem naprawdę można zmylić. Postanowiła mieć się na baczności.

– Raczej chciałabym uruchomić w nim wszystkie urządzenia. Wyjaśniałam ci przez telefon.

– Jasne. Od czego zaczynamy? – Zdjął kurtkę i rzucił ją na kanapę.

– Chyba od prądu, jeśli coś o nim wiesz. Elekrownia twierdzi, że już mam, a nie mam.

– Sprawdźmy to. – Pstryk-pstryk i oczywiście nic. – Chodź do piwnicy.

Weronikę zmroziła ta propozycja. Nie bez obaw zesza za gościem po schodach.

– Zobacz. – Prezentował panel ukryty w dyskretnie zamontowanej szafce. – Tu masz wszystkie bezpieczniki z całego domu. Żeby zadziałały, te fiutki muszą być do góry. Jak w seksie. W górze – działa, w dole – klapa.

I kilkoma pstryknięciami przełączył rząd korków w pozycję roboczą.

– A teraz chwila prawdy. – Sięgnął do włącznika.

W pomieszczeniu piwnicznym rozbłysło światło. Weronika aż klasnęła w ręce.

– Owacje jak najbardziej należne – Bartka nie opuszczały żarty. – Co jeszcze?

– Woda – wymieniła Wera.

– Okej. Przejdźmy na lewo. – Kilka kroków dzieliło ich od pomieszczenia, w którym Wera już wcześniej przyglądała się skomplikowanym urządzeniom.

Bartek coś pomajstrował przy jednym z nich. Coś włączył, coś odkręcił, coś pstryknęło, coś syknęło, coś zabulgotało.

– Gotowe – oznajmił. – Sprawdźmy, czy nic nie cieknie.

Przeszli na parter. Bartek w kuchni i w łazience posprawdzał, czy wszystko w porządku.

– Zajrzyj na górę – polecił.

Weronika chwilę się zawahała, czy może zostawić go tu samego. Pobiegła na piętro, żeby sprawdzić, czy nie zalewa łazienki. Odkręciła kurki nad umywalką. Usłyszała gulgot, syczenie, a po chwili z kranu pociekła rdzawa ciecz.

– Złeci – pocieszyła się.

– Czego jeszcze pani sobie życzy? – zapytał dworsko Bartek, gdy pojawiła się na dole.

– Kuchenka. Nie mam pojęcia, jak działa, bo ponoć we wsi nie ma gazu, a ona jest na gaz.

– Cud, proszę pani. Cud. – Bartek nie przestawał się uśmiechać. Byłoby to urocze, gdyby nie fakt, że dla Weroniki raczej niepokojące. – Zapraszam do ogrodu.

Bartek zarzucił kurtkę i zaczął, aż Wera znajdzie sweter. Po drodze z szafeczki w przedśionku zabrał kluczyki, nad którymi wcześniej nowa gospodyni zastanawiała się, do czego pasują.

– Kurdesz, czuje się jak u siebie – Weronice nie bardzo podobał się taki stan rzeczy.

Bartek poprowadził ją pod płot. Z ziemi wystawał tam tajemniczy właz. Chłopak użył jednego z kluczyków, żeby go otworzyć.

– Zobacz – odsunął się na bok, żeby umożliwić Werce dostęp do otworu.

Niepewnie do niego zajrzała. Wewnątrz były jakieś rury, zawory i wskaźniki.

– No widzę. Tylko nie wiem, co.

– Tu masz gaz.

– Nie w niebieskiej butli pod zlewem?

Bartek się znów roześmiał. Kurdesz, niech on przestanie się tak uroczo śmiać, bo nikogo na ten śmiech nie nabierze.

– Z niebieską butlą to tylko zawracanie głowy. Chodźmy, bo widzę, że marzniesz.

– Jaki troskliwy! – pomyślała z ironią.

Zamknął pokrywę i ruszył w kierunku domu. Weszli do środka i Bartek najpierw odkręcił zawór skryty za kuchenką, sprawdził, czy palnik odpali, a później nieproszony rozsiadł się przy kuchennym stole.

– Poczęstowałabym cię herbatą – Weronika przypomniała sobie o gościnności. – Ale chyba najpierw trzeba zlać tę rdzę. – Zupełnie zapomniała o hektolitrach zakupionej mineralnej.

– Nie zavracaj sobie głowy – machnął ręką. – Zaraz będą leciał, bo mam jeszcze włamanie do rozprawiania.

– I mówi o tym tak otwarcie?! – Zdziwiła się dziewczyna, ale nie skomentowała tego głośno.

– Wytłumaczę ci, co i jak z tymi twoimi urządzeniami i spadam. Włączyłem ci hydrofor... A, czekaj!

Zerwał się z krzesła i zniknął w piwnicy. Po chwili wynurzył się z niej zadowolony.

– No teraz to już wszystko – sapnął. – No więc tak... – Chwycił herbatnik ze stołu i włożył go sobie do ust. – Sorry za niedogodności, ale nie wiedziałem, kiedy ktoś tu nastanie. Gdybyś nie przyjechała, to jeszcze trzeba by było spuścić wodę z rur przed zimą. Na wszelki wypadek wszystko pod nieobecność gospodarzy zabezpieczyłem. A teraz hydrofor masz podłączony, piec do grzania wody hula, chyba że chcesz od razu ogrzewanie, ale pewnie jeszcze szkoda gazu....

– A skąd ten gaz? Ziemny? – Weronika próbowała zrozumieć, jakie zastosowano tu rozwiązania.

Bartek znów się roześmiał.

– To, że pojemnik zakopany jest pod ziemią, nie znaczy, że to gaz ziemny. Twoja babcia była bardzo mądrą kobietą i bardzo przedsiębiorczą. Potrafiła nie tylko liczyć, ale i chętnie korzystała z nowości. Zamiast jedenastu kilo gazu propan-butan, masz pojemnik na tysiąc litrów skroplonego. Jeśli jest cały, to starcza na pół roku... Wezmę na drogę. – Poczęstował się jeszcze jednym herbatnikiem i ruszył do wyjścia. – A gdybyś czegoś potrzebowała, to dzwoń. Ogrzewanie uruchomimy w każdej chwili.

Zasalutował ciasteczkami i zniknął za drzwiami.

Weronika chwilę trwała w bezruchu, by ochłonąć.

– Okej, to teraz już mogę mieszkać – klapnęła z ulgą na kanapę. – A nie! Jeszcze internet!

Korzystając z ostatnich promieni słonecznych Weronika rozpoczęła generalne porządki. Od prania. Rozwiesiła znalezione w piwnicznej szafie sznurki między drzewami za domem, jak to podejrziała u Zyty. W ten sposób trzykrotnie zwiększyła możliwości suszenia. Suszarka ze schowka rozstawiona w górnym salonie wystarczyła ledwie na rozwieszenie ciuchów, w których ostatnio chodziła. Ogród pozwolił jeszcze na zmianę pościeli we wszystkich łózkach.

Na stół w saloniku trafił świeży obrus, a do wazonu pęk marcinków. Zawartość walizki zawędrowała wreszcie do szafy, a sama walizka do garderoby na piętrze. W łazience rozgościły się kosmetyki, a buty wypełniły szafkę w przedsiönku.

Weronika właśnie myła wnętrze lodówki, gdy odezwał się jej telefon.

– Tu mecenas Ryszard Kwiatkowski. Jestem... Byłem prawnikiem pani Weroniki Wielowiejskiej. Czy rozmawiam z panią Weroniką Wielowiejską?

Dziwnie to zabrzmiało.

– Przy telefonie – odpowiedziała Wera. Skojarzyła postać prawnika z numerem zapisanym w babciny notesie. – Czym mogę służyć?

– Ze względu na sfinalizowanie przejęcia spadku konieczne jest podjęcie pewnych czynności, które są z tym związane. Pani Weronika upoważniła mnie do reprezentowania swoich interesów, jednak... Jak to określić? Teraz są to pani interesy.

– Nie rozumiem.

I nic dziwnego, w końcu Werka absolutnie nie знаła się na prawie. Była przekonana, że sprawa przejęcia spadku jest już całkiem zamknięta.

– Przecież mecenas Rokicki miał się wszystkim zająć – westchnęła.

– Tak... To bardzo sprawny prawnik. I muszę przyznać, że z podziwem obserwowałem, z jakim wyczuciem poprowadził tę sprawę. Jednak doprowadził ją do momentu usankcjonowania podziału majątku. Pozostają jeszcze czynności związane z jego przejęciem.

– To znaczy, że jeszcze zostały jakieś formalności? Ale ja się na tym absolutnie nie znam! – Wera była przerażona czekającymi ją potyczkami w urzędach... Nawet nie wiedziała, w jakich.

– Od tego ma pani mnie. Oczywiście pod warunkiem, że zechce mi pani zaufać w tej kwestii. Jeśli pani pozwoli, to zwrócę pani uwagę na fakt, że szanowna babcia, świec Panie nad jej duszą, obdarzała mnie pełnym zaufaniem przez wszystkie lata, kiedy miałem zaszczyt ją reprezentować.

Przez głowę Weroniki przemknęło całe stado myśli:

a) zna mój numer i wie, z jakiego rodzaju kwestiami i osobami jest związany, czyli nie jest jakimś naciągaczem z przypadku;

b) wie coś, czego ja nie wiem, bo jeśli rzeczywiście coś jeszcze trzeba zrobić z tym spadkiem, to ja nie mam o tym bladego pojęcia;

c) nazwisko tego prawnika jest w notesie babci, a to jasna wskazówka, że właśnie z nim należałoby się skontaktować.

– Okej – rzuciła w słuchawkę. – Czyli co teraz?

– Jeśli dobrze zrozumiałem pani wyrażenie, jest pani skłonna powierzyć mi swoje sprawy, czy tak?

– Obawiam się, że sama sobie z nimi nie poradzę – przyznała. – W każdym razie będę na pewno potrzebować rady i wskazówek. – I wchodząc w jego ton, dodała: – Będę wdzięczna, jeśli zechce mną pan pokierować.

– Będzie mi w tej chwili bardzo trudno przyjechać do Kolonii.

– A w jakim celu miałby pan jechać do Kolonii?

– Żeby się z panią spotkać.

– Ale ja jestem w Polsce – sprostowała.

– W jakim mieście?

– We wsi. W domu babci. W Powykopkach.

– W Powykopkach? – powtórzył zdziwiony. – To bardzo ułatwia sprawę. Czy w takim razie możemy się spotkać w mojej kancelarii... Powiedzmy... w poniedziałek... Powiedzmy o jedenastej?

Jak łatwo się domyślić, Weronika nie miała żadnych zobowiązań na najbliższe dni, więc zaaprobowala termin.

– Cholera jasna! – fukała pod nosem po zakończeniu rozmowy z prawnikiem. – Myślałam, że ten cały piekielno-diabelski mecenas wszystkiego dopilnował. Skicham się, zanim to ogarnę. A wydawało się, że kiedy ten włamywacz i kryminalista Bartek uruchomił mi chałupę, to wszystkie problemy zostały rozwiązane. A to łańcuszek bez końca. Gdybym wiedziała.... To nic by to zmieniło. Nadal mieszkałabym u przyjaciela matki? Niedoczekanie! Kocham wieś. Kocham wieś. Bardzo kocham wieś... Gdzie szczyrok?

Zbliżała się niedziela. Weronka uznała, że Zyta wyświadczyła jej tak dużo grzeczności, że należałoby się czymś zrewanżować. W porywie uczuć wdzięcznościowo-rodzinnych postanowiła zaprosić ją na obiad.

– Może najpierw zapytam, a później zrobię zakupy, bo jeśli odmówią, to zostanę z kupą zarcia, którego nie przerobię własnymi siłami.

Okazało się, że Zyta, choć skrupowana zaproszeniem, bardzo się ucieszyła. Obiecała, że przyjdą obie, pod warunkiem że Gwidonowi znów coś nie wyskoczy w chlewni.

Weronika zaprosiła i pożałowała, bo przygotowanie niedzielnego obiadu na wsi znacznie różni się od dotychczasowych imprezek, jakie urządzała. W tej chwili miała takie oto wyobrażenie o wiejskim niedzielnym menu: rosół z kury, kurczak pieczony koniecznie z nadzieniem, ziemniaki tłuczone polane skwarczkami (jakoś nie wyobrażała sobie, że pieczony kurczak ma własny sosik), mizeria albo zasmażane buraczki, kompot wiśniowy albo truskawkowy, a na deser sernik albo szarlotka. Z szarlotką nie powinno być kłopotu. W sadzie za domem (o ile rosące tam trzy rzędy drzew owocowych można nazwać sadem) leżało mnóstwo spadów i aż żal było patrzeć, jak się marnują. Okej, jedna szarlotka nie uratuje ich wszystkich, ale chociaż kilka. Uzmysłowała sobie, że zarówno rosół, jak i pieczone kurczaki powinny być własnego chowu. Jeśli w zasięgu wzroku był jakiś drób, to najędźszy, czyli należący do sąsiadów – drący się rano i srający pod nogi. Takiego, który mógłby trafić do garnka nie było.

– Okej. Czeka mnie wyprawa do sklepu.

I to nie do najbliższego, bo na wsi nie spodziewała się kurczaków w sprzedaży. Tu ich się nie kupowało, tu się je łapało na własnym podwórku.

Weronika zrobiła listę wiktuałów koniecznych do godnego przyjęcia kuzynostwa i ruszyła na podbój sklepów spożywczych w mieście.

– Dobrze, że to niedaleko. Niby wieś odizolowana od cywilizacji, ale ciągle w jej zasięgu.

Zrezygnowała z kurczaków na rzecz szaszłyków z polędwicy i z ziemniaków na korzyść frytek. Zamiast buraków i mizerii kupiła cykorię, którą przygotowuje z bananami i mandarynkami, i dwukolorową fasolkę szparagową. Mając przed sobą lodówki z mrożonkami, postanowiła zrobić zapas dla siebie. Sprawdziła listę, czy niczego nie zapomniała, i ruszyła w drogę powrotną. Kiedy na skrócie w prawo przepuszczała pieszych, przed jej maską przedefilował Bartek. Nie był sam. Przynajmniej wyglądało to tak, jakby siedł w towarzystwie kobiety. Była atrakcyjna. Nie dość, że miała ciekawą, trochę orientalną urodę, to jeszcze „była zrobiona” – włosy, makijaż, płaszczyk. A to, co najbardziej w jej ubiorze rzucało się w oczy, to czerwone kozaki za kolana, chociaż aura jeszcze nie usprawiedliwiała takich zimowych. Werka chciała im pomachać, ale przeszli przez pasy, nie zwracając uwagi na kierowcę. Już miała ruszyć, kiedy przed jej samochodem przebiegł Marek. On też jej nie zauważył, więc wróciła do siebie i zabrała się do szykowania frykasów.

Gdy szarlotka była w piekarniku, dla zabicia czasu odruchowo chwyciła telefon, by sprawdzić, co tam w świecie słychać.

– Cholercia, internet!

Nic prostszego, jak zadzwonić do operatora telefonii i załatwić sprawę.

– Proszę panią.... – usłyszała od konsultanta.

– Kurdesz, kiedy ludzie nauczą się mówić po polsku? – pomyślała. – Panią prosi się o rękę albo na kawę – chciała powiedzieć, ale odpuściła.

– Dla obszarów wiejskich mamy kilka rozwiązań. Po pierwsze internet xDSL, po drugie FTTH, po trzecie 4G.

– A po ludzku?

– Łącze radiowe, kablowe i światłowodowe. Ale, proszę panią, w pani adresie nie mamy łączy kablowych ani światłowodowych.

– Jasne. To ja dziękuję, jeszcze się zastanowię. Rany boskie, moje ciasto!!!

– Jesteście moimi pierwszymi gośćmi – Weronika witała kuzynostwo w progu. – Nie licząc Bartka, pierwszymi ludźmi, którzy mnie odwiedzili.

– Na twoim miejscu nie zaprzyjaźniałbym się z nim za bardzo – Gwidon wręczył gospodyni butelkę wina.

– Bardzo mi pomógł. Gdyby nie on, to dalej nie dałoby się tu mieszkać – wyjaśniła.

– A nie przyszło ci do głowy, że to właśnie z jego powodu nie dało się tu mieszkać?

– Nie rozumiem – Wera czuła się zbита z tropu.

– Ktoś to powylażał. A potem przyszedł Bartek i pyk, zaczarował. Działa.

Trzeba przyznać, że jeśli intencją Gwidona było wzbudzenie w niej wątpliwości, to mu się udało. Chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie, zakrzętnęła się wokół gości. Na stół wjechała zupa dyniowa z tacosami.

– Już drugi raz widziałam w mieście Marka. Tego, który mi pomógł pierwszego dnia – zagadnęła, by wejść na bezpieczny temat.

Chyba też jej się nie udało, bo goście jednocześnie odłożyli łyżki.

– Nie smakuje wam? – Weronika czym prędzej spróbowała zupy. Owszem, była ostra, ale nie aż tak, żeby jej nie jeść.

– Pyszna – przyznała Zyta. – Co do niej dałaś, że nie jest mdła?

– Sok pomarańczowy i imbir. Dlaczego przestaliście jeść?

– Nie mówmy o tym – Gwidon uciął rozmowę.

– Dolewka czy czas na drugie? – Wera usiłowała odwrócić uwagę od przykrych tematów.

– Jeśli mam coś jeszcze zjeść, to już dziękuję za zupę – Zyta poglaskała się po brzuchu.

Gdy gospodyni wróciła z parującym daniem, goście spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Ty mów – zwrócił się Gwidon do żony.

– Zawsze jak jest coś trudnego do przeprowadzenia, to ja. – Naburmuszyła się, ale odetchnęła głębiej i zaczęła. – Bo wiesz, ustaliliśmy, że z tym parkiem maszyn to jest straszne zawracanie głowy. Po pierwsze, to działa sezonowo, a ludzi trzeba utrzymać. Po drugie, właśnie o ludzi chodzi. Nic, tylko się z nimi użeraj. Już przy zwierzakach jest problem, a co dopiero przy maszynach o takiej wartości.

– Jeśli o wartość chodzi, to też przemyśleliśmy – wtrącił mąż. – Bo one z roku na rok tracą. Za kilka lat, jeśli się nie odnowi całego wyposażenia, to będzie kupa rdzy, nie maszyny.

– Jeszcze suróweczki? – Weronika usiłowała zrozumieć, co jest tak ciekawego w ciągnikach, że kuzynostwo wciągają ją w opowieść o nich.

– Dziękuję – Zyta wzniosła w obronnym geście dłoń. – I wiesz... póki ten POM jest jeszcze w takim stanie...

– On jest w świetnym stanie, dlatego tyle wart – ponownie wtrącił znów Gwidon.

– Toż mówię... Póki jest, jaki jest, to znalazł się na niego chętny. Znasz go, bo jak byłaś na pogrzebie, to ten, co przewrócił stojak na wieniec. Mieszka koło kościoła. Ten dom z fontanną.

– No, kojarzę – przytaknęła Wera, chociaż nie miała pojęcia, o kogo chodzi i nie miała to dla niej żadnego znaczenia. Pamiętała tylko ten wieniec, bo narobił straszego hałasu.

– No właśnie. Więc on z chęcią przejmie cały ten interes, całą firmę, razem z terenem i pracownikami.

– To chyba zrobi dobry interes? – Weronika rzuciła pytanie tylko po to, żeby dać znać, że słucha.

– Najważniejsze, że on tak twierdzi – Gwidon zdjął ostatni szaszлык z patyka.

– Tak mówisz, jakbyśmy go naciągali. Oczywiście, że to jest dobry interes, tylko już nie dla nas. I ten prawnik, co tu był, to uznał, że i nie dla ciebie.

– No raczej – przyznała Wera. – Ja się nie znam na ciągnikach.

- Właśnie. My też nie i dlatego czekamy, żeby on ją od nas kupił.
- Wstawić już wodę na herbatę? – spytała gospodyni.
- Zaczekaj, napijemy się kompotu i skończmy temat – Zyta powstrzymała jej zapędy.
- Okej.
- Tylko Boczkowski czeka na kredyt. Trochę mu brakuje do pełnej kwoty i chce, żebyśmy się nieco wstrzymali.
- W czym problem? – Weronika nadal nie rozumiała, o czym kuzynka mówi.
- Czy możemy zaczekać?
- Jak możecie, to zaczekajcie.
- Naprawdę? – Zyta spojrzała jej w oczy.
- Wasz czas, wasza decyzja – wzruszyła ramionami.
- To mówisz, że się zgadzasz?

Weronika przytaknęła i przeszło jej przez głowę, że albo kuzynostwo są niezbyt samodzielni w podejmowaniu decyzji, albo niezbyt kurtuazyjni w trakcie tej wizyty, która niezbyt fortunnie się zaczęła.

- Rada za radę – dokonała przeskoku myślowego. – Jaki macie internet, bo jak do nich dzwoniłam, to w zupełnie obcym języku ze mną rozmawiali. Proponował mi połączenie radiowe.
- Opuść – Gwidon przesunął zapięcie paska o jedną dziurkę. – Mieliśmy. Raz, że nadajnik jest za daleko, dwa, że my jesteśmy w dole i zasłania nas las, trzy, że tylko trochę deszczu i zrywa.
- Ale ponoć tu nie ma innych łącz – wyjaśniła Weronika.
- Jak nie ma? Wyjrzyj przez okno. Widzisz ten słup? Po nim lecą światłowody.
- Linia naziemna? – zdziwiła się.
- Łatwiej było wkopać parę słupów, niż ryc w ziemi. Trzeba by było od każdego gospodarza osobną zgodę. Zamów światłowodowy i będziesz miała w pakiecie TV. Zbierajmy się – zwrócił się do żony. – Jeszcze musimy załatwić ci jakiś transport na jutro, bo jak dojedziesz?
- Możecie mnie oświecić, o co chodzi? – zażądała wyjaśnień Weronika.
- System poidel w chlewni się wyłożył i akurat Marciniak ma czas, żeby to ogarnąć wtedy, kiedy Zyta ma wizytę w mieście.
- U lekarza? – Wera wymownie spojrzała na jej brzuch.
- Owszem, o dziesiątej – przytaknęły zgodnie.
- To ja cię zawiozę. Na jedenastą jestem umówiona w mieście, po prostu wystartujemy wcześniej.
- Byłoby świetnie, jeśli to nie kłopot.
- Żaden. Jesteśmy umówione.

Pomimo maksymalnego odsunięcia fotela Zycie trudno było wcisnąć się do małej kijanki. Weronika pomyślała o mitsubishi stojącym w garażu, ale nie ośmieliła się o nim wspomnieć, a już na pewno z niego skorzystać.

Większość drogi minęła im w milczeniu. Zyta długo zbierała się, żeby się odezwać. Wreszcie odchrząknęła, wzięła głębszy wdech dla odwagi i zaczęła mówić:

- Ja cię bardzo przepraszam za Gwidona, że wczoraj tak ostro zareagował, jak wspominałeś o Marku.
- Nic się nie stało. Po prostu nie chciał o nim słuchać – uspokoiła ją Weronika.
- Owszem, ale to dlatego, że to dla niego nadal jest trudne... Dla wielu ludzi z wioski też.
- Coś smutnego? – domyśliła się Wera.
- Kuzynka Gwidona była zaręczona z Markiem. Chodzili ze sobą dwa lata. Mieli się pobrać. Rodzice Jagody bardzo się z tego związku cieszyli, tym bardziej że ich gospodarstwa ze sobą sąsiadowały. Ma-

rek po matce nie dostał dużo, jedynie porządny dom, ale to i tak było ważne. Młodzi mieliby gdzie mieszkać. Marek pracuje w mieście, ma czystą pracę, jest zdolny i wszyscy mieli ich za szczęśliwych. Ale później wszystko się zawaliło. Do tego stopnia, że Jagoda popełniła samobójstwo.

– Dlaczego? – Werka nie mogła uwierzyć.

– Przy innej okazji ci opowiem, bo straciłyśmy trochę czasu, czekając na przejeździe, a nie chcę się spóźnić. Tu zaparkuj, przy tej latarni. Dziękuję.

Weronice nie pozostało nic innego, jak pomóc kuzynce wydostać się z samochodu i uzbroić w cierpliwość do następnej okazji. Umówiły się, że Zyta po wizycie w przychodni odwiedzi przyjaciółkę, która prowadzi w rynku second hand, i tam zaczeka. Werę dzieliła godzina od wizyty u prawnika. Miała ochotę na kawę, ale cukiernia o tej porze była jeszcze zamknięta, więc pomimo chłodu usiadła na skwerze i zamysliła się nad losem Marka i Jagody.

– Pani Leokadio – mecenas Kwiatkowski zwrócił się do swojej sekretarki. – Proszę dwie kawy.

Nie tak Wera wyobrażała sobie prawnika babci. Przez telefon miał poważny niski głos, pasujący do dojrzałego, żeby nie powiedzieć starszego mężczyzny. Do tego wyrażał się tak jakoś... staromodnie. Tymczasem okazał się młodym, pełnym energii człowiekiem. Należał raczej do niskich i trudno byłoby o nim powiedzieć, że jest przystojny, ale miał w sobie władczość i siłę, które sprawiały, że czuła się przy nim bezpiecznie.

– Nie chciałabym robić kłopotu – sumitowała się.

– Ależ proszę się nie krępować. Musimy dbać o klientów. Szczególnie o takich.

Sekretarka wniosła kawę. Chwilę trwały manipulacje z cukrem i śmietanką.

Wreszcie mecenas wpasował się w swój fotel za biurkiem i przystąpił do rzeczy.

– Trochę czasu już minęło, więc przed nami zadanie sprawnego dopełnienia formalności, póki jesteśmy w stanie dotrzymać ustawowych terminów.

Wera westchnęła.

– O jakie jeszcze formalności może chodzić? – spytała.

– O formalne przejęcie poszczególnych składników masy spadkowej i załatwienie wszystkiego w urzędzie skarbowym.

– Jezus – stęknęła. – Podatek? Ja nie mam żadnych pieniędzy.

– Zapewne zdążyła się pani zorientować, że została pani obdarzona znaczną sukcesją.

– Tak, to piękny dom – przyznała. – I od zawsze byłam z nim bardzo związana. Myślę, że potrafię o niego zadbać we właściwy sposób.

Gdy wypowiedziała te słowa, przypomniały jej się wszystkie dotychczasowe kłopoty. A tu doszedł nowy. Skąd wziąć na podatek?

– Dom? – spytał mecenas zdziwiony. – A reszta?

– Dom – potwierdziła. – A nie dom? – Uniosła brew. – Jaka reszta?

Chwilę trwało, nim prawnik przetrwał te dwa pytania.

– Czy pani zapoznała się z dokumentami spadkowymi? – spytał podejrzliwie.

Weronika wśród innych ważnych papierów przywiozła ze sobą wypchaną teczkę dotyczącą spraw babci. Jednak tak naprawdę nie zajrzała do niej. Czyżby zbyt pochopnie zajęła dworek? Kto inny jest jego właścicielem?

– Hmm... Jak by tu panu powiedzieć? Najbardziej w życiu potrzebuję teraz domu i mam nadzieję, że mnie go pan nie pozbawi, bo nie wiem, co zrobić – wydukała zdesperowana.

– Nie zamierzam pani niczego pozbawiać. – Rozchmurzył się. – To znaczy, że nie zapoznała się pani z zapisem pani Wielowiejskiej? – spytał dla pewności.

– Ze wstydem stwierdzam, że nie – Wera odstawiła filiżankę i opuściła rękę na kolana.

– Pani Weroniko... – Pokręcił głową z... niedowierzaniem? pobłażliwością? rozbawieniem? – Jest pani bogatą kobietą.

– Jak to?

– Chwileczkę...

Mecenas wyszedł zza biurka, otworzył drzwi dzielące jego gabinet z sekretariatem.

– Pani Leokadio, proszę nam zamówić dwie pizze i trzecią dla siebie, bo nam tu dzisiaj trochę zejdzie.

Po czym zamknął drzwi, podszedł do wielkiej dębowej szafy, wyjął z niej olbrzymich rozmiarów teczkę i wrócił na miejsce.

– Używając skrótu: to pani majątek – położył teczkę przed Weroniką.

Jeden po drugim wyjmował z niej poszczególne dokumenty. Każdemu przyglądał się uważnie, zanim odłożył na drugą stronę biurka.

– Muszę przyznać, że mecnas Rokicki to bardzo zdolny i sprawny prawnik. Na jego miejscu lepiej bym o pań interesy nie zadbał. Właściwie to on powinien doprowadzić wszystkie formalności do końca, ale należało ich dopełnić tu, na miejscu i z pani udziałem. Zatem przejdźmy do rzeczy. Potrzebujemy kilku pani podpisów. Rozumiem, że gospodarstwo rolne, w tym ziemię o powierzchni dwunastu hektarów wraz z zabudowaniami i nasadzeniami we wsi Powykopki już pani przejęła?

– Dwanaście hektarów? – Weronika nic nie rozumiała.

– Owszem.

– Ogródek chyba nie ma więcej niż tysiąc metrów!

– Ogródek, jak sama nazwa wskazuje, jest częścią ogrodzoną, a ta łąka za domem również do niego przynależy. I las za nią aż do pola sąsiadów. – Pogrzebał w teczce z dokumentami i wyjął z niej wydruk mapy terenu z zaznaczonym podziałem własności gruntów. Poszczególne działki różniły się kolorami. – Ten teren – zatoczył po mapie odwrotną stroną długopisu – należy do pani. Proszę się nie martwić. Jeśli jak dotąd będą obowiązywały umowy dzierżawy z sąsiadami... notabene trzeba je będzie odnowić... to łąka i las nie będą wymagały od pani żadnych starań.

– Mam nadzieję, bo ja się na łąkach i lasach całkiem nie znam.

– A zna się pani na administrowaniu nieruchomościami?

– Też nie – odpowiedziała zdziwiona.

– Nie szkodzi – machnęła ręką.

Wyjaśnienia musiały poczekać, bo właśnie dostarczono pizzę.

– Proszę bardzo, niech się pani częstuje. Pozwoli pani, że również będę jadł? Wracając zatem do rzeczy. Do pani domu dorzucimy coś jeszcze. – Oczy mu się zaśmiały, jakby powiedział dobry dowcip. – Jest pani posiadaczką trzech kamienic czynszowych przy ulicy Kwiatowej. Pani są te pod numerami dziewięć, jedenaście i trzynaście. Że tak to określe „kuzynostwo” pani nie będzie wnosić żadnych roszczeń, bo zostały im jeszcze sklepy i świetnie prosperujący tartak. Myślę, że są bardzo zadowoleni z takiego podziału. Każda pani kamienica to dwadzieścia mieszkań pod wynajem, które przynoszą ponad dziewięćdziesiąt tysięcy rocznie przychodu. Proszę się nie obawiać, fundusz remontowy został ustanowiony osobno.

– Chyba nie nadążam – Weronika trzymała wciąż nienadgryziony kawałek pizzy.

– Jest pani właścicielką trzech dwupiętrowych kamienic, każda dwie klatki schodowe, dwadzieścia mieszkań, które ludzie wynajmują i płacą czynsz. I pani ma z tego dochód. Całkiem spory. Aczkolwiek pomniejszony o koszty administrowania, chyba że zwolni pani zarządcę i będzie się tym zajmować sama.

– Rozumiem – wydukała głucho, chociaż jej mina nie potwierdzała zrozumienia, i wgrzyła się w zimny już trójkącik ciasta.

– Pozostaje jeszcze ugoda z panią Zytą i Gwidonem, których zapewne pani już poznała. Ugoda co prawda została w pani imieniu zawarta, ale należy ją sfinalizować. Myślę, że już państwo o tym rozmawiali.

– Przepraszam, o czym? – Weronika nie miała pojęcia, o co chodzi.

– O sprzedaży stacji benzynowej i parku maszyn rolniczych.

– Coś mówili o ciągnikach, ale nie wiem, co dokładnie mieli na myśli.

– Rozmawiałem z panem Gwidonem... To niezwykle uczciwy człowiek. Zresztą to nie pierwsza sprawa, przy której się z nim spotykam. Państwo Gwidonowie w trakcie negocjacji nie wyrazili zainteresowania przejęciem stacji benzynowej ani dawnego POM-u. To duża firma i maszyny są bardzo cenne. Zapadła więc decyzja o spieniężeniu tych zasobów i podzieleniu dochodu ze sprzedaży pomiędzy obie strony. Mecenas Rokicki zrezygnował z powołania rzeczoznawcy w celu ustalenia wartości mienia. Uznał, że należy się zdać na prawo rynku. W efekcie czekamy, aż nabywca uzyska kredyt bankowy, co jest tylko kwestią czasu... Dosłownie dni, a może nawet godzin, bo ma zabezpieczenie. Niebawem będzie pani właścicielką sześciocyfrowej kwoty na koncie. A propos, proszę o podanie numeru pani konta, na które mają zostać przelane wszelkie środki.

Weronice kawałek pizzy wypadł z ręki. Oczywiście zatłuszczoną stroną z serem prosto na spódnicę.

– Proszę się nie przejmować. Stać panią na pralnię i na cały sklep nowych spódnic.

Weronika potrzebowała czasu, żeby ochłonąć z rewelacji, o których usłyszała. Siedziała oszołomiona w samochodzie przy zgaszonym silniku. Wciąż brzmiało jej w uszach: „Stać panią na pralnię i na cały sklep spódnic”. Wreszcie otrząsnęła się ze stuporu i przypomniała sobie o czekającej na nią Zycie.

– Co lekarz powiedział? – Weronika, wciąż pod wrażeniem rozmowy z prawnikiem zajęczała pod sklep, żeby odebrać kuzynkę z ploteczek. – Te siatki wrzuć na tylne siedzenie.

Propozycja była uzasadniona, bo Zyta ze swoim brzuszkiem i siatkami nie zmieściłaby się w fotelu samochodowym.

– Mam na siebie chuchać i dmuchać, jak najwięcej leżeć i żadnego mycia okien – sapała Zyta.

– A dzidzius, jak się czuje?

– Chyba nawet za dobrze. Bryka jak baranek. Dziś rozlałam herbatę, tak mnie kopnął. Lekarz też z niego zadowolony. Uff, jakoś się zmieściłam.

Kiedy Zyta się ulokowała, Wera ruszyła w kierunku Powykopek.

– Możesz zatrzymać się gdzieś przy lesie? Mój pęcherz w ciąży sprawił, że znam wszystkie toalety na trasie. Ale mówiąc szczerze, wolę w lesie niż na stacji benzynowej, bo na tej naszej nie dbają zbytnio o czystość.

Do wsi było już blisko, ale widocznie dla Zyty sprawa była pilna, więc Wera nie wdawała się w dyskusję, tylko zwołniła, żeby znaleźć dogodnie miejsce. Kilkadziesiąt metrów dalej od głównej drogi odbijała boczna w las.

– Tu zjadę, żeby nie utrudniać ruchu. – I wjechała w grąd. – Wysiądę z tobą. Też po tych kawach dobrze mi to robi.

Aż chciało się głębiej odetchnąć. Las przeświecało słońce i żółknące na drzewach liście stanowiły malowniczy widok.

– Ciekawe, czy są grzyby? – zainteresowała się Weronika, omijając leżące na ziemi gałęzie, by nie porwać rajstop.

– Jasne, że są. Gwidon nabierał w piątek całe wiadro. Pogadaj z nim, żeby cię zabrał na rydze. Ma swoje miejscówki, które chroni tajemnicą. Ale tobie może pokaże.

– Śmiało może mi pokazywać swoje tajne miejsca, bo ja się w lesie gubię i mogę po grzybach chodzić, ale ich nie widzę.

– Ja się z wami nie wybiorę, ale namówię Gwidona. A gdybyś się w lesie zgubiła, to szukaj słupków takich małych, betonowych. Krawędź między bokami z najmniejszymi liczbami wskazuje północ.

– To nie patrzeć na mech na drzewach?

– Spójrz na to drzewo – Zyta wskazała sosnę obrośniętą porostami.

Dziewczyny zaczęły się śmiać.

– Taki słupek? – Weronika właśnie stanęła przed znakiem.

– Dokładnie taki. Oznacza numery oddziałów leśnych.

– 19 i 12 – Weronika odczytała wyryte oznakowanie. – Imieniny Dupka.

– Że co?

– Dariusza. Dziewiętnastego grudnia... Zobacz, jaka piękna róża tu rośnie!

Opodal słupka w środku lasu... no może do środka to raczej daleko, ale w miejscu zupełnie nieoczystym, rósł krzew róży ogrodowej. Nie żadnej dzikiej róży, tylko takiej hodowanej do wazonu, wielokwiatowej. Nadal kwitła. Może nie tak okazała jak te przy domach, ale wciąż cieszyła oko.

– To dziwne w tym miejscu. Ale niespodzianka! – zachwyciła się widokiem Zyty. – Róża różą, a tam Gwidon głodny wróci. A obiad w lesie. Jak dojedziemy, wysadź mnie pod sklepem Stefaniakowej, bo zapomniałam o śmietanie do zupy.

– Okej, wracamy.

Weronika podwiozła kuzynkę zgodnie z jej życzeniem i dopiero u siebie na podwórku zorientowała się, że na tylnym siedzeniu zostały jej siatki z miejskimi zakupami. Zadzwoiła do Zyty, żeby powiadomić ją o fantach.

– Nie przejmuj się, to nic pilnego. Nakupiłam u Beatki ciuchów dla siebie i Gwidona. Raptem kilka T-shirtów. Przy okazji odbiorę.

– Podrzucę ci.

W momencie, kiedy się rozłączyły, na telefon Weroniki przyszedł SMS.

RCB.

– Ki diabeł? – Dziewczyna odczytała wiadomość. – Ostrzeżenie przed silnymi wiatrami... Zawsze panikują – uznała.

Rozejrzała się po niebie, szukając zwiastunów zmiany pogody. Czyściutki błękit niczego takiego nie zapowiadał.

– Dobra, odniosę ciuchy Zycie i pójde obejrzyć swoje włości.

No i prawie tak się stało...

Kiedy beztrąsowo wymachując siatkami, zbliżała się do domu kuzynki, ujrzała niepokojący widok. Zyta, która już dawno powinna doprawiać mężowi zupę śmietaną, stała zgięta w pół. Jedną ręką oparła się o swoją furtkę, drugą trzymała się za brzuch. Torebka leżała na ziemi.

Weronika przyspieszyła kroku.

– Co ci jest? – spytała przerażona.

– Wody mi odeszły. Cholera, nie miały kiedy!

– Musisz jechać do szpitala – zawyrokowała Wera.

– Ha, ha! – zakpiła Zyta. – Chyba na rowerze. Gwidon poszedł do Boczkowskiego w związku z tym jego kredytem i jak ich znam, to będą opijać interes. Jednym słowem, nawet jeśli go wydzwonimy, i tak po kielichu mnie nie zawiezie.

W tym momencie zatrzymała się przy nich czarna toyota. Szyba opadła i ukazała się twarz Bartka.

– Coś się stało? – spytał.

– Rodzi – krótko wyjaśniła Weronika. – Czekaj, lecę po samochód.

- Chcesz ją wieźć tą swoją popierdólką?! Wsiadajcie, zawiozę was.
- Wolałabym więzienną suką – mruknęła rodząca.
- Później się podąsasz – Bartek niezrażony odpowiedział już wysiadając, żeby pomóc.

Zyta dłużej nie oponowała.

- Torba! – zareagowała przytomnie.

Wręczyła Weronice klucze od domu.

- Na górze w sypialni pod oknem jest przygotowana torba szpitalna. Miałam nosa, że się spakowałam.

Wera biegiem wpadła po rzeczy, po drodze rzucając w kuchni siatki z lumpeksu. Starannie zamknęła dom i dołączyła do Zyty, którą w międzyczasie Bartek pieczołowicie umieścił na przednim siedzeniu. Ruszyli.

Jak łatwo się domyślić, kierowca niezbyt dbał o przepisy. Jechał, owszem, delikatnie i bez szarpania, ale na tyle szybko, na ile pozwalały warunki na drodze, nie bacząc, co pokazują znaki.

Kiedy znaleźli się na prostej, przycisnął pedał gazu. Nie na długo. Za zakrętem czyhali na niego znani nam z podobnej sytuacji policjanci. Nie było rady, Bartek zatrzymał wóz.

- Dokumenty proszę. – Bez zwyczajowego przedstawienia się zażądał aspirant Kornacki. – Ach, kogóż tu mamy?! Pan Gabriel.

- Panie władzo, wiozę kobietę do porodu – Bartek próbował się ratować.

- Każdy tak się tłumaczy – mruczał Bania.

Weronice trudno było wytrzymać te gadki. Zaczęła w niej kipieć wściekłość na służbistę.

- Ale ona rodzi – potwierdziła słowa kierowcy.

- Rodzi, nie rodzi, przekroczył pan prędkość – Bania nie dawał za wygraną.

- Panie aspirancie – nieśmiało wtrącił się posterunkowy Majewski, widząc wykrzywioną bólem twarz Zyty. – Chyba mówią prawdę...

- Żadna prawda nie zwalnia od przestrzegania prawa.

Tego już było Weronice za wiele.

- Żęz kurwa mać! – zaklęła na głos, wyskakując z samochodu.

Dopadła Korczyńskiego dwoma susami, złapała go za poły kurtki i zaczęła szarpać.

- Chyba ci te twoje gwiazdki na pagonach na łeb padły. Mówią ci, kretynie, że kobieta rodzi, a ty sobie jaja robisz. Udław się swoimi przepisami!

Jak na zawołanie wiatr sypnął kurzem z pola w oczy aspiranta.

- To jest napaść na funkcjonariusza! – Bania usiłował uwolnić się od Weroniki, ale ta, wzmocniona złością, ani myślała go puścić. Natarła na Korczyńskiego, pchając go w stronę wozu policyjnego.

- Na idiotę, nie funkcjonariusza! Przepisy?! Znasz, durniu przepisy? To ile dostaniesz za narażenie życia i zdrowia ciężarnej i nienarodzonego dziecka?! Mam najlepszych prawników. Już ja dopilnuję, żebyś trafił do jednej celi z grypsującymi. – Werka coś tam słyszała o zwyczajach więziennych i wykorzystaną tę mglistą wiedzę. – Pakuj dupę do radiowozu, włączaj koguta i eskortuj nas na porodówkę, parodio policjanta. – Puściła poły Bani i dosłownie wepchnęła go do policyjnego auta. – Ale już! – przynagliła. – A jeśli tych kilka minut, kiedy nas tu trzymałeś, będzie miało jakieś znaczenie dla ich zdrowia, to po tobie.

- Ja pierdykam! – W ten sposób Bartek wyraził swoje uznanie dla interwencji Weroniki. – Niezła jesteś. Będę uważać, żeby nie nastąpić ci na odcisk. Jeszcze mi życie miłe.

- Na temat życia, to ty może nie zabieraj głosu – zgasiła go Zyta chłodno.

Obojgu popsuł się nastrój wywołany przedstawieniem. Weronika nie rozumiała, co takiego przed chwilą wydarzyło się w samochodzie, że jej towarzysze zamilkli.

Dzięki pilotowaniu przez radiowóz dotarli przed szpital w błyskawicznym tempie. Zaczynało padać. Bartek pomógł Zycie wysiąść, z czego niechętnie skorzystała. Chociaż chłopak ewidentnie starał się okazać jej troskę, widać było, że gdyby nie konieczność, odepchnęłaby jego pomocne ramię.

– Dacie sobie radę? – spytał, kiedy stanęli przy ladzie recepcji na izbie przyjęć i postawił torbę z wyposażeniem na ziemi.

– A co? Będziesz za mnie rodzil? – fuknęła na niego Zyta.

Bartek tylko wzruszył ramionami, choć Weronika widziała, że zrobiło mu się przykro.

– Muszę was tu zostawić, bo czekają na mnie z włamaniami – tłumaczył się już tylko przed Werą, która zupełnie nie rozumiała, dlaczego działalność przestępcza ma u niego pierwszeństwo przed urodzinami nowego mieszkańca wioski.

– Skoro musisz... – Nie zdążyli dłużej porozmawiać, bo przybyła pielęgniarka, która zaopiekowała się Zytą i zabrała ją na oddział.

Bartek odjechał, a Weronika została na korytarzu sama.

Właściwie nie wiedziała, na co czeka. Nie mogła w żaden sposób pomóc Zycie w tej trudnej chwili. Chciała powiadomić Gwidona, gdzie są, ale nie miała jego numeru. Zawsze kontaktowała się z Zytą, nigdy z nim. Przypomniała sobie, że mecenas Kwiatkowski miał z nim jakieś interesy, więc spośród zapisanych połączeń udało jej się odszyfrować właściwą rozmowę i poprosić Kwiatkowskiego o przekazanie informacji Gwidonowi.

Teraz pozostawało czekać... Tylko na co? I jak długo?

Weronika usiadła na plastikowym krześle w korytarzu. Było zimne i niewygodne. Słyszała, jak za oknami coraz bardziej wzmaga się wiatr. Do recepcji co jakiś czas podchodziły kolejne osoby z personelu szpitalnego. Ich kroki odbijały się echem w pustym pomieszczeniu. Gdzieś nieopodal salowa myła podłogi. Odgłos metalowego wiadra brzmiał jak popsuty dzwon. Nic się nie działo. By zabić czas, Weronika zaczęła scrollować telefon. Z Facebooka dowiedziała się, że jej szkolna koleżanka właśnie bierze ślub, a Dupek, którego do tej pory nie zablokowała, wyjechał w Bieszczady z jakąś efektowną panienką.

– Szybko się pocieszył – zauważyła. – A ja tu ze wszystkich mężczyzn świata mam albo przestępcę, albo kuzyna z rodzącą żoną. A miało być tak pięknie. Zamiast siedzieć na porodówce, powinnam sama robić dzieci. W każdym razie coś w tym sensie. – Z westchnieniem wrzuciła telefon do torebki. – Gdzie ten Gwidon?

Czas mijał. Na dworze nastąpiła ciemność, a w okna korytarza chlustało deszczem. Słychać było wycie wichury.

– Pani jest siostrą pani Zyty? – Stała nad nią korpulentna położna w rozdeptanych chodakach.

Weronika uznała, że tłumaczenie pokrewieństwa nie ma sensu. Trudno byłoby tej zmęczonej kobiecie zrozumieć, że Zyta jest dla niej wnuczką z pierwszego małżeństwa trzeciego męża jej babci.

– Tak – potwierdziła, chociaż miała poczucie, że kłamie.

– Może ją pani odwiedzić. Tylko krótko.

Weronika zerwała się z miejsca i ruszyła za stukającą drewniakami położną.

– To tutaj – kobieta wskazała właściwe drzwi.

Gdy Wera je otworzyła, przeciąg z impetem pchnął okno i do sali szpitalnej wdarł się jesienny chłód, a parapet oraz podłoga zaczęły pokrywać się wodą. Weronika rzuciła się, by ratować sytuację.

– No, maleństwo, ale sobie wybrałeś pogodę na powitanie świata. Chłopiec czy dziewczynka? – Podeszła do łóżka Zyty, tulącej do siebie dzieciątka.

– Synek. Szybko poszło. A tak się bałam. Nasłuchałam się po wsi, jak to kobiety mordowały się ze swoimi porodami, a tu trochę bólu... No dobrze, przyznaję, bolało jak cholera... Ale i tak myślałam, że będzie gorzej.

– Śliczny jest – Wera zajrzała w zawiniątko. – A ty jesteś bardzo dzielna.

– Dobra, dobra, pogadaj sobie. Gdyby nie to, że się wstydziałam, tobym darła mordę na całe miasto.

- No właśnie czekałam, czy gdzieś będzie słycać twoje wrzaski. Twarda sztuka z ciebie.
- Nie taka twarda, bo najchętniej bym się teraz rozryczała.
- No to płacz. Nikomu nie powiem - Weronika puściła oko i chociaż Zyta naprawdę miała lzy w oczach, obie się roześmiały.
- Podaj mi torebkę, muszę zadzwonić do Gwidona.
- Dzwonić.

Z rozmowy małżonków wynikało, że Gwidon, choćby był nie wiadomo jak trzeźwy, i tak nie dojeżdże. Wichura wciąż trwa i już zdążyła wyrządzić wiele szkód. Droga przez las jest nieprzejezdna, bo leżą na niej połamane drzewa. Karpiński chciał odebrać pralkę z naprawy i musiał wrócić, bo nie dało się przejechać. Ledwie uszedł z życiem, bo ślisko i samochodem miało na wszystkie strony. Wylądował w czyimś polu. Nawet pociągi nie jeżdżą, bo zerwało trakcję.

- Zdaje się, że obie ugrzęzłyśmy - westchnęła Werka.

W tym samym momencie do pokoju wkroczyła znana nam położna.

- Proszę już opuścić salę. Dajmy pani odpocząć. - Zatrzymała się w progu, dając do zrozumienia, że to jednak nie prośba.

Weronika uściśnęła ramię Zyty i posłała dziecku buziaczka na pożegnanie, po czym posłusznie wyszła.

Zatrzymała się w otwartych automatycznych drzwiach wejściowych szpitala. Stanowiły granicę między ciepłem i chłodem, światłem i ciemnością, zawieruchą i spokojem, suchym i mokrym światem. Chwilę stała, zastanawiając się, jak wróci do domu. Samochód został na podwórku. Autobusy kursujące do wsi, oprócz szkolnych, były cztery dziennie, a w dni świąteczne tylko dwa. Dziś już żaden nie jedzie. Zostawała jej tylko taksówka.

- Cholera, ciekawe, ile wybijie licznik? - Analizowała, czy stać ją na tak odległy kurs. - A tam, w dupie. Ponoć jestem bogata.

Dowiedziała się od recepcjonistki na izbie przyjęć o numer taxi. W słuchawce usłyszała tylko, że żaden kierowca nie odważy się teraz ruszyć w trasę. Nadal trwa nawałnica i wszystkie kursy poza miasto i w mieście w rejonach zadrzewionych są odwołane.

- Kurde, utknęłam.

W desperacji zadzwoniła do Bartka.

- Czekał przy wejściu głównym - polecił, zanim zdążyła mu opisać sytuację.

Zjawił się mniej więcej po trzech kwadransach. Zajechał pod same drzwi podjazdem dla karettek.

- Przedarłem się polami, bo główna droga nieprzejezdna. Nie wiem, czy damy radę wrócić, bo miedze już tak rozmiękły, że możemy ugrzęznąć. Dobrze, że mam napęd na cztery - relacjonował warunki, kiedy znalazła się w aucie. - Jeśli się boisz, to możemy przeczekać u mojego kumpla w mieście.

Przeanalizowała sytuację. Cały czas brzmiała jej w uszach „Bartek jest złym człowiekiem”. Swobodnie mówi o przestępstwach i właśnie z jakiegoś wraca. Jego kumpel zapewne jest podobny do niego. Jeden kryminalista to aż nadto, a dwóm na pewno nie dałaby rady.

- Co mnie podkuśiło, żeby do niego dzwonić? - pomyślała. - Mogłam przeczekać w spokoju do rana i wrócić autobusem. Kimnęłabym trochę na krześle. - A głośno zdecydowała: - Spróbujmy jechać.

- Jak chcesz. Dla mnie to przysto, ale żebyś mi w razie czego nie płakała. - I ruszył.

Po takim dictum Weronika miała ochotę wysiąść w biegu. Nie wiedziała, czego może się spodziewać. Tymczasem wycieraczki nie nadążały zgarniać wody z szyb. Wiatr rzucał samochodem na boki. Pomimo zamkniętych okien słycać było, jak gwizdże i huczy. Samochód zjechał w boczną drogę i po chwili skręcili z niej, zostawiając asfalt. Pasażerami pomimo zapiętych pasów miało we wnętrzu. Koła co chwilę rozpryskiwały błoto i kałuże. Weronika widziała, jak gną się drzewa i jak porwy wiatru unoszą drobne przedmioty i fragmenty roślin. Obiła sobie ramię o profil w drzwiach. Usiłowała trzy-

mać sztywno głowę, żeby nie uderzyć w boczną szybę. Reflektory sięgały niedaleko w przód. Widać w nich było jedynie smugi deszczu i wciąż rosnące rozlewiska na drodze.

– Ale jazda! – Bartek zdawał się zachwycony. Wręcz bawiły go te warunki.

– Chyba ci odbiło! – Spojrzała na niego z przestraszonym.

– Owszem – przytaknął bez żenady. – Ale to już dawno. I tak mi zostało – żartował.

– Nie boisz się takich warunków? – spytała, by się upewnić, że chłopak naprawdę nie dostrzega niebezpieczeństwa.

– „To lubię – rzekłem – to lubię!” – Bartek zacytował wieszczka i roześmiał się tym swoim niebezpiecznie uwodzicielskim śmiechem.

Werka zamilkła.

– Wariat – pomyślała i z zaciśniętą na uchwycie nad drzwiami pięścią czekała na koniec tego szaleństwa. Miała wrażenie, że nigdy nie nastąpi.

Jedno trzeba było Bartoszowi przyznać – znał okolicę i pomimo panujących ciemności i braku jakichkolwiek punktów odniesienia dokładnie wiedział, gdzie się znajduje. Nieomylnym instynktem wybierał właściwą drogę między rozwidlającymi się miedzami. W końcu Weronika zauważyła wynurzające się z mroku światła domostw. Wjechali do wsi pomiędzy gospodarstwami, gdzieś od strony pól.

Bartek zręcznie wyminął koszyk gnany wiatrem po jezdni i pomachał sąsiadowi, który z młotkiem w rękę w strugach deszczu stał na drabinie. Trochę dalej mruknął:

– Marek już śpi. Temu to sumienie nie przeszkadza nawet w taką pogodę.

– Skąd wiesz, że Marek śpi?

– To jego dom. W oknach ciemno – wyjaśnił i skupił się na tym, co przed maską.

Droga prowadząca przez wioskę usiana była połamanymi gałęziami. Szosą toczyły się jakieś sprzęty gospodarskie: wiadro, skrzynki, a nawet czyjś kalosz. Bartek musiał omijać porzucane przez wiatr przeszkody. O szyby auta uderzały liście, patyki i fruwające wszędzie drobiazgi. Chłopak z piskiem opon zahamował przed furtką Weroniki.

Patrzyła w świetle reflektorów na rozciągające się przed jej oczami pobojuwisko. Ogromna topola, jedna z tych, które rosły przy drodze, zwała się na jej ogródek, miażdżąc przeszło płotu. Lipa z podwórka straciła wielki konar. Zwiślał niebezpiecznie, kołysząc się na kilku wiórkach, i skutecznie zagradzał dostęp do ganku.

Wciąż lało.

Weronika zrozumiała, że jeśli w tych potokach wody spróbuje utorować sobie drogę do wejścia, to raz, że natychmiast przemoknie, a dwa, sama nie da rady odwalić tej przeszkody z ganku. Trzy, może to sobie zwalić na głowę i skończyć z powrotem w szpitalu, skąd właśnie wróciła.

W tej chwili aż drgnęła. Usłyszeli głuchy trzask i tuż za nimi powaliła się druga topola. Padając, zerwała przewody linii naziemnej. Sypnęło iskrami, zasyczało i w całej wiosce zgasło światło.

– Musimy stąd odjechać, póki nas nie zmiażdżyło – trzeźwo zauważył Bartek.

Weronika analizowała, gdzie może bezpiecznie przeczekać tę nawałnicę.

– Zawieź mnie do Gwidona, jeśli możesz – poprosiła.

– Mogę, ale nic to nie da, bo Gwidon u brata oblewa narodziny syna. Zanim zadzwoniłaś, spotkałem ich w sklepie Stefaniakowej, jak kupowali litra czystej... Co tak patrzysz? Przecież i tak nie dojechałby do żony do szpitala. – I zmienionym głosem dodał: – On nie.

Do Weroniki dotarło, co Bartek mógł albo chciał przez to powiedzieć. Gwidonowi zabrakło odwagi, wiary, samozaparciu, aby w tę pogodę dostać się do rodzącej żony, gdy tymczasem Bartek bez chwili zastanowienia wsiadł w samochód, by niepewną drogą dotrzeć z pomocą komuś obcemu.

– Nawet nie próbuj przedrzeć się do dworku – potwierdził jej przemyślenia.

– Kiedy nie mam tu nikogo na tyle zaprzyjaźnionego... – Nie skończyła zdania.

Gdy przyjeżdżała tu na wakacje, bywała w domach wielu rodzin, bawiła się z rówieśnikami, ale z nikim nie nawiązała tak ścisłych kontaktów, by uważać go za przyjaciela. Jej przyszywani kuzyni zawsze traktowali ją jak przybłądę z miasta, która chce ukraść ich kawałek placka. Jedyne Zyta była jej przychylna... I Gwidon. Ups!

– Nie łam się. – Tracił ją lokciem w geście pocieszenia. – Jedziemy do mnie – zdecydował. – Mam nadzieję, że mój dom jeszcze stoi.

Nie podobał jej się ten pomysł, ale nie było innego wyjścia. Podjechali pod skromnie wyglądający budynek.

– Zaczekaj w samochodzie, póki nie otworzę drzwi od chałupy – polecił. – A jak dam znać, że gotowe, to tylko zatrzaśnij samochód i biegnij szybko, żeby nie zmoknąć.

Weronika zarzuciła kurtkę na głowę, zanim wysiadła.

– Następną kupię z kapturem – obiecała sobie.

Biegnąc do wejścia, zmoczyła nogi do kolan. Obstukała buty z błota i wkroczyła w ciemność.

– Zaczekaj – usłyszała oddalający się głos Bartka. – Stój tam chwilę, bo sobie jeszcze o coś nabijesz guza. Zaraz zorganizuję jakieś światło.

Stała więc, jak kazał. Do jej uszu dobiegały szurania, trzaskania, przesuwania i wreszcie została oślepiona niespodziewanym blaskiem. Pomieszczenie wypełniło się światłem latarki tak skonstruowanej, że mogła świecić w obranym kierunku albo zamieniała się w lampion. Bartek przełączył kilka razy w każde ustawienie, żeby wybrać najskuteczniejsze do ich sytuacji.

– Rozgość się – ogarnął dłonią pomieszczenie.

Na chwilę zniknął za jakimiś drzwiami i wrócił, podając dziewczynie ręcznik.

– Czysty – zastrzegł. – Prosto ze sznurka. Zaraz zrobię gorącą herbatę. I pewnie jesteś głodna? Wybacz, mam tylko kiełbasę podsuszaną i bułki. Za to świeże. Rozumiesz, męskie gospodarstwo.

– Wystarczy aż nadto. Dziękuję i za to. Naprawdę nie zawracałabym ci głowy, gdybym miała się do kogo zwrócić – sumitowała się.

– Spoko. Najważniejsze, że jesteśmy bezpieczni... Chyba – dodał, bo pod naporem wiatru w kominie huczalo, a cały dom aż się trząsał.

Weronika rozejrzała się.

– Fajnie tu masz – pochwaliła szczerze. – Chociaż trochę nietypowo – dopowiedziała.

– Bo to nie był dom mieszkalny, tylko stara kuźnia. Odkupiłem ją od twojej babci, kiedy we wsi nie było już ani jednego konia, a kowal umarł ze starości. Przedtem ona odkupiła to od niego. Przeniósł się do miasta do córki i nie chciał tam trafić jako biedak, więc spieniężył co miał i do gospodarstwa chciwej córusi wniósł kawał grosza.

– Nie wiedziałam, że babcia miała kuźnię.

– Bo kiedy ją przejęła, to już palenisko nie zapłonęło ani razu. Zresztą kowal wcześniej wyprzedził całe ruchome wyposażenie.

– A dlaczego sprzedała ją tobie? – Pytanie miało być niewinne, ale zawierało w sobie chęć zrozumienia, dlaczego babcia, mądra osoba, powadziła interesy z kimś, kogo cała wieś uznawała za złoczyńcę.

– Bo potrzebowałem domu. To długa historia – chciał uciąć temat.

– Nigdzie się nie spieszę – Weronika starannie złożyła ręcznik na pół i przewiesiła przez oparcie krzesła.

Bartek westchnął i ważąc każde słowo, zaczął opowiadać.

– Pewnie słyszałaś, jestem przestępcą. Wyrzekła się mnie rodzina, straciłem przyjaciół... Widocznie nie byli moimi przyjaciółmi. Próbowalem życia w mieście, ale też mnie nie zaakceptowało. Źle się tam czułem. Tęskniłem za polami, za tym koślawym kościołem, za sklepem Stefaniakowej, nawet za komarami latem. Byłem tam tylko tyle, ile trzeba i postanowiłem wrócić. Tylko nie miałem dokąd. I wtedy

twoja babcia za małe pieniądze, i to w ratach, sprzedała mi kuźnię. A że umiem to i owo, moje dochody i te dwie ręce pozwoliły na stopniowe przerobienie kuźni w dom.

Mówił o tym tak spokojnie, że Weronika na moment zapomniała, z kim ma do czynienia. Musiała się przywołać do porządku.

Już dawno zjedli bułki z kielbasą i wypili gorącą herbatę. Zrobiło się naprawdę późno i Werka zaczęła odczuwać zmęczenie dniem pełnym wrażeń. Bartek zauważył, że oczy jej się rozjeżdżają.

– W gabinecie mam kanapę. Proponuję, żebyś się tam przespała. Mam dwa wolne koce, to ci je polewę. – Chłopak prowadził ją na górę.

Idąc po schodach, zżymała się w duchu:

– Gabinet... Jasne! Gabinet przestępcy... W kuźni!

Ale kiedy weszli do pomieszczenia i zobaczyła, jak jest wyposażone, zmieniła zdanie.

– O kuźwa – wyrwało jej się. – Gabinet!

– Dziękuję. – Bartka rozbawiła jej reakcja, a była jak najbardziej uzasadniona.

Pokój był wyposażony w surowe meble: bibliotekę wypełnioną książkami, oszkloną szafę pełną segregatorów i skoroszytów, komodę z czterema szufladami, skórzany obrotowy fotel i biurko, a na nim... komputer najnowszej generacji, nie żaden laptopik z hipermarketu, tylko komputer z bazą, klawiaturą i dwoma monitorami, każdy tak ze czterdzieści cali. Do tego kombajn – skaner z drukarką A3, głośniki i jakieś dostawki, o których przeznaczeniu nie miała pojęcia.

Miękka kanapa zajmowała ścianę naprzeciwko okna i chociaż była niemających rozmiarów, w porównaniu z resztą wyposażenia stanowiła detal.

– Powinno ci tu być wygodnie.

Wyjął koce z dolnej szuflady komody. Po chwili przyniósł poszwy i wspólnymi siłami oblekli pościel.

– Jakbyś czegoś potrzebowała, to daleko nie znikam. Dobranoc.

I wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

Weronika w pierwszym odruchu sprawdziła, czy tylko na klamkę.

Chwilę zastanawiała się, czy i ewentualnie jak zabezpieczyć się przed nieproszoną wizytą. Jednak po namyśle uznała, że gdyby chciał jej zrobić krzywdę, to miał do tego mnóstwo okazji i nie musiałby jej karmić kielbasą. Nie bacząc na potencjalne zagrożenia, położyła się pod pachnącym czystością przykryciem. Za moment przestała słyszeć wycie wiatru i trzeszczenie belek. Odleciała w niebyt.

– Śniadanie! – usłyszała wołanie z dołu.

Nie od razu dotarło do niej, gdzie jest i co tu robi. Usnęła tak szybko, że przyszło jej do głowy, że nie był to sen naturalny. Jednak żadne objawy ciała nie wskazywały na jakieś środki odurzające. Czuliła się rześka i wyspana.

Kierując się wyglądem drzwi, odnalazła łazienkę.

– Oszczędzaj wodę, hydrofor nie działa! – usłyszała ostrzeżenie.

Ograniczyła toaletę do minimum. Wyszła z niej gotowa do działania.

– Jak się spało? – Bartek krzątał się przy kuchni.

– Dziękuję... – Chciała użyć swojego ulubionego określenia „nieżywo”, ale w domu przestępcy nie pasowało. – Świetnie. Masz supersprzęt – dodała bez związku. – Nie bałeś się, że włamię się do twojego komputera?

– Zabezpieczony hasłem.

– Mogłam zhakować.

– Z całym szacunkiem... We własnym domu nie potrafisz włączyć prądu. Nie żebym ci to wypominał... Wcinaj.

Położył na środku stołu kuchenną deskę, a na niej parującą patelnię.

– Jajecznicza? Jakim cudem?

– Tym razem bez cudów. Byłem głodny, a lodówka pusta, więc pojechałem do sklepu. Wyobrazasz sobie Stefaniakową bez prądu? Wolisz kawę czy herbatę?

– Herbatę poproszę.

– Okej, najpierw herbata, potem kawa – domyślił się.

– Generalnie tak byłoby super, ale nie rozsiadajmy się tu, bo musimy zobaczyć, czy mój dom jeszcze stoi na swoim miejscu.

– Mijałem go. Stoi. I tłum ciekawskich przed domem też. Myślą, że nie żyjesz. Ale pocieszę cię, że nie tylko u ciebie są zniszczenia. Powiem więcej, u ciebie to pikus. Podrzucę cię tylko i muszę cię zostawić, bo zaraz jadę do miasta. Za niecałą godzinę jestem umówiony po czujki i potem na robotę.

– Kolejne włamanie? – domyślała się, ale nie wypadało jej tego skomentować.

Nie zawracali sobie głowy sprzątnięciem po śniadaniu. Bartek wrzucił naczynia do zlewu i zalał je wodą, żeby nie zaschły. Wsiadli do samochodu i ruszyli rozpocząć każde swój dzień. Bartek zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od domu Weroniki. Z daleka widziała zgromadzenie przed bramą i domyśliła się, że nie chce, by ich razem widziano. Była mu za to wdzięczna i jednocześnie zawstydzona się tej myśli. Ostatni odcinek przeszła na piechotę.

– Dzień dobry – grzecznie powitała sąsiadów.

Odwrócili się, dopiero teraz odkrywając, że trupa gospodyni nie ma w domu, tylko właśnie żywa nadeszła.

– Szczęść Boże – odpowiedziała jedna z sąsiadek. – Już myślałem, że panią tam przygnietło.

– Chwalić Boga, udało mi się ocaleć. Bardzo dziękuję za troskę.

– Niech pani nie próbuje wchodzić pod tym konarem. On wisi na jednym włosku. Jeszcze pani na głowę spadnie.

– Jednak jakoś będę musiała się dostać do domu.

– Trzeba to najpierw obciąć do końca i uprzętnąć, bo nawet jak się urwie, to i tak będzie zawadzać. – Rady pojawiały się jedna za drugą.

– Zgadzam się. Tylko czy macie pomysł, kto i jak mógłby mi w tym pomóc. Jeśli będzie taka konieczność, to zapłacę.

– Bez łaski to strażaki, ale oni po wczorajszym huraganie mają tyle wezwań w okolicy, że do nas przyjadą na święty nigdy.

– To trza piłą mechaniczną – zauważył ktoś.

– A bo to mało piłów mechanicznych we wsi? – usłyszała gdzieś za plecami.

– A najbliższa? – zapytała.

– Najbliżej to chyba Marek. Widziałem bodaj latem, jak kupował piłę łańcuchową. I u niego niczego nie związo, to jak się poprosi, to się z tym uwinie.

– Z tą gałęzią to da radę, ale to duże drzewo bez siły fachowej się nie obejdzie.

– I do urzędu trza zgłosić.

Zasypana radami próbowała ogarnąć myśli.

– Sie pani nie stresz – usłyszała pocieszający głos. – Wydzwoniłem Marka, za pół godzinki sie tu stawi.

– A topole to sie załatwi we dwie naraz. Jak sołtys będzie interweniował i energetycy, to szybciej sprzątną.

Gromadka sąsiadów stopniowo zaczęła rzednąć. Weronika żyła, nie ma trupa, więc nic ciekawego już ich nie czekało, a każdy miał w swoim obejściu coś do roboty. Nie było gospodarstwa, które choćby w małym stopniu nie ucierpiało w wicherze. Każdego czekało przynajmniej zmiatanie.

Nie minęło pół godziny, jak zjawił się Marek. Jak zwykle zgarbiony, nieogolony i mrukliwy.

– Masz drabinę, czy mam lecieć po swoją? – spytał.
– Mieć mam, tylko się do niej nie dostanę.
– Będę musiał z drabiny dostać się na tamtą gałąź, żeby to odciąć – pokazywał. – A potem na dach, do tamtego konara. Zaraz wracam.

– Nigdzie się nie wybieram.

Zaopatrzone w drabinę Marek zabrał się do ratowania dobytku Weroniki. Trochę hałasu, trochę smrodu z benzyny i po chwili największa przeszkoda padła przed gankiem. Marek z niemalym wysiłkiem odciążając pocięte konary, by umożliwić wejście.

– Z tyłu jeszcze balkon jest zawalony – oznajmił, sapiąc. – Łatwiej będzie się do niego dostać z wnętrza domu.

Weronika dobytek kluczy i udostępniła wejście. Sama przyglądała się pracom z ogrodu. Patrząc na Marka, odkryła, że pod tym abnegackim image'em kryje się całkiem przystojny mężczyzna.

– Słuchaj – dobiegło ją z góry. – Tu jest uszkodzony dach. Nie bardzo, ale jeśli się nie zabezpieczy, to będzie ciekło.

– To co radzisz?

– Ja potnę te gałęzie, a ty jedź jak najszybciej do jakiegoś składu budowlanego albo do ogrodniczego i kup plandekę albo grubą folię. Możemy to prowizorycznie zabezpieczyć, ale i tak bez dekarza nie poradzisz. I na twoim miejscu bym się pospieszył, bo sporo dachów ucierpiało i cały powiat już wykupuje plachty od deszczu. Nad ranem odblokowali drogi, to wszyscy za chwilę rzucą się na materiały.

Werka tylko machnęła ręką na znak, że ma zamiar zastosować się do rady i wsiadła do kijanki. Samochód, który cudem ocalał z pogromu, swobodnie wyjechał z posesji. Zostawiła dom pod opieką sąsiada i ruszyła na poszukiwania folii. Jak przewidział Marek, nie było łatwo. Sklepy budowlane i działły ogrodnicze były oblegane. W jednym z nich doszło do rękoczynów. Wera zastanawiała się nad sklepem żeglarskim. Przecież łódzie czymś się na zimę zabezpiecza. Tylko czy w takiej dziurze znajdzie sklep żeglarski? Krążąc po mieście, zauważyła manekina ubranego w kombinezon i odblaskową kamizelkę. Tulił do piersi tablicę z napisem „BHP”. Coś ją tknęło, żeby zajrzeć pod ten adres.

– Jaki wymiar? – usłyszała zamiast dotychczasowego „nie ma”.

– A jakie pan ma? – Nie była przygotowana na takie pytanie. – Wezmę wszystkie.

Gdy wróciła do domu, zastała Marka w sypialni. Trochę się tym speszył, ale wyjaśnił, że sprawdzał wszystkie okna, czy któreś nie ucierpiało.

– Zrobiłem, co mogłem, ale nie jestem ani specjalistą od utylizacji odpadów zielonych, ani dekarzem. Będziesz potrzebowała obu. I zacznij od wydziału ochrony środowiska, bo te dwie topole trzeba zgłosić, zanim się je usunie.

Zabezpieczył jeszcze folią naderwany przez padające drzewo narożnik dachu i urwaną rynnę i zostawił Weronikę samą z nie do końca rozwiązany problemem.

Stała na środku podwórka i rozejrzała się po pobojowisku. Wszędzie wały się połamane gałęzie. Okaleczone drzewa wyglądały żałośnie. Czerwony dach miał nad kuchnią niebieską plamę z ochronnej folii.

– Kurdesz! Ten dom przeżył wojnę, komunizm i okres przemian. A ja go w ciągu zaledwie kilku dni doprowadziłam do ruiny.

W przypiływie przytomności umysłu przesunęła jeszcze termin monterom internetu. I tak bez prądu i światłowodu niczego by nie wskórali.

Weronika była zmęczona, zestresowana i po nocy poza domem czuła się nieświeżo. Postanowiła najpierw się wykąpać i założyć czyste ubranie. Nic z tego. Bez podłączenia do zasilania piec, chociaż gazowy, nie działa, bo rządzi nim elektronika. Ciepłej wody brak.

– I tak wróciliśmy do punktu wyjścia.

A kiedy stwierdziła jeszcze, że w ferworze walki z żywiołem zgubiła gdzieś kolczyk, usiadła przy kuchennym stole i się rozplakała.

Wkrótce się okazało, że Wera nie jest takim pechowcem, za jakiego się uważała.

Po pierwsze sprawdziła stan konta, żeby się zorientować, czy stać ją będzie na wszystkie naprawy. Przeżyła niemały szok, bo nie spodziewała się takiego salda. Czym prędzej zadzwoniła do mecenasa Kwiatkowskiego, od którego usłyszała, że jej rachunek został zasilony zaległymi opłatami z tytułu czynszów w kamienicach.

– Zarządca z konta operacyjnego opłacił wszystkie zobowiązania. Ma pani tak podpisaną umowę, że gdyby nawalił, musi pokryć wszelkie kary i naliczenia z własnej kieszeni. Podobnie odpowiedzialność finansową za błędy i niedopatrzienia ponosić będzie księgowa. Wynika z tego, że pieniędzmi, które są na pani osobistym koncie, może pani dysponować bez ograniczeń. To jest pani dochód. Z dzierżawy łąki podobnie. I proszę pamiętać, że ta kwota uzbierała się od czasu odejścia do lepszego świata świętej pamięci pani Weroniki. Następne transze będą znacznie niższe. Aha, i mam dla pani świeżą wiadomość od administratora, żeby się pani nie martwiła, bo po wczorajszych wichurach nie ma żadnych szkód w kamienicach.

– Ja pierdykam! – padło z ust Wery, gdy tylko się rozłączyła. – Jak mówił, że jestem bogata, to myślalam, że przesadza.

Kolejnymi telefonami załatwiła wszystko. Dogadała się z sołtysiem w sprawie zwalonych topoli. To nie były jej drzewa, więc bardzo się ucieszył, gdy zadeklarowała, że się tym zajmie. Zgłoszenie wiatrołomów do urzędu wymagało załączenia zdjęcia. Ekipa z wolnymi terminami znalazła się dopiero w sąsiednim województwie, na szczęście blisko jego granicy. Podobnie rzecz się miała z dekarzem.

– Mogę przyjechać na tę robotę, ale będzie to panią kosztowało dwie stowy więcej za drogę.

– Nie będę się targować, kiedy mi leci na głowę. A co tam, stać mnie – pomyślała, a do słuchawki rzuciła tylko: – Przyjeżdżaj pan jak najszybciej.

– Jutro o szóstej?

– O dziewiątej. Chyba że zacznie padać, to jeszcze dziś.

Energetycy powiadomieni przez sołtysa obiecali pracować nawet w nocy i faktycznie, kiedy Weronika wstała rano, światło już było.

– Hura! – ucieszyła się.

Dekarz pojawił się piętnaście minut spóźniony i uwinął się z robotą błyskawicznie.

Miał cały samochód różnego rodzaju narzędzi, łącznie z gigantycznymi nożycami do cięcia blachy. I wszystkie przydatne materiały. Nigdzie nie musiał jeździć, brać żadnych zaliczek ani tracić czasu na podróże do sklepów. Już w rozmowie telefonicznej przeprowadził z Weroniką dokładny wywiad i zgodnie z nim przygotował się co do śrubki. Poruszał się po dachu ze sprawnością małpy i każdy jego ruch był celowy. Precyzyjnie przewidywał, co będzie mu w danej chwili potrzebne, ograniczając do minimum konieczność schodzenia po narzędzia.

– Oczyszczę pani jeszcze rynny, bo liści naleciało. Pod koniec miesiąca, jak reszta spadnie, trzeba będzie to powtórzyć.

Zainkasował sowitą opłatę i już spieszył się na następną robotę. Wyjeżdżając, minął się w bramie z tymi od drzew.

Oni zajechali wielką ciężarówką z dźwigiem zaopatrzoną w chwytak do kłód. Ich piły miały miecze długości ponad metr. Sprawnie pocięli topole na kawałki mniej więcej dwumetrowe i równie zręcznie ułożyli w zgrabny stosik na lawecie. Dwoma mniejszymi piłami potraktowali grubsze gałęzie i konary. Szczapy wrzucili na przyczepkę. Cieńsze patyki i młode gałązki – do rozdrabniacza. Do pojemnika, który potem wywieźli, wypływał kawałki wielkości małego palca. Jeszcze po sobie zagrabili. Jedynym

śladem na podwórku Weroniki po wichurze było połamane ogrodzenie. Ale chwilowo nie była w stanie załatwić żadnej ekipy do naprawy. Musiało zaczekać kilka tygodni. W Polsce jest JEDEN producent tego rodzaju elementów ogrodzeniowych.

– Chyba powinienam zajrzeć do lasu – zagadnęła w rozmowie z sołtysem, kiedy zdawała mu relację z przebiegu prac oczyszczania terenu. – Czy tam też mam zrobić jakiś porządek?

– Najlepiej, jak pani na ten temat porozmawia w nadleśnictwie – poradził.

– To może najpierw zobaczę, jak to wygląda.

Weronika założyła kalosze, cieplejszą kurtkę i ruszyła drogą prowadzącą przez własne łąki w stronę lasu. Szła i szła, bo obszar pastwisk był, jak na jej wyobrażenia o łące, ogromny. W perspektywie widziała sporych rozmiarów zwartą kępę drzew – jej las.

– Ładny – stwierdziła, gdy postawiła w nim pierwsze kroki.

Weszła w głąb, rozglądając się po koronach i patrząc pod nogi.

Las był młody, więc drzewa ugięły się pod naporem wiatru, zamiast stawiać mu opór. Dzięki temu ocalały. Niewiele się tu nabalaganiło. Pospadało trochę patyków i to wszystko. Możliwe, że największa nawałnica przeszła bokiem, nie wyrządzając w drzewostanie żadnych szkód.

Weronika wypatrzyła jesienne liście konwalii, minęła zeschnięty chruśniak, kępę jałowców. Kalosze zapadały się w miękki mech. Za krzewami jeżyny odkryła niespotykany w lesie widok... To znaczy zazwyczaj niespotykany, bo Wera spotkała się z nim drugi raz. Z zalegającego na ziemi listowia wyrastał krzew róży.

– Kurdesz, róża w lesie? W moim lesie? Dziwne... Ale piękne. Jesienna róża... No dobrze, inspekcja przeprowadzona, wracamy.

Nie miała kłopotów, żeby trafić z powrotem. Po pierwsze, las nie był rozległy, po drugie, weszła do niego prosto z dróżki prowadzącej przez łąki, jakby jej przedłużeniem. Wystarczyło zrobić w tył zwrot, żeby wyjść ponownie na dukt. Po chwili kroczyła łąką. Własną łąką.

– Kawał ziemi. I to mojej. Jestem rolniczką.

Ta konkluzja przypomniła jej, że ma również inny zawód i zobowiązania względem redakcji i agencji reklamowej, z którymi współpracowała. Owszem, ustaliła, że potrzebuje trochę czasu na ogarnięcie się w nowym miejscu, ale jak długo mogą czekać, żeby ona się ogarniała?

– Jestem bogata – przypomniła jej się. – Ale czy to znaczy, że mam przestać pracować?

Lubiła to, co robiła. Od dziecka uwielbiała czytać i już jako nastolatka czepiała się uchybień w książkach. Potrafiła nie tylko wychwycić literówki, przy czym świetnie знаła ortografię, ale nie uszły jej uwadze inne nieścisłości. Redagowanie cudzych tekstów i ich korekta dawały sporą satysfakcję. Wiele się przy tym uczyła, bo czytając opracowania, z każdej książki, każdego artykułu dowiadywała się czegoś nowego. Lubiła też sama tworzyć. W agencji była copywriterem, jak to określała „trochę dla nich frilansując”. Czasami wpadało jej jakieś proste tłumaczenie. Za poważniejsze się nie brała, bo w zasadzie tłumaczem nie była. Znajomość języka w stopniu biegłym nie wystarczała. Co innego porozmawiać przy winie o Elvirze Madigan Mozarta, a co innego tłumaczyć opracowania o koncertach. Koledzy namawiali ją, żeby wreszcie napisała coś większego, jakąś powieść, najlepiej kryminał, ale wolała wyszukiwać błędy w cudzych publikacjach i miała do tego oko. Zleceń nie brakowało. Mogła się oganiać miotłą od kolejnych zamówień. Ale może najpierw skończyłaby te, które tkwiły w plikach jej laptopa. Nie wisiał nad nią żaden deadline, ale poganiała ją własna wrodzona przyzwoitość.

– Dobra, wezmę się, jak mnie podłączą.

Wracając od strony własnego sadu, westchnęła nad dywanem spadłych jabłek. Marnowało się mnóstwo dobra, którego sama nie była w stanie zagospodarować.

– Przecież to grzech, żeby tu gnily – pomyślała.

Zdała sobie sprawę z tego, że nikt ich nie kupi. Po pierwsze, każdy we wsi ma jakąś jabłonkę i to nie jedną, po drugie, większość z nich jest uszkodzona, po trzecie, jest ich za mało do przerobu przemysłowo-

wego.

– Kto może chcieć większą ilość jabłek? – zastanawiała się głośno.

Przyszedł jej do głowy dom dziecka. Odszukała w internecie telefonu jakiś numer do placówki rodzinnej, cokolwiek to znaczy. Mężczyzna, który odebrał połączenie, bardzo ucieszył się z jej propozycji.

– To może my przyjedziemy z chłopakami i pozbieramy, żeby pani się nie męczyła? – poddał pomysł. – Możemy nawet dziś, bo jutro chłopcy mają trening.

Dowiedział się, jak trafić i za pół godziny pojawili się we trzech: starszy mężczyzna i dwóch nastolatów. Opiekun chłopców rozeznał się w sadzie.

– Wszystko to pani chce przekazać? – spytał.

– Tak. Ja kompotów nie lubię i jakoś nie mam natchnienia, żeby robić przetwory.

– Dla nas to za dużo. Czy pozwoli pani, że powiadomię znajomych z innej placówki?

– Jasne, bierzcie wszystko, byle się nie zmarnowało.

Kolejny telefon do kolejnego rodzinnego domu dziecka i kolejny samochód z ekipą.

– Masz gości, to nie będę przeszkadzał. – Nawet nie zauważyła, kiedy na jej podwórku pojawił się Bartek. – Przyszedłem tylko oddać ci własność. – Na wyciągniętej dłoni zobaczyła kolczyk, który dostała od babci i którego stratę zdążyła już oplakać.

– Ooo! Dzięk! – ucieszyła się. – Skąd wiedziałeś, że jest mój?

– Może nie przy panach – Bartek puścił oko, jednoznacznie dając do zrozumienia, gdzie go znalazł, a jednocześnie pozostawiając wszystkim pole do wyobraźni.

Weronika, nie wiedząc czemu, zaczerwieniła się.

– No to nie przeszkadzam, lecę. – Bartek chciał się pożegnać.

– Możesz pomóc, jeśli nie masz nic do roboty. Przyda się dodatkowa para rąk.

– Chętnie – nieoczekiwanie wyraził gotowość do pomocy. – Tylko tych siateczek to będzie chyba trochę za mało... Przepraszam, muszę odebrać telefon.

Uwaga Bartka była jak najbardziej uzasadniona. Bo goście Werki mieli ze sobą jedynie reklamówki. Nie spodziewali się, że dar będzie tak obfity.

Weronika przypomniała sobie o skrzynkach w komórce, więc zaprosiła mężczyzn, żeby pomogli je przynieść.

– Jak to jest być rodziną zastępczą? – spytała po drodze.

– Tak jak zwyczajną, tylko weselej – odparł jeden z ojców. – Chociaż teraz jakby mniej...

Weronika zamiast zapytać o wyjaśnienia, tylko spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Była z nami nasza rodzona najstarsza córka – zaczął opowiadać. – Bo mamy... mieliśmy trójkę własnych dzieci. Była świetna. Dogadywała się z chłopakami, a oni dla niej w piekło by poszli. Bardzo nam pomagała. Jak była jakaś trudna sprawa do załatwienia z dziećmi, to jej najlepiej szło, żeby się otworzyły.

– I co się stało? – spytała Wera.

– Wyszła na spotkanie i zaginęła. Nawet nie wiemy, z kim miała się spotkać, oprócz tego, że z mężczyzną. Taka była podeksycytowana. Pamiętam ten dzień jakby to dziś było. 22 lipca, słońce, upał. Na drugi dzień miała jechać nad morze z koleżanką. Chcieliśmy, żeby odpoczęła, bo bardzo się angażowała w naszą pracę. Walizki spakowane, sam jej kupiłem bilet do Kołobrzegu... – Głos mu się załamał. – Ta pieprzona walizka do rozpoczęcia roku szkolnego stała w korytarzu.

Kolega poklepał go w geście pocieszenia po plecach.

– Szukali i policja, i Itaka – dopowiedział resztę historii. – Znaleźli tylko jej telefon w lesie. Szukali psy, całe miasteczko. Bez rezultatu...

– Panowie, ale jak wy te skrzynki zabierzecie swoimi samochodami? – Bartek wszedł w środek rozmowy.

Pytanie było jak najbardziej zasadne, bo chłopcy wypełnili całą stertę skrzyń jabłkami i to już z grubszą selekcjonowanymi, a towarzystwo przyjechało fiatami. Bartek przybył do Wery pieszo.

– Czas ruszyć maszynę – powiedziała sama do siebie i poszła po klucze do garażu.

– Fiu, fiu! – Chłopcy zareagowali na widok pick-upa. – Ale bryka!

– Żebym ja ją jeszcze potrafiła prowadzić – mruknęła Werka do siebie i wsiadła do auta. – Okej, podstawowe funkcje muszą być na swoich miejscach. Czyli zwolnic hamulec ręczny, sprzęgło i kluczyk. – Samochód odpalił od pierwszego kopa. – Teraz jedynka i gaz.

Autem szarpnęło.

– Jadę! – Ucieszyła się, że jej się udało uruchomić. – Kurdesz, będę musiała sprawdzić, czyj on teraz jest. Ale na dziś go pożyczę. I głośno dodała: – Ładować skrzynie na pake!

– Dasz sobie radę, czy jechać z tobą? – Bartek deklarował chęć dalszego wsparcia.

– Wskakuj. Jeszcze takim nie jechałeś.

– Jechałem, ale tylko raz. Jak później chciałem, to dostałem od babci po łapach.

Zanim rozwieźli dary do domów, zrobiła się prawie noc. W drodze powrotnej Weronika poczuła się za kierownicą nowego samochodu już całkiem pewnie. Był wygodny, ergonomiczny i „sam się prowadzi”. A że droga była pusta, więc trochę wypróbowała jego możliwości. Modliła się tylko, żeby nie trafić na aspiranta Kornackiego, bo była u niego podpadnięta i nie czuła się na siłach tłumaczyć mu, dlaczego jeździ nie swoim samochodem, o przekroczeniu ograniczeń nie wspominając. Nic dziwnego, że gdy zobaczyła samochód na poboczu, zwolniła grzecznie do przepisowej prędkości, a nawet poniżej. Auto przy drodze okazało się jakimś cywilnym, a dała się oszukać, bo słupek kilometrowy, przy którym stało, dawał odblask i jakoś to jej się dziwnie zlewało. Przez chwilę przeszło jej przez głowę, że może jest zepsute i kierowcy potrzebna jest pomoc, ale że to było tuż przy lesie, więc trochę się bała z tym wsparciem wrywać. Zresztą nikogo nie było na drodze i nikt nie próbował wzywać pomocy.

– Zwykły kombiak, a ja myślałam, że radiowóz – odetchnęła.

– Znam to auto – mruknął Bartek bardziej do siebie niż do niej.

Największy problem miała, żeby się zmieścić w bramę. Nie знаła jeszcze wymiarów samochodu i nie miała wycucia osi skrętu. Jednak jej obawy były przedwczesne – bez problemów zaparkowała w garażu i to tyłem.

– Paraaaam! Jestem świetnym kierowcą, a to jest świetny samochód. Szkoda by było, gdyby był cudzy.

Tradycyjnie obudzona przez koguta, w łóżku szykowała sobie plan dnia. Pojedzie do mecenasa, dowie się o samochód, kupi jakiś prezent dla synka Zyty i dla siebie zrobi zakupy na weekend, a potem zadzwoni do mamy, żeby dowiedzieć się, czy żyje.

Właśnie jadła drugą połówkę bułki z szynką, kiedy naszła ją myśl, że wczoraj nie zamknęła garażu. Z kanapką w ręku wstała od stołu. Klucze do garażu wisiały na swoim miejscu, co mogło oznaczać, że wszystko jest okej, ale wołała zobaczyć to na własne oczy. Szarpnęła za wrota – nie puścili. Odgryzła kolejny kęs, zrobiła w tył zwrot i zamarła. Na ganku siedział ogromny pies. Wyglądał jak bandyta. Miał skudloną sierść i naderwane ucho. Patrzył na nią władczo.

– Hej, piesku – wydukała ze zaciśniętym gardłem. – To jest mój ganek i chciałabym przez niego przejść.

Jak można się było spodziewać, psa guzik obchodziły jej plany. Jego zamiarem było wygrzać się w ostatnich promieniach słońca.

– Piesku – próbowała jeszcze perswazji. – Idź sobie. A kysz. Uciekaj.

Równie dobrze mogłaby negocjować z jego posągiem. Pies ani drgnął.

– Skąd się tu wzięłeś?

Weronika rozejrzała się po posesji i od razu odgadła, że pies sforsował płot w miejscu, które ucierpiałoby przy zawałeniu topoli. Przeszło prawie leżało i właściwie nie stanowiło żadnej przeszkody nie tylko dla zwierzaka, ale i dla potencjalnego złoczyńcy.

– Kurdesz, muszę to jakoś choćby prowizorycznie ogarnąć.

Jednocześnie dotarło do niej, że jest jakby za późno – mleko się rozlało. Hmm, mleko... Kudłate takie.

– Piesku, pieseczku, wpuść mnie do domu – ponowiła prośbę.

Nawet nie zauważyła, jak z kanapki, o której całkiem zapomniała, spadł skrawek wędliny. Pies uniósł łeb, ocenił sytuację, podniósł się i podbiegł. Łakomie lyknął kęs. Weronika dojrzała w tym szansę. Odrzuciła na kilka metrów bułkę z masłem, odczekała, aż pies się do niej zabierze i czmychnęła do domu. Z bijącym sercem zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Uff! – odetchnęła z ulgą. – Udało się. Tylko ciekawe, jak teraz stąd wyjdę.

Przecież miała swoje plany, więc nie mogła pozwolić, żeby jakiś pies morderca stał jej na drodze.

Ogarnęła poranne czynności, przygotowała się do wyjścia i wyrzała, czy zagrożenie minęło. Niestety. Nieproszony gość rozlokował się na ganku na dobre.

– Mówisz, że jedynie jedzeniem mogę cię zainteresować, bo inaczej ty zainteresujesz się wygryzieniem mojego tyłka? Wolałabym, żeby moim tyłkiem zainteresował się ktoś przystojny. Z drugiej strony, to pocieszające, że chociaż psa z kulawą nogą zaciekałam swoją osobą. Szkoda, że tylko psa. Dobra... żarcie...

Zajrzała do lodówki. Znalazła tam w garnku resztkę wczorajszej zupy, którą miała nadzieję zjeść na obiad.

– W porządku, brachu. Głodnego nakarmić...

Lekko podgrzała zupę na gazie i przelała ją do plastikowej miski. Zwykle babcia używała takiej do mieszania sałatki jarzynowej. Sprawdziła, czy nie za gorące, ale było okej. W warzywach pływało sporo skrawków mięsa, więc miała nadzieję, że jego zapach zwabi intruza. Powolotku uchyliła drzwi. Pies nawet się nią nie zainteresował. Wolniutko wysunęła się na ganek. Nie spuszczając gościa z oczu, wymacała zamek i zamknęła drzwi na klucz.

– Trudno, jeden wystarczy.

Zasłaniając się zupą i okrążając zawalidrogę, sunęła w stronę schodków. W końcu postawiła miskę na podeście i cały czas poruszając się tyłem, skierowała się do kijanki. Odetchnęła dopiero, kiedy się w niej zabarykadowała.

Pies podniósł się, obwąchał, co mu podarowano, spróbował i zaczął pochłaniać. Wera podjechała do bramy i błyskawicznie dokonała manewru otwórz–przejeżdż–zamknij.

– Oby cię tu nie było, jak wrócę – wyraziła życzenie.

Zżymała się na siebie, że niekonsekwentnie dba o własne bezpieczeństwo, zamykając bramę, kiedy brakuje przeszła ogrodzenia i każdy może nie tylko wejść, ale wręcz wjechać na jej posesję.

– Trzeba coś z tym zrobić – postanowiła.

– Pani Weroniko, świętej pamięci pani Weronika zapisała pani ziemię z nasadzeniami i zabudowaniami, a zabudowania w wyposażeniem. O samochodzie nic nie wspomniała ani w odniesieniu do pani, ani do innych spadkobierców. Jednak rozpatrzmy to zgodnie z logiką. Uznajmy samochód jako wyposażenie garażu.

– A jeśli jest zaparkowany w ogródku, to jako nasadzenie?

Mecenas Kwiatkowski roześmiał się.

– Babcia pani na pewno chciała, żeby auto należało do pani, inaczej już by je komuś przekazała. Tak było w przypadku toyoty. Jeszcze za życia pani Weroniki otrzymał ją... Oj, chyba mam za długi język. Przepraszam... Żeby pani nie miała problemu z przenieśtrowaniem samochodu, proszę zacz-

kać, aż skontaktuję się z moim znajomym w magistracie. Nie będzie robił trudności. Tylko proszę o dyskrecję, bo to nie całkiem formalne.

Pokrzepiona dobrą nowiną Wera ruszyła w poszukiwaniu prezentu dla synka Gwidonów. Zwróciła uwagę, bo trudno było nie zauważyć, że całe miasto oklejone jest plakatami. Takimi z domowej drukarki. Znajdowało się na nich zdjęcie młodej kobiety i tytuł „ZAGINĘŁA”.

Weronika przyjrzała się fotografii, ale nie zainteresowała się bliżej historią zaginięcia. Przecież nikogo tu nie знаła i nawet przy dużej dawce wyobraźni nie wymyśliłaby, jak może się przyczynić do odnalezienia kobiety. Twarz wydawała się znajoma. Gdzieś jej mignęła, ale nie mogła umieścić jej w żadnych okolicznościach. Zrobiła więc zaplanowane zakupy, w tym parówki z myślą o intruzie, i wróciła do Powykopek.

Pies trwał na posterunku.

Tym razem Weronika wykazała więcej asertywności. Bardziej z desperacji niż z odwagi skierowała się zdecydowanym krokiem do drzwi.

– Przesuń się – poleciła nieproszonemu gościowi.

Uniósł brew i acz niechętnie, to jednak podniósł swoje kudłate ciało i przesunął się kilka kroków na bok, gdzie znów zaległ.

– Dobry pies – pochwaliła go Wera.

Tylko na nią tylną.

W tej chwili odebrała telefon, że monterzy z telefonii komórkowej i jednocześnie od dostawcy internetu mogą być u niej w ciągu godziny.

– Super – szczerze się ucieszyła. – Czekam.

Skoro dziś będę miała łącze, to przygotuję porcję tekstu do wysłania.

– Bierz się, Werka, do roboty – mobilizowała się.

Przygotowała sobie przekąskę z serem, odpała laptop i zanurzyła się w treść artykułu o pszczołach. Roil się od błędów stylistycznych, więc musiała porządnie się skupić. Kiedy pojawili się monterzy, zostało jej do skończenia tylko kilka stron. Oznajmili swoje przybycie klaksonem.

Weronika uniosła głowę znad klawiatury, chwilę trwało, zanim dotarło do niej, o co chodzi, i zerwała się, żeby ich wpuścić do domu. Otworzyła z rozmachem drzwi i usłyszała z szoferki:

– Niech pani weźmie tego psa.

– Sami go sobie weźcie, panowie, bo to nie mój pies. Kudłaty, puść panów! – zwróciła się do zwierzaka zdecydowanie, choć bez wiary w skuteczność.

O dziwo, pies ustąpił drogi.

– Nie pani, ale pani słucha. Dzień dobry. To gdzie mamy zamontować urządzenia?

Odpowiedź nie była łatwa. Telewizor znajduje się na górze, a zatem również dekodery powinien być w górnym saloniku. Gabinet babci, w którym Wera również zamierzała urzędować, był na dole i tu miała zamiar korzystać z internetu.

– Ale po co pani tyle kabla i dziury w ścianach? Przecież będzie pani miała Wi-Fi, które sięgnie nie tylko z góry na dół, ale nawet na taras, ganek i do ogródka.

To rozwiązywało problem. Po ustaleniu miejsca docelowego Weronika wykorzystała czas pracy monterów na dokończenie redakcji i korekty.

– Gotowe – zameldował starszy z mężczyzn, schodząc do niej do kuchni. – Pani sprawdzi.

Przeszli wszyscy troje do telewizora.

– Tym pilotem obsługuje pani dekodery, a tym telewizor. Tu się zmienia programy.

Młodszy manipulował pilotami i prezentował ich przeznaczenie.

– Proszę cofnąć poprzedni program – poleciła Wera.

Jej uwagę przykuło widziane już dzisiaj zdjęcie, które mignęło na ekranie w czasie przewijania kanałów, i nazwa miasteczka odczytywana przez lektorkę.

– Poszukiwania trwają czwartą dobę. Ostatnio widziano...

– Tu się bierze głośniej... – monter kontynuował pokaz.

– Cicho! – przerwała mu Weronika.

– Mam przyciszyć? Proszę bardzo.

Dziewczyna wyrwała mu pilota z ręki.

– ...Zaginiona ubrana była w jasny płaszcz koloru beżowego i czerwone kozaki nad kolano. Ktokolwiek...

– Widziałam ją gdzieś.

– To pani to zgłosi – zaproponował ten starszy.

– Ale wtedy jeszcze nie była zaginiona... Aaa... Już wiem!

Zwoje mózgowie Weroniki wykonały żmudny proces, a to, do czego on doprowadził, bardzo jej się nie podobało.

Kiedy monterzy opuszczali dworek, psa nie było nigdzie widać. Odjechali więc bezpiecznie, a Weronika odetchnęła. Zalogowała do Wi-Fi laptop i wróciła do pracy. Czekają na nią kolejne teksty. Dobrze jej szło, bo nic nie przeszkadzało. W domu panowała cisza, nikt się nie kręcił, telefon milczał. Po prostu wymienite warunki. Tak się wkręciła, że o bożym świecie zapomniała, o upływie czasu też. Ocknęła się ze stuporu na odgłos energicznego pukania do drzwi. Dopiero teraz zauważyła, że siedzi w ciemnościach i ma zdrętwiałe plecy.

– Któż to o tej porze? – zaniepokoiła się.

Za drzwiami stał aspirant Kornacki. Przedstawił się służbiście i na zaproszenie gospodyni wszedł do środka, starannie wycierając buty.

– Cóż pana sprowadza do mnie o tak późnej porze? Napije się pan herbaty? Może kawa?

– Dziękuję. Jeśli można, to chętnie napiłbym się wody.

Weronika napełniła szklanek mineralną i zostawiła resztę w butelce do dyspozycji Kornackiego.

– To musi być coś poważnego, skoro pan się fatygował.

– Owszem – potwierdził. – Nawet bardzo. Proszę mi powiedzieć, co pani robiła w poniedziałek tak między... powiedzmy dwudziestą a dwudziestą trzecią?

– Czyżbym była o coś oskarżona? – zdziwiła się nie na żarty.

– Gdyby tak było, to rozmawialibyśmy na komendzie, a pani byłaby skuta. – Bania otarł brodę z wody, którą łyknął zbyt łapczywie.

– Okej... Pomyślmy... To nie takie proste. Ostatnio w moim życiu dużo się dzieje, a dziś już piątek. Może jakaś odpowiedź?

Kornacki spojrział na nią krzywym okiem.

– To ten dzień, kiedy pani Zyta rodziła. Tyle mogę powiedzieć.

– Ach, to bardzo ułatwia sprawę! – I Wera dokładnie zrelacjonowała mu przebieg tamtego popołudnia i wieczoru.

– Czy ktoś to może potwierdzić? – dociekał policjant.

– Jasne. Pani Zyta, pan Bartosz, recepcjonistka...

– A późniejsze godziny, te po pani wyjściu ze szpitala?

– No, pan Bartosz, oczywiście.

– A oprócz niego?

Do Weroniki dotarło, że całe to przesłuchanie w jakiś sposób dotyczy właśnie Bartka. Ona nie miała nic do ukrycia. Wolno jej jeździć, z kim chce i nocować, u kogo chce. Jest dorosła i nikomu nic do tego,

z kim spędza noc. Tylko pytanie, dlaczego miałyby szukać na to dodatkowych świadków? Wyężyła pamięć.

– Nie wiem, jak on się nazywa – przypomniała sobie. – Jak wjechaliśmy już do Powykopek, gdzieś między domami taką drogą z pola... to pomachał nam taki facet...

– Leśniewski – skwitował aspirant.

– Jak powiedziałam, nie wiem, jak ma na nazwisko. Ja tu mieszkam od niedawna.

– Wiemy. Mieliśmy przyjemność panią powitać... Okej. To teraz wczorajszy dzień. Wystarczy późne popołudnie.

– To pamiętam – ucieszyła się, jakby chodziło o siedem cyfr po przecinku w liczbie π . – Zbieraliśmy jabłka i rozwoziliśmy je. Tak od siedemnastej do... Hmm, która to mogła być? Poczęstowali nas jeszcze herbatą i plackiem ze śliwkami... Już dawno było ciemno. Na pewno po dwudziestej pierwszej.

– I cały czas był z panią pan Gabriel?

– Bartosz – sprostowała.

– Bartosz Gabriel.

– To on się tak nazywa? – zdziwiła się i poniewczasie ugryzła się w język.

– Spędziła pani noc z mężczyzną, którego nazwiska pani nie zna?

– Nie mnie pierwszej się to zdarzyło – obruszyła się. – Zresztą miałam innego rodzaju poręczenia.

– Tylko to pani tłumaczy, że jest tu pani nowa. Na pani miejscu od czasu do czasu posłuchałbym plotek. Dziękuję za wodę i za wyjaśnienia. Proszę nigdzie nie wyjeżdżać i może się pani liczyć z tym, że wezwiemy panią do nas w celu spisania pani zeznań. Do widzenia.

I porzucił Weronikę bez wyjaśnień. Nawet nie zostawił jej pola do domysłów, bo ani słowem nie zdradził, o co chodzi. Wypytał, a nawet słówkiem nie wspomniał, w związku z kim albo czym były te pytania. Przewijała się w nich tylko osoba Bartka.

– Cholercia! Ładny gips.

– Zatłukę tego potwora – odgrażała się Weronika na dźwięk porannego budzika.

Noc miała nieprzespaną, bo po wieczornych rewelacjach cały czas kotłowały się w jej głowie różne scenariusze. A że nie miała dla nich żadnej konkretnej pożywki, wyobraźnia prowadziła ją wciąż na manowce. Kiedy zdała sobie sprawę, że nie uśnie, próbowała zająć myśli korektą. Niestety, za nic nie mogła się skupić. Zасыpiając nad ranem, pocieszała się, że przecież nie ma żadnych zobowiązań i rano będzie mogła spać, ile zachce. Nie pamiętała jedynie o ptaku prześladowcy. Ten chodzący rosół kiedyś ją wykończy... albo ona jego.

Spelzła z łóżka i skierowała kroki prosto do kąpieli, żeby z siebie zmyć resztki snu. Wszystkie czynności z tym związane wykonała automatycznie, jak każdego dnia. Odkręciła wodę, pozwoliła jej zlecieć i weszła pod prysznic. Wyskoczyła stamtąd z krzykiem. Na jej plecach połał się lodowaty strumień.

– Co jest? – Natarła ręcznikiem ciało, żeby się rozgrzać.

Jedynym wytłumaczeniem takiego stanu rzeczy był zepsuty piec. I pierwszą osobą, która jej przyszła do głowy na to hasło, był Bartek. Znów Bartek. Jednak włączyło się jej myślenie analityczne.

– A jeśli z Bartkiem jednak coś nie halo i naprawdę powinnam go unikać?

Ubrała się byle jak, w to, co w ręce wpadło, i przeszła do gabinetu. W babcinym notesie nie musiało długo grzebać, bo zgodnie z logiką piec był pod „P”. Dokładniej „Przeglądy pieca”. Kiedy dodzwoniła się pod zanotowany numer, pierwsze pytanie po wyjaśnieniach brzmiało: „Co ma pani na panelu?”.

– Jak to?

– Proszę podejść do pieca i odczytać, co się wyświetliło na panelu.

Posłusznie zeszła do piwnicy i sprawdziła.

– Bond 007 – odczytała po ciemku.

– Błąd E07 – poprawił rozmówca. – Proszę sprawdzić, czy ma pani gaz, bo taki zapis zwykle tyle oznacza – brak gazu.

No to powrót do notatnika. Pamiętała, że gaz nie jest pod „G”, tylko pod „D” – dostawcy.

– Ale z pani szczęściara – usłyszała.

– Jak cholera – pomyślała, ale nie wyraziła tego na głos.

– Właśnie cysterna jedzie do sąsiadów, chyba nawet już tam są. To zaraz do pani podskoczą.

– Mam zapłacić tym panom, co mi będą tankować? – spytała dla formalności.

– Nie, nie. Oni zatankują, powiedzą mi, ile tego było i ja pani prześlę fakturę.

– I tak sobie dostanę tysiąc litrów gazu bez pieniędzy? – zdziwiła się.

– A ma pani dwa tysiące gotówką w domu? Zwykle ludzie tyle nie trzymają w szufladzie.

– Hmm... Dziękuję za zaufanie. – Uśmiechnęła się do słuchawki.

– Połowiczne. Jesliby pani nie zapłaciła faktury, to to tankowanie musiałoby pani wystarczyć do końca życia. Wie pani, my w branży się znamy.

W oczekiwaniu na cysternę Weronika otworzyła włącznik i stanęła nad nim, wyobrażając sobie, jak cysterna zmieści się na jej podwórku. Nijak nie mogła wydedukować, jak wjedzie w bramę i jak się złamię, żeby podjechać do zbiornika. Taką zamyśloną zastali ją dostawcy. Zatrzymali się na poboczu drogi. Ani myśleli wjeżdżać.

– O, jak fajnie! – Ucieszył się jeden z nich na widok zwałonego płotu. – Nie musimy przerzucać.

Wziął końcówkę przewodu i przeszedł z nim po leżącym przęśle. Wetknął „toto w toto” i po chwili... okej, dłuższej chwili, dworek „był zatankowany pod korek”.

– I już? A ja się martwiłam, jak panowie tu wjadą.

– Paaani! Gdybyśmy mieli wjeżdżać, to nigdzie byśmy się nie dostali tą kolubryną. Mamy pięćdziesiąt metrów przewodów. Zwykle wystarcza, bo ci, co montują zbiorniki, mają trochę wyobraźni... No to widzimy się za pół roku. Do widzenia.

I tyle.

Za to pojawił się pies.

Stanął przed Weroniką, przekrzywił głowę i spojrzał jej w oczy. Nie groźnie. Raczej z prośbą i wyciekaniem.

– Przyszedłeś na wyżerkę – domyśliła się. – Dobra. Chodź.

Psu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ruszył za przewodniczką rażnym krokiem, grzecznie zatrzymując się na ganku. Zeżał parówki i wygodnie ułożył się na słoneczku.

– Też bym tak chciała – pomyślała Wera i zaczęła analizować, gdzie widziała leżaki.

Jej rozmyślenia przerwał telefon.

Zyta.

– Dzień dobry, ciociu – zażartowała. – Wpadniesz zobaczyć siostrzeńca? Wszystkie babcie już się przewaliły, to może wreszcie odwiedziłby nas ktoś, z kim da się pogadać.

– A może dajmy mamie odpocząć po tych wszystkich wizytach? Wpadnę, jak już ochłoniecie – sumiowała się Werka.

– Nie certol się, tylko przychodź. A jeśli potrzebujesz pretekstu, to kupiłabyś po drodze u Stefianiakowej drożdży, bo mam dziką ochotę na placek. Jakby miała zamknięte, to na dzwonek otworzy.

– Mam lepszy pomysł. Przyjdę z gotowym ciastem. Może nie będzie takie dobre jak twoje, ale postaram się.

– Fajnie, tylko nie daj długo na siebie czekać.

Do Stefianiakowej i tak trzeba było się wybrać, bo w domu Wera nie miała ŻADNYCH produktów do ciasta, z wyjątkiem dwóch jajek, ale i to za mało. Obróciła raz-dwa i drżącymi rękoma sięgnęła na półkę

w kredensie, gdzie babcia trzymała swój tajny zeszyt z przepisami.

– Boże, tyle lat! – westchnęła.

Pamiętała, z jaką starannością babcia tworzyła te zapiski i jak ich strzegła przed synową. Jedynie małej Werci pozwalała czerpać z tych zasobów, kiedy razem przygotowywały przetwory albo święta.

Ciasto rosło w piecu, gdy zadzwoniła mama.

– Właśnie piekę babci brioszkę – pochwaliła się Weronika.

– Ty pieczesz? Chyba mi na tej wsi córkę podmienili. A nie macie na tym zadupiu cukierni?

– Może byś wpadła na to zadupie, przewietrzyła umysł – zaproponowała córka.

– Mój umysł ma się dobrze. Muszę to ustalić z Karolem. Damy znać.

Rozmowy z matką nigdy nie zajmowały zbyt wiele czasu – były rzadkie i krótkie. Najważniejsze, że obie wiedziały, że ta druga żyje i ma się dobrze.

– O, cholercia! Ciasto!

Wizyta u siostrzeńca miała drugie dno. Weronice bardzo zależało, żeby dowiedzieć się czegoś o Bartku. Nie uszło jej uwadze zdanie Kornackiego, że powinna słuchać plotek. Zyta, zwykle pogodna i nastawiona przyjaźnie do świata, względem Bartka jest wręcz wroga. Skądś to się brało. Weronika miała cichą nadzieję, że kuzynka zechce ją wprowadzić w tajemnice wioski. Bo bez wątplenia była tu jakaś tajemnica.

Synek Gwidonów był śliczny. A do tego spokojny. Prawie przez całą wizytę ciotki spał.

– Była u mnie wczoraj policja – Wera zaczęła naprowadzać rozmowę na interesujące ją tory. – Zadała dziwne pytania, w tym o Bartka.

– Wreszcie mu się dobiórą... – Zyta niemal wykrzyknęła z pasją.

– Opowiedz mi o nim.

– A co tu opowiadać?! Łajdak i tyle.

– A coś więcej? Wiesz – Werka udąła zainteresowanie okruszkami placka – bardzo nam wtedy pomógł. I później mnie w tę wichurę.

– Ja bym się na twoim miejscu tak na jego pomoc nie zdawała – Zyta była jak najgorszego zdania o sąsiedzie.

– Zgoda, ale jeśli mam unikać człowieka, to muszę wiedzieć, dlaczego.

– Już ci mówiłam, to zły człowiek.

– A dokładnie?

Zyta chętnie zbyłaby odpowiedź, ale wiedziała, że kuzynka nie odpuści.

– Czekał, przewinę małego i ci opowiem.

Relacja Zyty była okrojona z powodu emocji, które nią targały, ale wynikało z niej, że Bartek tylko powierzchownie jest taki miły i pomocny.

– Pamiętasz historię Marka i Jagody?

– Mieli się pobrać, ale doszło do nieszczęścia – przypomniała sobie Wera.

– I to z winy Bartka.

– Jak to?

– Ten łajdak uwiódł Jagodę i była z nim w ciąży.

– Zgwałcił ją? – przeraziła się Werka.

– Nie. Tylko ją omotał tak, że się dziewczyna zapomniała. Ona była taka dobra, że aż bezwolna... I bardzo wierząca. Zresztą, kto to wie, jak to dokładnie było. Nie od niej to wiemy.

– A skąd?

– Z sekcji. Cała wieś aż huczała. Wiesz, jak ginie młoda, zdrowa dziewczyna, to bez sekcji jej nie pochowają. Ty wiesz, jaka to była dodatkowa tragedia dla rodziny? Czekać z pochówkiem, kiedy wydadzą ciało?

– Ale w końcu dlaczego się zabiła? I jak?

– Jak to, dlaczego? Co prawda nie zostawiła żadnego pożegnalnego listu, ale to jasne. Szykowali ślub, a tu wyszło na jaw, że dziecko z innym facetem. A do tego nie wiadomo, czy on w tym jej „samobójstwie” nie pomagał – Zyta użyła znanego gestu, żeby podkreślić cudzożyństwo.

– Co ty mówisz? – Oczy Weroniki rozszerzyły się w zdumieniu.

– Wiem, co mówię i cała wieś o tym gada. Jagoda miała stłuczenie na skroni i siniaki na ramieniu. Niby nie wiadomo, kiedy dokładnie się pojawiły, ale policja nie wykluczała udziału osób trzecich. Niby Bartek miał jakieś szemrane alibi, więc niczego mu nie udowodnili, ale smród wokół niego nadal się rozchodzi. Tak że daruj sobie to pomaganie. I jeśli nie chcesz, żeby cię wzięli na języki, to też trzymaj się od niego z daleka.

Końcówki wypowiedzi Zyty Weronika nie słuchała uważnie. Skupiła się na jednej myśli: jeśli o ciąży dowiedziano się dopiero w wyniku sekcji, to jakim cudem wcześniej wyszło na jaw, że będzie miała dziecko z innym facetem niż przyszły mąż? Chyba że sama o tym powiedziała.

– A jak zginęła? – Chciała jeszcze wiedzieć Werka.

– Skoczyła z mostu. Albo ją zrzucił – Zyta nie pozostawiała wątpliwości, kogo ma na myśli. – Marek czekał u jej rodziców, ale nie przychodziła. Ponoć im powiedziała, że idzie do niego. Czekał i się nie doczekał. Po trzech dniach wędkarze trafili na ciało.

– Utonęła? – doprecyzowała Wera.

– Chyba zawadziła o jakiś element konstrukcji, zanim wpadła do wody, stąd siniak, przynajmniej takie są domysły. Ale nie znaleźli żadnych innych śladów, bo wtedy lało. Były tylko te sińce na ciele.

Weronika nie dopytywała więcej, widziała, ile emocji kosztuje Zytę ta opowieść. Dopila herbatę, jeszcze raz pogratulowała synka i zadeklarowała się na „w razie czego”. Uścisnęły się na pożegnanie i Werka wróciła do domu. Na ganku wciąż tkwił kuddacz. Na jej widok przyjaźnie zamachał ogonem.

Kolejna nocka zamiast na spaniu minęła Weronice na rozmyśleniach.

– Biedna dziewczyna – pomyślała o Jagodzie. – Jak trzeba być zdesperowanym, żeby się targnąć na życie.

Nie znała jej, więc w myślach traktowała Jagodę bardziej jak postać z filmu niż żywą, zagubioną kobietę.

– No dobra, byłby wstyd, ale przecież nie pierwsza dziewczyna we wsi, która miała bastarda (lepiej brzmi niż bękart). I skoro taka wierząca, dlaczego popełniła samobójstwo? Przecież to grzech. Zabiła dwie osoby – siebie i dziecko. Czeka ją wieczne potępienie. Nie powinna spocząć w święconej ziemi. Przecież musiała to brać pod uwagę. Dlaczego nie zostawiła listu? Jeśli taka grzeczna dziewczynka, to powinna na odchodne przeprosić rodziców za wstyd, jaki im przyniosła, i pożegnać się z nimi. Życzyć szczęścia niedoszłemu mężowi... I miała siniaki... Cóż, na wsi o siniaki nietrudno. Ale możliwe też, że same się nie zrobiły.

Jakoś Weronika nie mogła sobie wyobrazić Bartka jako damskiego boksera. Nie znała go za dobrze... Ona nie, ale babcia... Może ją też omotał. Wszyscy mówią, że była mądrą kobietą... Albo ją przekabacił, albo babcia Małgosia (Weronika Małgorzata Wielowiejska) dostrzegła w nim coś, czego inni nie widzieli.

A Marek? Weronika wyobraziła sobie, jak czeka u przyszłych teściów na narzeczoną, a ona nie przychodzi, bo już nie żyje. Straszna tragedia. I Bartek ma w niej swój udział? Tylko dokładnie jaki?

Nie ma, że niedziela! Kogut, jak każdego ranka rozpoczął swoje koncertowanie, ale tym razem zostało ono po kilku taktach przerwane. W głos ptaka wdało się szczekanie.

– Ja piernicę. No to mamy chór – Weronika nakryła się na głowę.

Nawet udało jej się znowu przysnąć.

Obudziło ją bębnienie w drzwi. Z braku szlafroka zarzuciła na piżamę kardigan, opatulili ją jego połami i poszła otworzyć. Na progu stała sąsiadka przez plot. Odkąd Weronika się tu sprowadziła, wymieniły jedynie zdawkowe grzeczności.

– Dzień dobry, pani Łopatkowa, miło panią widzieć – powitała ją Werka.

– Ani dobry, ani miło – mina sąsiadki potwierdzała jej słowa. – Pani patrzy.

I tuż przed nosem dziewczyny zadyndał głową w dół upierzony tłumoczek.

– Patrę – potwierdziła. – Ale co widzę?

– Pani pies zadusił mojego Kubusia.

– To nie jest mój pies – sprostowała Wera.

– Widziałam, jak pani go karmi. Czyli to pani pies. Zostawiam pani mojego ulubieńca i oczekuję zwrotu kosztów i zadośćuczynienia.

Weronika jeszcze do końca się nie obudziła. Przeszło jej tylko przez głowę, że kobiecina doznała krzywdy. Jej ulubieniec zginął śmiercią tragiczną, a pies, którego pochopnie oswoiła, dokonał tego dzieła.

– Jak pani widzi to zadośćuczynienie? – spytała, tłumiąc ziewnięcie.

– To bardzo rzadka rasa koguta i dla mnie strata wielka...

– Rozumiem. Proszę powiedzieć, jak pani to wynagrodzić.

– Tak dwa tysiące to się należy.

– Rany boskie! Dwa tysiąki za pół rosołu? Bo jeszcze włoszczyzna! – pomyślała, ale gdy ją odetkało, odpowiedziała: – Nie mam takich pieniędzy w domu. Muszę wypłacić z banku. Dziś niedziela, to nieczynny. Czy może pani poczekać do jutra?

– Niech będzie moja strata.

I zboliała sąsiadka przeniosła się na swoje podwórko. Ale ulubieńca nie zostawiła.

Weronikę jej wizyta obudziła do reszty.

Niedziela. Znaczący nie pracuje się. Czyli ani korekty, ani zbierania zepsutych jabłek. Czyli co? Czyli spacer.

Ubrała się ciepło, bo chłód panował na dworze coraz większy. Okręciła szyję szalikiem i wyszła z domu. Pies przybłąda, bardzo zadowolony ze spełnienia swojej misji, wachlował się ogonem. Na jej widok zerwał się z miejsca i stanął w oczekiwaniu.

– Ja idę na spacer – oznajmiła mu. – A ty jak chcesz.

Chciał. Szedł za nią w niewielkiej odległości. Tu coś powąchał, tu na coś nasikał, ale cały czas pilnował, żeby za daleko nie odeszła. Ledwie przeszli kilkadziesiąt metrów, jak Weronika zauważyła, że w ich kierunku zmierza pochód. Wielu ludzi w nierównych odstępach. Dopiero po chwili zorientowała się, że to wierni, którzy wyszli z kościoła. A ona tak pod prąd.

– Dzień dobry – pani Stefaniakowej.

– Dzień dobry – sołtysowi.

– Dzień dobry – Leśniewskiemu.

...

...

– O, dzień dobry! Co pan robi w Powykopkach? Ups, przepraszam, to oczywiście nie moja sprawa. Miło pana widzieć.

Mecenas Kwiatkowski również wydawał się ucieszony jej widokiem.

– Już się pani zdążyła zadomowić? Jak panią przyjęli sąsiedzi? Mam nadzieję, że dobrze się pani tu żyje.

– Gdyby nie to, że nie mój pies zjadł sąsiadce koguta, to pewnie nie miałabym wrogów. – Weronika wskazała przybłądę. – Dziękuję, powolutku się aklimatyzuję.

– Co z tym kogutem? – zainteresował się mecenas.

– Ach, to taka niemiła historia – Wera usiłowała zbagatelizować sprawę, ale w skrócie opowiedziała poranne zdarzenie.

– Jako prawnik radziłbym się odwołać od tej decyzji – puścił do niej oko. – I niech pani sprawdzi, czy ten ptak faktycznie taki drogocenny, bo jak znam tę wieś, a proszę mi wierzyć, zęby zjadłem na jej problemach... to tu raczej nie hodują ptactwa szlachtetnego.

– Dziękuję za poradę i proszę przysłać rachunek – zaśmiała się Weronika.

– Już jesteśmy rozliczeni. Powodzenia.

I każde ruszyło w swoją stronę.

– A pani jak zwykle na przekór przepisom – powitał ją znajomy uśmiech.

– Słucham?

– Tym razem pod prąd? – Dopiero teraz poznała posterunkowego Majewskiego. Bez munduru wyglądał zupełnie inaczej.

– To pan z Powykopek? – spytała zdziwiona.

– Owszem. Mieszkam trzy domy od sklepu. A to moja żona – przedstawił Werce kobietę o myszowatej urodzie, ale o miłym uśmiechu.

– Dzień dobry pani – powitała Werę. – Mam nadzieję, że mój mąż pani za bardzo nie nadokuczał? On tylko przy Korczyńskim jest taki groźny. Zapraszamy do nas, gdyby miała pani ochotę porozmawiać. Pewnie w nowym miejscu przyda się życzliwa dusza.

– Jacy sympatyczni ludzie – pomyślała Wera, kiedy tłum parafian zniknął za jej plecami. Obeszła teren wokół kościoła i drogą między polami trafiła nad rzekę.

– Może gdzieś tu znalezione Jagodę – westchnęła.

Pies cały czas jej towarzyszył. Kiedy wrócili, zjadł jeden z kotletów przygotowanych na kilka dni i ponownie zajął pozycję na ganku.

Weronika zalogowała się do internetu. Pracował, jakby go wołami ciągnęli. Otwarcie każdej strony trwało i trwało. Do tej pory nie miała okazji korzystać z łączy. Jakoś widok Dupka u boku blondynki zniechęcił ją do scrollowania Facebooka, a teksty do wysyłki nie wszystkie były gotowe. W efekcie po raz pierwszy od zainstalowania miała możliwość przetestowania łączy. Wcześniej sprawdziła tylko, że działają. Grzebanie w mnogości informacji niecierpliwiło ją, ale w końcu znalazła potrzebną wiedzę.

Chwilę jeszcze trwała nad otwartym laptopem.

– Hmm... Mecenas miał nosa – mruknęła.

Poszperała w kuchennych szafkach, skąd wyciągnęła ptasie mleczko. Kupiła je sobie na pocieszenie, kiedy walczyła z dachem, ale do tej pory nie miała okazji otworzyć. Zabrała portfel i ruszyła do sąsiadki.

– Dzień dobry, pani Łopatkowa – powtórzyła poranne pozdrowienie.

Kobieta stojąca w otwartych drzwiach spoglądała na nią podejrzliwie.

– Przyszłam uregulować pani stratę – wyjaśniła Weronika.

– A, to proszę – niezbyt chętnie, ale sąsiadka szerzej otworzyła przed Werką drzwi.

Weszły do salonu. Widać Łopatkowie nie mogli się zdecydować, czy postawić na tradycję, czy na nowoczesność. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający Świętą Rodzinę naprzeciw pięćdziesięciocalowego telewizora. Sofa z IKEA przykryta była kocem z motywem lwów. Na stole przykrytym plamoodpornym obrusem stał wazon z ciągniętego szkła, a w nim sztuczny bez.

– Pani sąsiadko – poważnym głosem zaczęła Weronika. – Bardzo mi przykro z powodu dzisiejszego incydentu.

– No myślę – prychnęła Łopatkowa, usatysfakcjonowana kajaniem się Werki.

– Mam nadzieję, że nie wpłynie on na nasze dobrosąsiedzkie kontakty.

– Też tak myślę, bo widzę, że z pani uczciwa panienka – sąsiadka uderzyła w inny ton.

– Ze mnie tak, ale z pani nie bardzo.

A widząc, że w Łopatkowej oburzenie wzbiera jak zacier w szybkowarze, szybko dodała:

– To znaczy, rozumiem, że to miał być z pani strony taki niewinny żarcik z miastowej. Była pani ciekawa, czy dam się nabrać. I mało brakowało, a miałyby pani niezły pretekst, żeby się ze mnie pośmiać z sąsiadkami. Gdyby nie mój prawnik. Zwrócił mi uwagę na taką możliwość. I odrobiłam lekcję. Bardzo się wstydzę tego, że nie znam się na wiejskich sprawach. Dlatego nie jest mi tu łatwo, już nie tylko dlatego, że dają powody do żartów, ale również, że moja niewiedza w ogóle utrudnia mi życie. W mieście było mi dużo łatwiej żyć i miałam przyjaciół. Mam nadzieję tutaj też ich znaleźć.

– No przecie my tu dobrzy ludzie są – protestowała kobieta.

– Oczywiście. Dlatego przyszedłam przeprosić i mam nadzieję, że zechce pani ode mnie przyjąć równowartość pani koguta. To był leghorn, prawda? A dokładniej leghorn green shell. Pozwoliłam sobie sprawdzić jego wartość na targu internetowym, żeby pani nie była stratna. Tam kosztuje od czterdziestu do sześćdziesięciu złotych. Biorąc pod uwagę pani straty moralne, mam nadzieję, że sto złotych wystarczy? A to – wyciągnęła w stronę Łopatkowej pudełko ptasiego mleczka – na otarcie łez po ulubieńcu. Czy możemy obie zapomnieć o tym niemylim incydencie?

Po wysłuchaniu przemówienia sąsiadce wstyd się zrobiło, że próbowała naciągnąć miastową, a jeszcze bardziej, że tamta naciągnąć się nie dała.

– Ależ co pani! Oczywiście, że nie będziemy wspominać tego, co to tam było. A czekoladków nie trza było. Dziękuję – z chciwością zgarnęła stówę i pudełko.

– To ja dziękuję, że mnie pani tak miło traktuje jako nową sąsiadkę. Udanego popołudnia życzę. Do widzenia.

A kiedy Werka dotarła do siebie, padła na sofę i odetchnęła.

– Ja pierdziu! Mam nadzieję, że mi baba nie zacznie teraz brudzić. Wolałabym nie mieć wroga za płotem.

Odwróciła się na bok i sama nie wiedząc kiedy, zasnęła.

Znów obudziło ją walenie do drzwi. Wstała z wrażeniem przeżywania „dnia świstaka”. Powłokła się, żeby otworzyć. Podobnie jak rano, na progu stała sąsiadka.

– Bo tak sobie myślałam... – zaczęła bez wstępu – że jak mi pani pieniądze za tego kuraka zwróciła, to on już jest pani.

I wysunęła przed nos Weroniki reklamówkę. Kiedy Wera nie zareagowała, wcisnęła torbę w ręce niezbyt przytomnej po drzemce dziewczynie, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Wera zajrzała do środka. Był tam kogut. Oskubany i wypatroszony. A osobno luzem poniewierały się podroby: serce, wątróbka i żołądek.

Oniemiała, ale zdążyła jeszcze za sąsiadką krzyknąć:

– Dziękuję! – I oszołomiona zamknęła drzwi.

– Słuchaj, Kudłaty, tak to my się bawić nie będziemy.

Kolejnego ranka Weronika nie miała sumienia wypędzić psa z ganku, na którym zdążył się już zadowoić. Jednocześnie miała obawy, czy pozostali mieszkańcy wioski nie przypiszą jakichś psich win jej, bo tak jak Łopatkowa uznają, że jeśli siedzi u niej w ogródku, to znaczy, że do niej należy.

– Za chwilę zejdą mi się tu za tobą wszystkie przybłędy z całego powiatu. Po pierwsze, musimy zabezpieczyć posesję płotem. Tak, wiem, fachowcy nie zrobią mi go w tej chwili. A to znaczy, że musimy to zrobić sami, wykorzystując dostępne środki. Po drugie, musimy zrobić porządek z tobą.

Werka skrupulatnie obejrzała zniszczenia. Przeszło ogrodzenia, chociaż pogięte, nadal mogło spełniać swoją funkcję. Będzie wyglądało nieestetycznie, ale zasłoni powstałą wyrwę. Inna rzecz, jak sprawić, by stało? Elementy, które łączyły je z sąsiednimi częściami płotu, były wyłamane. Inaczej niż spawką nie da rady ich naprawić. Prowizorycznie można jedynie pozwiązywać te części ze sobą. Do utrzymania ciężaru wystarczyłaby linka, bo sznurek raczej za słaby. Ale linkę można ciach, ciach, przeciąć szczyrykiem. Weronika nie wiedziała, kto miałby ciachać, ale jeśli się taki trafi, to ogrodzenie powinno jednak spełniać funkcje ochronne. Czyli lepszy będzie drut. W garażu są narzędzia i możliwe, że z ich pomocą dałaby sama radę skrócić łącze, ale ma za mało rąk, bo trzeba jednocześnie przytrzymać przeszło w pionie. Potrzebne są więc ręce. Teraz wszyscy są zajęci swoimi obowiązkami, to pomyśli o tym po południu. Tymczasem zajmie się psem.

W internecie sprawdziła, gdzie w okolicy przyjmuje weterynarz i w jakich godzinach można go zastać. Mało klawiatury przy tym nie pogryzła, bo prędkość przesyłu danych była ślimacza. Z rozmowy telefonicznej dowiedziała się, że jakiś lekarz będzie w lecznicy dopiero po trzynastej i może ją, a właściwie psa, przyjąć jeszcze dziś. Przeanalizowała logistykę i uznała, że czekają ją dwa kursy do miasta, bo z psem w samochodzie nie będzie robić zakupów. Ustaliła jeszcze w urzędzie, że rejestracji samochodów można dokonać od poniedziałku do piątku w godzinach pracy. Zgarnęła więc wszystkie dokumenty, które uznała za konieczne, i ruszyła na podbój miasteczka.

– Daję ci ostatnią szansę – ostrzegła kudłacza, zanim wsiadła do auta. – Umawiamy się, że jeśli tu jeszcze będziesz, kiedy wrócę, czeka cię zastrzyk w dupę. Mam nadzieję, że się przestraszysz i pójdziesz sobie. Cholercia, nigdy wcześniej nie miałam żadnego zwierzaka. Pojęcia nie mam, jak się tobą opiekować.

Przyzwyczajona do kolejek w wydziałach komunikacji w dużych miastach spodziewała się, że tutaj też straci dużo czasu na formalności. A tu niespodzianka! Weszła, załatwiła sprawę i wyszła. Tylko w jednym momencie przeżyła mały stres, kiedy miły pan zapytał, czy przyniosła ze sobą tablice. Nie dość, że nie przyniosła, to pamiętała, że się je jakoś tak dziwnie zdejmuje, ale nie pamiętała jak. Szybko jednak się okazało, że rejestrując auto w tym samym mieście, nie trzeba zmieniać numerów. Zatem zostały jej numery po babci, która chyba miała tu chody, bo były łatwe do zapamiętania.

Teraz czas na sklep budowlany. Drut spawalniczy, drut stalowy, drut miedziany, drut w PCV, drut mosiężny, drut samoosłonowy, naciągowy, wiązałkowy – kurza dupa!

– Dobra, niech mi je pan wszystkie pokaże... Nie, nie, takiej wielkiej szpuli nie potrzebuję.

– A do czego on pani jest potrzebny? – Kiedy Wera wytłumaczyła, padło zwięźle: – No to ten. Ile?

– Hmm... Tyle. – Pokazała, rozkładając ręce. – Znaczą dwa... cztery razy tyle.

– A co ty tutaj robisz? – usłyszała za plecami, kiedy płaciła za towar.

– O, cześć Gwidon! Muszę jakoś postawić ten połamany płot. – Pomożesz?

– Jasne. Tylko dopiero po czwartej. Przyjdę z kolegą, to we dwóch szybciej pójdziesz.

– Dzięki, zbawco! Będę czekać. Pa!

Wera uruchomiła proces myślowy:

– Dwóch chłopca przyjdzie pomagać. Pewnie nie wezmą pieniędzy. Jako kobieta nie będę im stawiać wódkii, ale o jakiej formie wdzięczności trzeba pomyśleć.

Delikatesy. W nosie z takimi delikatesami. Tylko z nazwy ten sklep ma z nimi coś wspólnego. Hipermarket. Okej, to tak: losoś, majonez, kabanoski, ogóreczki, serek brie, jajeczka... A mówili, że jajek na wsi się nie kupuje. No, ci nie kupują, co mają kury. A kto ma kury, ten się ślizga po własnym podwórku. Aaaaa... i jeszcze psie żarcie. Tylko jakie? Hmm... pies przybłęda chyba nie będzie za bardzo wybrzdziła. Okej, worek. Najlepiej duży. A co tam, pick-upem jestem.

Miska i obroża musiały poczekać na ostateczną decyzję zwierzaka.

– A może jednak przestraszył się zastrzyku i poszedł sobie?

Nie poszedł. Trzeba było widzieć jego minę, kiedy Weronika wyladowywała zakupy. Chyba znalazł to opakowanie albo pięknie mu pachniało, bo towarzyszył jej z nosem przy worku na całej trasie. Ogon mało mu przy tym nie odpadł, tak machał. Ten ogon kręcił psem. Weronika nasypała żarcia do miski, resztę zamknęła w komórce.

– Masz tu jeszcze wodę i nie chcę cię poganiać, ale jeśli będziesz się za długo delektował, to spóźni się do pana doktora. Nie byłoby to ani grzeczne, ani dyplomatyczne. Może jest wolny i przystojny, to musimy zrobić dobre wrażenie.

Weronika wrzuciła stary koc na skrzynię pick-upa i otworzyła psu kłapę.

– Wskakuj – poleciała.

Kudłacz chyba zrozumiał, czego się od niego oczekuje, bo jednym susem znalazł się na samochodzie i umościł na kocu. A kiedy zajechali na posesję lecznicy, śmiało zeskoczył na ziemię i nieponaglany przez nikogo podbiegł do drzwi i w nie zaskrobał.

– Hugo!!! – powitała psa postać w białym fartuchu. – Gdzie ty się podziewałeś?

Kudłacz Hugo został przez nią wytarmoszony miłośnie za uszy, a między pieszcotami dokładnie obejrzany. Pies lizał kobietę po twarzy.

– Pani jest weterynarzem? To pani pies? – Dwa rozczarowania za jednym razem.

Przecież miał być przystojny weterynarz, taki jak w powieściach. Zgrabny, smukły, umięśniony i piękny jak zachód słońca nad morzem. Mieli się pokochać od pierwszego wejrzenia i żyć długo i szczęśliwie. Ups!

Drugie rozczarowanie dotyczyło zwierzaka. Weronika już przyzwyczała się do myśli, że z nią zamieszka.

– Dzień dobry – wreszcie lekarka oderwała się od pupila i zwróciła się do Wery. – Tak i nie – powiedziała. – To znaczy, tak, jestem weterynarzem. Nie, pies nie jest mój. Ale się znamy. Jak trafił do pani?

– Łatwo się domyślić. Sam przyszedł.

– Pani pewnie z Powykopek?

– Owszem.

– Usiądźmy, proszę. Hugo, siad! Nie myszkuj mi po kątach.

Lekarka usiadła bokiem przy biurku, wskazując Weronice miejsce naprzeciwko.

– Jedyne, co mnie tłumaczy, to brak obroży – wyjaśniała Wera. – Mówiąc szczerze, chyba powinnam najpierw zorientować się, czy komuś nie zginął, a dopiero później myśleć o przygarnięciu go.

– W zasadzie tak. Jak się u pani pojawi następny, proszę to zgłosić do psiego patrolu albo na policję. Oni będą wiedzieli, co zrobić. Ale z Hugonem nie będziemy im zawracać głowy, bo mają ważniejsze sprawy. My się znamy, prawda, piesku?

– Proszę mi powiedzieć, gdzie mam go odwieźć, bo pewnie się o niego martwią.

– Już nie. To znaczy martwili się bardzo, kiedy nie wrócił przed wyjazdem właściciela. Ten pies należał do jednego z robotników sezonowych. Właściciel bardzo o niego dbał. Tylko Hugo ma duszę podróżnika. Jeśli będzie go pani nadal chciała adoptować, proszę się z tym liczyć, że będzie na gigancie przynajmniej raz w miesiącu. Jego pan ma podobnie. Skończyli tutaj zbiór truskawek i od razu podpisał umowę z jakimś farmerem w Szwecji. Szukał Hugona dwa dni, w końcu musiał wyjechać. Czy jest pani zdecydowana go zatrzymać?

– Nigdy nie miałam zwierzaka, ale niedawno się tu sprowadziłam, mieszkam sama i bratnia dusza mi się przyda. Chyba że bywa agresywny, to przyznam, że ja się takich dużych psów boję.

– Hugo? Agresywny? Chyba jak byczek Fernando, kiedy go osa ugryzie.

– No to w takim razie szczermy go i jedziemy do domu – zdecydowała Weronika.

- Mam dla pani dobrą wiadomość. Szczepiłam Hugona latem i mam tu jego książeczkę zdrowia. Właściciel przewidział podobną sytuację i zostawił mi dokumenty.
- Gdyby wrócił...
- To panią znajdziemy. I jakby coś, to zapraszam.

Postawienie płotu trwało z zegarkiem w rękę dwadzieścia minut.

– Trochę za cienki ten drut kupiłaś i mogłoby go być więcej – Gwidon otrząpywał spodnie z trawy, bo dolne partie płotu montował na kolanach. – Postać postoi, ale pamiętaj, że to atrapa. Wystarczy, że ktoś się mocniej oprze i znów urwie. Pozbierajmy narzędzia – zwrócił się do pomocnika.

Kolegą Gwidona, który mu pomagał, okazał się posterunkowy Majewski.

- Zapraszam panów na herbatę – zaproponowała Wera. – Ogrzejecie się trochę po tej robocie.
- Jeśli o mnie chodzi, to się zgrzałem – posterunkowy wachlował się połami kurtki. – Ale herbatki nie odmówię.

Chyba bardziej niż herbatą był zainteresowany, jak Weronika urządziła się w dworcu.

– Ale tylko na chwileczkę, bo Zyta mi łeb ukreści, że ona sama z dzieckiem, a ja tu się rączę herbatkami – zastrzegł Gwidon.

– Niby Powykopki nie takie małe, a wszyscy się znają. Nie wiedziałam, że panowie są kolegami, a to przecie oczywiste – Wera wciąż nie mogła ogarnąć ducha wsi.

– To wcale nie jest oczywiste. Gdyby nie to, że niektórych poznałem służbowo, to z takim Czerniakiem na przykład dwóch słów przez całe życie nie zamieniłem, chociaż chłopak jest w naszym wieku – Majewski delikatnie odstawił cukierniczkę.

– Co się dziwisz? – Gwidon sięgnął po jajko w majonezie. – Jak my ganialiśmy za gałą, to matka pod spódnicą go trzymała. A Gockiego znasz?

– No znam, ale też się nie udzielał. Nawet chodził z nami do jednej klasy i ledwie mówimy sobie „dzień dobry”.

– A ja myślałam, że wszyscy się znają i wszystko o sobie wiedzą.

– To już nie te czasy. Nawet jeśli za dzieciaka razem łapaliśmy żaby, to drogi się rozeszły – tłumaczył Gwidon.

– Najdłużej i najbliżej to chyba przyjaźniliśmy się z Markiem i Aniołem Gabrielem – kontynuował Majewski.

– Nie wspominaj mi o Gabrielu – Gwidon aż poczerwieniał.

– Facet, odpuść – próbował go pohamować posterunkowy. – Moim zdaniem nie macie racji.

Weronika nadstawiła uszu.

– Łajdak i świnia. Może nawet morderca.

– Chyba sam w to nie wierzysz? Znałeś go. Byłby zdolny do czegoś takiego? Niby skąd ksywka Anioł? Nie wiesz, jak było. A głupi ludzie zrobili z niego kozła. Niczego mu nie udowodniono.

– Właśnie. Nie udowodniono. To nie znaczy, że niewinny – zaperzył się Gwidon.

– Ale to również nie znaczy, że ma dochodzić do samosądów. Ciekawe, jak będzie się czuł ten, co mu spalili samochód, jak wam znajduję mordercę? Bo kiedyś znajduję. Jestem pewien.

– Wiadomo, czyje to było dziecko.

– Ja nie mówię o dziecku, tylko o zabójstwie, bo nie potrafię tego dowieść, ale dla mnie to było zabójstwo. I Bartek nie miał z nim nic wspólnego. Sorry – policjant się zmitygował. – Za dużo gadam. A śledztwo zawsze można wznowić – dodał.

– A tak w temacie koleżeństwa, to może przeszlibyście na ty? – zaproponował Gwidon.

– Chętnie – Weronika podała rękę posterunkowemu.

– Wiktor – zrewanżował się uściskiem.

– Miło mi, panie posterunkowy. Postaram się być grzeczna, ale tak naprawdę, to za nic nie rękę.
– Z przyjemnością zakuję cię w kajdanki – zażartował.
– Hola, bo powiem żonie – Gwidon usiłował zrobić groźną minę.
– Sam jej powiem i chyba właśnie czas na nas. Dziękujemy za wyżerkę. Nie wiem, jak teraz wytłumaczyć Aśce, że nie będę jadł kolacji.
– Nie tłumacz. Zaraz ci zapakuję trochę sałatki dla niej. Zyta też chętnie zje – Wera rzuciła się do szykowania gościńca dla chłopaków.
– A tobie mówię, odpuść – Wiktor na odchodne ponownie zwrócił się do Gwidona.

– Hugo, cholero, nie kop mi dołów w ogródku. Rusz się, idziemy na spacer.

Słowo „spacer” brzmiało jak zakłęcie. Żeby był nie wiadomo jak zajęty, na to hasło stawał uszy na baczność, prezentując zwłaszcza to pogryzione, i w sekundę czekał na Weronikę przy furcie.

Postanowiła, że nie będzie mu ograniczała wolności. Do tej pory biegał luzem, więc niech tak zostanie. Włóczyli się po polach, co obojgu wychodziło na zdrowie. Tym razem jednak doszli do lasu. Nie tego Werkowego, tylko do zagajnika z drugiej strony pól. Zanim uprzytomniła sobie, że powinna wziąć psa na smycz, bo może zagrażać leśnym zwierzętom albo zostać zaatakowany przez dziką, Hugo wyrwał gdzieś w gąszcz i długą chwilę w nim buszował. Bojąc się, że dopadł zająca albo wiewiórkę, Weronika popędziła za nim. Zielsko było zbyt gęste, żeby się do niego dostać od tej strony, ale widać było, że niczego żywego nie upolował, tylko grzebie w ściółce. Obserwowała go i usiłowała przywołać, ale Hugo kręcił się w gęstwinie, powarkiwiał, kopał i zupełnie ją ignorował. W końcu bardzo zadowolony podbiegł do Wery ze swoją zdobyczą i w hołdzie złożył u jej stóp damską torebkę. Była oblepiona ziemią. Wyglądałaby na porządną, gdyby nie to, że spędziła tu dość dużo czasu. Werka podniosła ją. Pies ewidentnie domagał się pochwał, więc go nagrodziła głaskaniem i wychwalaniem. Obejrzała zdobycz ze wszystkich stron. Ot, zwykła torebka z porządnej skóry. Zbyt porządnej. Takich nie wyrzuca się w lesie. Kobiety, które noszą takie torebki, zabierają je ze sobą do trumny albo oddają do drugiego obiegu, niekoniecznie biednym.

– Zobaczmy, co jest w środku – Werka powiedziała to na głos, nie wiadomo, czy do siebie, czy do psa.

Wewnątrz było zwyczajowe damskie wyposażenie. Wyglądało na to, że jest również portfel. Ciekawe czy pusty? Weronice przeszło przez myśl, że jeśli została ukradziona, to może nosić na sobie ślady złodzieja. Może lepiej nie brać niczego do ręki, żeby ich nie zatrzeć.

– Hugo, idziemy na policję! – gwizdnęła na kudłacza i wydłużonym krokiem ruszyła w stronę wsi.

Zanim odeszła, obcasem na piaszczystej drodze wyrwała strzałkę, oznaczając miejsce. Odruchowo chciała torebkę ukryć, ale była zbyt upaprana ziemią i szczątkami runa, by schować ją za pazuchę. Chociaż był środek dnia, nikogo po drodze nie spotkała. Zapewne wszyscy mieszkańcy byli w tym czasie zajęci w swoich gospodarstwach.

– Trzeci dom od sklepu – przypomniała sobie. – Tylko licząc w którą stronę?

Od strony kościoła na trzecim podwórku urzędowali jacyś starsi państwo. Wiktor nie wspominał, że mieszka z rodzicami lub teściami.

– Spróbujmy dalej.

Niepewna, czy dobrze trafiła, przeszła ścieżką obsadzoną przekwitającymi różami i zapukała do drzwi. Otworzyła żona posterunkowego.

– O, jak miło! Zapraszamy! Dziękuję za sałatkę. Musisz mi dać przepis – od progu zasypała Weronikę serdecznościami.

– Dzień dobry, chętnie podzielę się przepisem, ale ja właściwie do Wiktora, mam nadzieję, że nie jest w pracy.

– Dłubie przy motocyklu, już go wołam... Aśka jestem – przedstawiła się jeszcze w biegu.

– Miło mi.

Po chwili w sterylnej kuchni Majewskich pojawił się Wiktor.

– Przepraszam, że nachodzę cię w domu, chociaż to służbowa sprawa, ale przyznam, że nie chciało mi się jechać do miasta. Pojadę tylko, jeśli będę musiała. Zobacz, co Hugo znalazł w lesie.

Położyła torebkę na stole.

– Może jednak jej nie dotykaj – zastrzegła, widząc, że chce zajrzeć.

– Wybuchnie? – zażartował.

– Nie, ale wydaje mi się, że została komuś skradziona i zatrzesz ślady.

– Widzę, że naoglądałaś się kryminalów – zaśmiał się, ale sięgnął po kuchenne rękawiczki, które Aśka trzymała na półce nad zlewem.

Nie założył ich, tylko użył jak ściereki przy odlewaniu ziemniaków. Również przez złożony lateks wyjął z torebki portfel. Od wilgoci wszystko w nim było posklejane, ale udało mu się wyluskać z przegródki prawo jazdy. Zbladł.

– O, kurwa... – wyrwało mu się.

Rzucił znalezione na wypucowany przez Aśkę stół i nie bacząc, że usmarowanymi rękoma pobrudzi telefon, wybrał numer zwierzchnika.

– Posterunkowy Majewski – przedstawił się. – Mamy nowe dowody w sprawie bibliotekarki. Pies znalazł jej torebkę... – Widocznie po drugiej stronie ktoś dopytał, czyj pies, bo Wiktor wyjaśnił: – Pani Wielowiejskiej... No, tej nowej miastowej.

Sploszony spojrzął na Weronikę, ale ta tylko machnęła ręką.

Zanim przyjechała ekipa śledcza, Wiktor doszorował ręce ze smaru i zmienił domowy dres na dżin-sy, a Weronika odprowadziła psa, zamykając go w ogrodzie.

Nieoznakowanymi samochodami podjechali na miejsce znaleziska.

– Okej, niech pan zwolni – pilotowała Werka. – Jeszcze dalej, jeszcze kawałek. Stop! To tu.

Auto zatrzymało się tuż przed wrytą w ziemi strzałką.

– Miała pani dobry pomysł. Czyli gdzie dalej? – Oficer śledczy razem z ekipą techników już wchodził w las.

– W tamtych zaroślach, ale nie wiem, gdzie dokładnie, w którym miejscu, bo nie wchodziłam w tę gęstwinę... Myślę, że bardziej w lewo. O, gdzieś tam.

– Dziękujemy pani bardzo. Posterunkowy panią odwiezie do domu. Bardzo nam pani pomogła.

– I co? I Już? Do widzenia? – Weronika wyraziła zdziwienie tym, że ją odsyłają.

– Jak wspomniałem, jesteśmy pani bardzo wdzięczni, ale obowiązuje nas tajemnica śledztwa. Poinformujemy, jeśli zdarzy się coś istotnego, o czym będziemy mogli mówić.

Weronika bardzo niezadowolona dała się odciągnąć do samochodu.

– Powiesz mi, o co tu chodzi? – napadła na Wiktora, kiedy tylko ruszyli.

– Jak się dowiedzą, że ci powiedziałem, to mnie zabiją.

– Jeśli chcesz przeżyć, to lepiej mów.

– To są groźby karalne, proszę pani.

– Dobra, dobra, nie zbywaj mnie tu paragrafami, tylko streszczaj, bo zaraz dojedziemy, a ty musisz wracać.

– Jakoś pod koniec września chyba to było... Zaginęła bibliotekarka z domu kultury. Niespecjalnie jej szukali, bo jak na bibliotekarkę prowadziła dość atrakcyjne życie. Wszyscy myśleli, że związała, bo zagała z czynszem. Praca też nie była jej hobby, więc raczej się do niej nie przywiązywała. Jedynie siostra twierdziła, że coś jej się stało, ale ta to już w ogóle patologia, dlatego nikt jej nie brał poważnie. Chłopaki przyjęli zgłoszenie, ale razem z laską zniknął jej samochód. Uzналиśmy, że jeśli go nie ma, to znaczy, że wyjechała. Czyli jednak nie wyjechała, bo facetka to raczej nie ruszy się bez torebki z dokumentami... Tylko ani pary, bo mnie zjedzą.

– A komu ja tu mogę coś powiedzieć. Stanę na rynku i zacznę krzyczeć: Ludzieeee! Bibliotekarkę porwano.

– Nie wyglupiaj się, bo to poważna sprawa.

– Wiem, to z nerwów. Sorry.

– Kochanie, przyjedziemy z Karolem na weekend. Oboje musimy odpocząć. Może zostaniemy do Wszystkich Świętych, ale niewykluczone, że pojedziemy coś pozwiedzać.

To się nazywa ambiwalencja. Weronika z jednej strony bardzo cieszyła się, że zobaczy matkę. Karola ceniła i lubili się. Ale z drugiej strony, przerażała ją perspektywa ciągłego bycia pod presją w czasie tej wizyty. Matka znana była ze swoich wysokich wymagań i trudno było ją zadowolić. Można się spodziewać, że zajrzy we wszystkie kąty i wszystko skrytykuje. Karol jest fajnym facetem, ale nie ma odwagi jej stopować. Czyli trzeba się będzie uzbroić w cierpliwość, a przedtem wypucować dom na blask, toteż Werka zabrała się do roboty. Wysprzątała, zmieniła pościel, zgrabiła trawnik przed domem i zamiotła ścieżkę. Nawet zeszła do piwnicy i szczotką ściągnęła pajęczyny z kątów. Porządki nie ominęły samochodów. Zmiotła z garażu błoto naniesione na oponach po transporcie jablek i umyła kijankę.

Jako wisienkę na porządkowym torcie wstawiła świece do lichtarzy, żeby było przyjemnie i nastrojowo.

– Wieczorem zrobię próbę generalną – zdecydowała.

U Stefaniakowej kupiła butelkę wina, nie bacząc, że sprzedawczyni krzywo na nią patrzy. To, które było w piwniczce, postanowiła zachować na lepsze okazje. Początkowo usiadła przed telewizorem, ale nie znalazła żadnego interesującego filmu, a poza tym miało być nastrojowo, a co to za nastrój przed szklanym ekranem. Wyciągnęła więc z babcinej biblioteki „Między ustami a brzegiem pucharu” Rodziewiczówny, otworzyła wino i zapadła w fotel przed kominkiem w saloniku na dole.

– Hmm, jak nastrój, to nastrój. Palimy w kominku. Może przy tym trochę nagrzeję. Zimno jak w rzeźni. I tak długo się utrzymała ładna pogoda.

Zarzucała kardigan i wybiegła po drewno. Zrobiła trzy kursy, żeby mieć zapas na cały wieczór. Przy sprzątaniu gdzieś w kuchni mignęła jej rozpalka do grilla, którą teraz odszukała i szczerze polala nią szczapy. Wrzuciła w to zapalkę. Ogień buchnął i powoli ogarniał polana. Jednak były wilgotne i zamiast oczekiwanych wesołych płomieni i miłego nastroju naprodukowały kłęby dymu. Weronika miała mgliste pojęcie o zastosowaniu szybra, więc na wszelki wypadek poruszyła nim w jedną i w drugą stronę. W żadnej pozycji nie zmieniło to kierunku, w którym snuł się dym. A snuł się na pokój. Rozpalkę śmierzdziało, w pokoju robiło się coraz bardziej szaro. W kominku niby się paliło, ale generalnie nie tak miało być! Werka złapała kardigan i zaczęła nim wachlować ogień. Osiągnęła tyle, że płomyczki rozpełzły się po drewnie i dymu zrobiło się jeszcze więcej. W końcu zaczął Werkę drapać w gardło. Jeszcze chwila i się udusi. Szarpiąc się z firankami i kłamką, otworzyła okno.

– Do dupy z takim nastrojem! – Rzuciła się do kuchni i wróciła z miską wody. Chlusnęła na płomień. Jednej miski było mało, początkowo tylko zasyczało i spnęło popiołem na podłogę przed kominkiem, ale nadal widać było ogień. Noszeniem wody wte i wewte zachlapała podłogę. W końcu udało jej się ugasić płomień. Jeszcze dymiły i nadal zasmradzały salon.

– Cholera jasna! Czy w tym domu jest jedna rzecz, która normalnie działa?

W tym momencie przeciąg poruszył firankę, a ta zahaczyła o marcinki i zwałiła na podłogę wazon.

– Co mnie podkuśliło, żeby przestawić go na parapet. Źle mu było na stole?

Nie zostało śladu po wcześniejszych porządkach. Trzeba było pozbierać skorupy, zetrzeć wodę, umyć ponownie zdeptaną podłogę, wywietrzyć pokój, wyrzucić kwiaty i resztki wazonu.

– Dziękuję ci babciu za taką opiekę – mruknęła Werka, wyrzucając szkło do pojemnika za domem. Był pełny i pokrywa ledwie się domykała. – Może byś mi się przyśniła i powiedziała, co się w tym domu robi dalej ze śmieciami? Jak pamiętasz, w mieście miałam zsymp i nie interesowało mnie, gdzie to wpada. Kocham wieś, kocham wieś!

– Wszystko w porządku? – usłyszała od furtki.

– Dzięki, Bartek, tak sobie zlorzeczę pod nosem. Nic się nie stało – odpowiedziała. – Wejdiesz? – zaproponowała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– A wiesz, chętnie.

Otworzył sobie furtkę i już był na posesji. Przy jego nogach natychmiast znalazł się Hugo. Zamiast go obszczekać, jakby się tego należało po psie podwórkowym spodziewać, zaczął się do niego łąsić i skakać, domagając się pieszczot. Bartek tarmaśił kudłacza.

– Chyba cię lubi? – Obserwowała ich pieszczoty Wera.

– No, raczej. Trochę go dokarmiałem, jak był na gigancie.

– Nie chciałeś go adoptować?

– Nawet jakimbym chciał, to on nie chciał, łązęga jeden. Pojawiał się i znikał. – Przeszli do drzwi wejściowych. – Zostań – polecił psu.

Bartek powiesił kurtkę w przedpokoju i wszedł do saloniku.

– Co tu tak śmierdzi? – Skrzywił się.

– Jak by ci powiedzieć? Nastrój sobie robiłam – drwiła ze swoich pomysłów Werka.

– Sama sobie? – Spojrzał na nią z udawanym współczuciem. – W takim razie to musiało się tak skończyć. Pomóc ci w czymś?

– Dzięki, już ogarnęłam. A wietrzyć będę jutro, jak się zrobi trochę cieplej. Nie będę teraz wychładzać pokoju. A tak swoją drogą, to już mam dość chodzenia po domu w dwóch swetrach. Mówiłeś, że umiesz uruchomić ogrzewanie.

– Jasne, chodź. – Ponownie znaleźli się w piwnicy. – Tu masz takie pokrętko... W tę stronę dajesz tylko podgrzewanie wody, a tu jeszcze kaloryfery. I tak regulujesz sobie temperaturę. Oczywiście, im cieplej, tym drożej cię to kosztuje.

– Dzięki. Napijesz się wina? Miałam wypić przy kominku i widzisz, jak to się skończyło.

Bartek uważnie na nią popatrzył.

– Jesteś pewna? – spytał z rezerwą.

Pod jego wzrokiem Wera chwilę się zawahała.

– Jedną butelką się nie upijemy i chyba mnie nie zamordujesz... Sorry, kiepski dowcip.

Rozgościli się w kuchni. Tu mniej śmierdziało i było bliżej do lodówki, z której Wera zaczęła wyjmować przekąski.

– Nie miałem okazji ci podziękować, że powiedziałaś policji o tym, że tamten wieczór spędziliśmy razem.

– Przecież to prawda – Weronika zbagatelizowała sprawę.

– Tak, ale...

– Tu nie ma żadnego ale. Ja nie mam nic do ukrycia i niczego nie muszę się wstydzić. A o reputację się nie obawiam. Nie obchodzi mnie, co ludzie o mnie powiedzą.

– Pamiętaj, że to mała społeczność i może ci uprzykrzyć życie.

– Jeszcze bardziej niż dymiące palenisko? – Wera obróciła sprawę w żart.

– Na twoim miejscu wezwałbym kominiarza. Podejrzewam, że masz zapchany przewód, bo to nie-normalne, żeby tak zasmrodzić mieszkanie, paląc w kominku.

Weronika podała świeżo zaparzoną herbatę, przetarla dodatkowy kieliszek i wreszcie usiadła naprzeciwko Bartka. Chłopak napełnił winem szkło.

– Czuję się trochę jak dziecko we mgle. Będziesz się ze mnie śmiał, bo dla ciebie to wszystko normalne. Uważam się za niegłupią, a nie myślałam, że taki mieszczuch jak ja nie będzie umiał sobie poradzić z domem na wsi. Jak się czytało te wszystkie powieści o dziewczynach, które porzucały pracę w korporacji, żeby uciec do wiejskiej sielanki, to nic tam nie było o ciekających dachach, ogrzewaniu i dymi-

ących kominkach. Jeszcze muszę ogarnąć wywóz śmieci, ale podejrzewam, że babcia mi zapisała zamiar na jakąś firmę i jutro to załatwię. Wiesz, zostawiła mi taki notes, w którym wszystko jest, jakby przewidziała...

– Bo przewidziała – skwitował Bartek.

– Jak to?

– Zabroniła, żeby was powiadamiać. Tutejszym członkom rodziny też nic nie mówiła. Wszystko przewidziała i wszystko zaplanowała.

– A ty skąd wiesz? – Weronika nie mogła zrozumieć, dlaczego on jest wtajemniczony.

– Bo pomagałem jej to wszystko ogarnąć.

– Dlaczego?

Bartek westchnął, odstawił kieliszek i poprawił się na krześle.

– Twoja babcia w zeszłym roku dowiedziała się, że ma tętniaka. Nieoperacyjny tętniak w mózgu. Wcześniej miewała bóle głowy, które stopniowo się nasilały. Bagatelizowała je. Dopiero jak straciła przytomność, wezwałem pogotowie.

– Dlaczego ty?

– Bo z nią byłem wtedy. Poprosiła mnie, żebym jej zsynchronizował pocztę z telefonem. Wybierała się nad morze i chciała mieć kontakt. Marzyła o tym wyjeździe od dawna i ciągle go odkładała. I wyjechała – uśmiechnął się. – Jak tylko wypuścili ją ze szpitala, chciała wsiadać w pociąg i jechać. Oczywiście, nie było mowy, żeby sama dźwigała walizkę, nawet taką na kółkach. Kółka kółkami, ale po schodach trzeba taszczyć. Lekarz powiedział, że może jechać, ale pod opieką i tylko samochodem. Nikt z rodziny nie zadeklarował się z pomocą. I chyba twoja babcia nie chciała ich towarzysstwa. Mój samochód kilka dni wcześniej spłonął, bo bym ją zawiózł swoim. Więc pani Małgosia kupiła sobie toyotę.

– Przecież nie miała prawa jazdy – zdziwiła się Wera.

– Nikt jej o to nie pytał. Poza tym nie trzeba mieć prawa jazdy, żeby kupić samochód. Zawiozłem ją do Jastarni. Wynająłem sobie kwatere obok, żeby jej nie krępować, ale być pod ręką. Wiesz, ja mam taką pracę, że mogę być wszędzie...

– To tak jak ja. A czym właściwie się zajmujesz? – Jakoś po tym, co na jego temat powiedział Majewski, nie do końca wierzyła w swoje wyobrażenia, że para się złodziejstwem.

– Krótko mówiąc IT. Nie będę cię zanudzał... Tam nad morzem to był dziwny czas. Pani Małgosia odżyła. Chodziła na spacerki po plaży, jadła lody na patyku, a wieczorami siadała z książką na tarasie. Widziałem ją ze swoich okien. No i wróciliśmy. Twoja babcia stwierdziła, że już jej samochód do niczego nie będzie potrzebny i mi go dała. Tak po prostu. Tłumaczyłem, że nie stać mnie, żeby go odkupić, a takiego prezentu nie przyjmę. To się obraziła. Miesiąc stał w garażu niejeżdżony, ale w pewnej chwili okazało się, że jednak się przydał. Bo po powrocie wpadła w wir robienia porządków, jak to nazywała. Wozilem ją do prawnika, do lekarzy, po różnych firmach. Internet już wcześniej miała w dworku, bo korzystała z poczty i mediów społecznościowych.

– Nie gadaj, babcia miała Facebooka? – Weronika zrobiła wielkie oczy.

– Miała. I swój kanał na Youtube też. I właśnie z tych mediów dokładnie wiedziała, co się u ciebie dzieje. Dlatego nie dzwoniła.

– Miała na mnie oko cały czas?

– Owszem. Ona cię bardzo kochała. Byłaś jedyną krewną, która spełniała jej oczekiwania. Oprócz Zyty, bo też były bardzo zżyte. Babcia ubolewała nad tym, że przez niefrasobliwość twojego ojca jesteś pozbawiona wielu rzeczy. Nie wiem, czy wiesz, ale to wasze mieszkanie po rozwodzie to ona kupiła.

– A ty skąd wiesz? Opowiadała ci o takich sprawach? – Zdziwienie dziewczyny sięgnęło zenitu.

– Wydaje mi się, że ona nie miała tu nikogo, komu by ufała.

– I ze wszystkich ludzi na całym świecie na powiernika wybrała właśnie ciebie?

– Też się dziwię. Chyba chciała zaopiekować się wyrzutkiem. Wiesz, ja po prostu miałem dla niej czas i nie liczyłem na nic w zamian. Mam wrażenie, że twoi kuzyni musieli ją nagabywać o majątek, bo była pod tym względem bardzo przeczulona. Śmiała się, że musimy poganiać mecenasa, żeby się wyrobił na czas, zanim umrze, bo jej poduszkę spod głowy będą wyręwać. Tylko trzy osoby niczego od niej nie chciały. Zyta, ty i ja... Często żartowała ze swojej śmierci. Była na nią gotowa pod każdym względem. Nawet ten dom zdążyła ci wyremontować i unowocześnić. Jak mnie tu częstowała herbatą i podawała konfitury do placka drożdżowego, to krzyczała: „Tylko nie poplam Weronice obrusa!”. – Zaśmiał się gorzko na to wspomnienie. – A później kazała mi wybrać dla ciebie samochód.

– Dla mnie? – zdziwiła się.

– Tak. Miał być duży, wiejski i damski. Trudne zadanie.

– Udało ci się... Przyjaźniłeś się z Zytą?

– Raczej z Gwidonem. I bez względu na to, co on o mnie mówi, uważam, że to bardzo przyzwoity facet. Ale później wszystko się popaprało. – Weronika zauważyła, że zacisnęła szczęki. – I już z nikim się nie przyjaźnię.

– Boli – zauważyła Wera.

– Myślałem, że przestanie... – Bartek klepnął się po udach, żeby odgonić nastroj. – Ale się rozgadałem! Jak stara baba. I trochę się zasiedziałem. Dziękuję za miły wieczór, będę już leciał. I pamiętaj o kominiarzach.

Przyjechali we dwóch. Sprawdzili drożność komina i potwierdzili, że... niedrożny.

– Przecież mówiłam.

– Ma pani jakąś folię? – spytał jeden. – Bo tu się trochę napaskudzi. I szmata jakąś by się zdała. Sebek, ty na górę, ja od dołu.

Nie-Sebek szmatą ze starego ręcznika zatkał przewód, niemal włączając do kominka. Przy pomocy Weroniki zakleili front paleniska fragmentem plandeki, którą wcześniej był zabezpieczony dom po wichurze. Tymczasem Sebek wszedł po drabinie na dach. Coś tam pogrzebał, czego Werka nie widziała, bo tak stanął, że zasłonił sobą cały widok.

– Kawki – krzyknął z góry.

– Strażak by się pani przydał. Możem założyć. – Nie-Sebek czekał na decyzję.

– Za chwilę – zatrzymała ich Weronika i pobięła do telefonu.

– Bartek, kominiarze chcą mnie naciągnąć na jakiegoś strażaka, a ja nie wiem, co to jest i wstydę się zapytać.

– Dobry pomysł, jeśli masz trochę kasy. Tylko nie daj się naciągnąć. Strażak tak ze dwieście złotych, przejściówka drugie dwieście, a robociznę negocjuj.

Werka wróciła do pracowników.

– Przepraszam panów za chwilę zwłoki. To ile by razem koszt takiego strażaka wynosił?

Nie-Sebek podrapał się po karku.

– Tak z półtora tysiąka – wydukał.

– To chyba że byłby ze złota. Pan myśli, że kobiecie można wcisnąć każdą ciemnotę. Albo pan chce zarobić i daje uczciwą cenę, albo się nie dogadamy.

– Jak się nie dogadamy, to wiosną znów kawki przylecą i kominek na nic się nie zda.

– Będę sobie na nim trzymała zdjęcia rodzinne. To jak?

Nie-Sebek nabrał powietrza, żeby coś powiedzieć, ale Werka go uprzedziła.

– Tylko bez ściemy!

Sebek na dachu zaśmiał się pełną gębą.

– Ale bracie trafieś na twardą babkę. Dawaj te blachy i włącz tu. Te, zobacz... E, z dołu nie zobaczysz... Chałupa się pali? OSP już tam dojeżdża.

Nie-Sebek w kilku susach znalazł się na dachu.

– Coś ty! Z chałupy byłoby więcej dymu, bo tam plastik. A tu czysty ogień. Nieźle się hajcuje. Ale jak jest straż, to już my nie pomożem. Bierzem się do roboty, bo jeszcze do Fajkowskich mielim jechać.

Kiedy odjechali kominiarze, Weronika zabrała się do sprzątanía po nich. Delikatnie odkleiła taśmę, która utrzymywała folię zabezpieczającą, i próbowała ją tak złożyć i wynieść, żeby sadza nie wymknęła się poza kominiek. Niestety, sporo czarnego pyłu osiadło na podłodze. Kto zmywał sadze z czegokolwiek, ten wie. Cholerna robota, bo to się maże i w oczach mnoży. Zanim Werka opanowała kopcia, upaprała podłogę, wiadro, mop i siebie, a później drzwi do łazienki, ręcznik, umywalkę i baterię. Kiedy uporała się z robotą, była półżywa. Nie miała siły przygotować obiadu, więc zrobiła szybko kluski na mleku, które nawet z przyjemnością zjadła, i padła na kanapę.

Kiedy rano wyszła po psią miskę, żeby uzupełnić kudłaczowi wodę, przed jej bramą właśnie defilowała Zyta z wózkiem.

– Cześć, ciotka! – zagadnęła.

– Cześć, mamusiu – zrewanżowała się Werka.

– Może się z nami wybierzesz na spacer? – zaproponowała Zyta.

– A wiesz, czemu nie? Tylko zaczekaj, wezmę kurtkę.

Po chwili maszerowały skrajem drogi z wózkiem i psem, bo przecież kudłacz spaceru nie odpuścił.

– Cholera – sarknęła Weronika. – Pojutrze przyjeżdża mama, cały dom wypucowałam i to dwa razy, bo mi kominiek zakopcił całą robotę, wszystko przygotowane, jeszcze tylko jutro ostatnie zakupy...

– To o co chodzi?

– Bo wszyscyutko pięknie, tylko cały czas coś mi pośmiarduje. Najbardziej czuć na dworze, ale tak, że nawet okna się nie da otworzyć.

– Może jakieś zwierzę padło? – snuła domysły Zyta.

– Nie, to taki specyficzny zapach... Tfu! Jaki zapach?! Smród jak z kibla jakiegos.

– A kiedy opróżniałaś szambo? – podsunęła Zyta.

– Szambo?... Szaambo... Kurka wodna! To tu nie ma kanalizacji!?

– Wera, przestaw się. Czas najwyższy. Jesteś na wsi. Wiesz – wiesz, bociany, łąka, pole, krowy, gnojówka, szambo...

Zaczęły się śmiać.

– Słyszałaś o pożarze? – spytała Zyta, zmieniając temat.

– Akurat kominiarze u mnie byli i wypatrzili z góry, że coś się we wsi pali. Wiesz może co?

– Wiem i bardzo mnie to poruszyło.

– Ale jakieś duże straty, ktoś ucierpiał?

Zyta tylko westchnęła.

– Paliła się komórka Bartka, taki składzik przy domu. Jak strażacy przyjechali, to już sam próbował gasić.

– Ale tylko komórka? Dom ocalał? Nic mu się nie stało? – Weronika zasypała Zytę gradem pytań, ale z tonu kuzynki wywnioskowała, że coś z tym pożarem nie tak. – Wyduś wreszcie.

– Bo wierzyć mi się w to wszystko nie chce.

– Czy dowiem się, o co chodzi?

Wreszcie Zyta wzięła głębszy oddech i zaczęła mówić:

– Bo był u nas Wiktor. Wiesz, oni wszyscy stanowili jedną paczkę. Był wściekły i smutny jednocześnie. Jak strażacy byli zajęci pożarem, to ktoś im za wycieraczkę wstawił kartkę „TAM TRZYMAŁ DO-

WODY SWOICH GRZECHÓW". I któryś z chłopaków wezwał policję. Musieli poczekać, aż pogorzelsko będzie bezpieczne. Już ciemno było, jak tam weszli z reflektorami. W jakiejś osmolonej pożarem puszcze znaleźli złoty łańcuszek z przywieszką. Ponoć taki sam, jak miała jedna z tych zaginionych kobiet.

– To ile ich było? Znaczących kobiet? Jakiś seryjny porywacz?

– Do niedawna nikt tak nie myślał. Szukali tylko dziewczyny, której rodzice prowadzili dom dziecka. Jak ta Natalia zaginęła, co w telewizji o niej mówili, to nie łączyli tych spraw ze sobą, ale jak znalazła torebkę bibliotekarki, to już zaczęli szukać wspólnych elementów. Nie znaleźli, ale nie o to chodzi.

– A o co? – Weronika próbowała zachować spokój.

– Nie o co, a o kogo. O Bartka chodzi. Aresztowali go, a właściwie zabrali na przesłuchanie. Wiktor nic nie wie, jak to tam przebiega, bo posterunkowemu nie będą się opowiadać z przesłuchań. W każdym razie zabrali Bartka i do tej pory siedzi.

– Kurdesz, to tragedia – Weronika aż się zatrzymała. – Najpierw podpalili mu samochód, a teraz mało domu nie stracił. Kto się na niego tak uwziął?

– A nie przyszło ci do głowy, że nikt się nie uwziął? Może faktycznie to on porwał dziewczynę i schował jej łańcuszek?

– Na pamiątkę sobie zostawił? Jako trofeum? Puknij się. Przecież to inteligentny facet i nie trzymałby u siebie dowodów własnej winy!

– Ci na filmach właśnie zostawiają sobie takie fanty.

– Na filmach... Nie wierzę.

Już szykowała wszystko do spania. Obeszła dom, żeby sprawdzić, czy wszystko pozamykane. Pogasiła światła na dole i właśnie miała wejść do łazienki, kiedy zadzwonił telefon.

– Wybacz, że cię niepokoję – usłyszała głos Bartka. – Mój kolega z miasta wyjechał na jakieś szkolenie i nie mam do kogo zadzwonić. Rozmawialiśmy o tym ostatnio. Czy możesz po mnie przyjechać? Zabrali mnie w samej koszuli i nie mam portfela.

Weronika wahała się, ale tylko chwilę. Przez tę chwilę miała wątpliwość, czy dobrze robi, w ogóle zadając się z Bartkiem. Nie podobała jej się taka sinusoida odczuć. Raz widziała w nim pomocne ramię, kiedy indziej potencjalnego zbrojnicę. Postanowiła zaufać intuicji. Swojej i babcinej.

– Puszczę ci sygnał, jak dojadę – rzuciła w słuchawkę i poszła zakładać buty.

Hugo zwietrzył spacer i już stał przy bramie. Przez chwilę zastanawiała się, którym samochodem pojechać. Wybrała mitsubishi. Pies radośnie wskoczył na tylne siedzenie.

– Trzymaj się – powiedziała do niego Weronika i ruszyła w ciemność.

Na miejscu była po dwudziestu minutach. Bartek z wdzięcznością przyjął starą bluzę babci, w której lubiła pracować w ogródku. Jedyna część garderoby obu pań Wielowiejskich, w którą się zmieścił. Była na niego za krótka i miała rękawy trzy czwarte. Jednak trochę chroniła przed chłodem.

– Jakoś do tej pory nie miałam nastroju, żeby zrobić porządek z rzeczami babci – tłumaczyła się bez sensu Weronika. – Przez to ocalała.

– Dziękuję, że o tym pomyślałaś. I jeszcze raz przepraszam, że cię fatyguję.

– Daj spokój – bagatelizowała. – Właściwie dlaczego cię trzymali? I dlaczego wypuścili, w dodatku w środku nocy?

– Wiem, że to zabrzmiało jak kwestia oskarżonego w kiepskim kryminale, ale ktoś mnie wrabia.

– Dlaczego?

– Dobrze pytanie. Bo gdyby nie było tej akcji, to wydaje mi się, że nie byłoby żadnych podejrzanych w tych sprawach. A tak sobie myślę, że jeśli ktoś chce skierować na mnie oskarżenie, to musi być blisko. A puścili mnie, bo nie są w stanie udowodnić, że ten przedmiot rzeczywiście należał do Natalii, ani że miałem go w ręku. Bramy nie zamykam, składziku też nie, bo i przed kim? Każdy mógł wejść. Mało

tego, ja go widziałem... Porządkowałem piwnicę i widziałem jego nogi w dżinsach i czarnych adidasach podobnych do moich. Myślałem, że to przyjaciel... Taaa, przyjaciel... – Bartek gorzko się roześmiał. – Lekarzu, wylecz się sam – skwitował według Weroniki bez związku.

Wjechali do wioski.

– Wstąpisz na chwilę? – zaproponowała.

– Co prawda jestem bardzo zmęczony i jest późno, ale chyba nie chciałbym być teraz sam, bo mnie roznosi.

– To zamknij za nami bramę.

Wstawili samochód do garażu i jak poprzednio usiedli w kuchni. Jak poprzednio Wera zakrzętała się wokół kolacji.

– Pewnie jesteś głodny.

– Nawet tego nie czuję, ale jak o tym wspomniałaś, to faktycznie. Jadłem dziś tylko śniadanie.

– Ciekawe, dlaczego wcześniej policja mnie wypytywała o alibi? – Weronika męczyła się ze zmrożonym masłem.

– Nie chodziło o twoje alibi, tylko o moje. Pewnie się tego domyśliłaś. A ja mogę być więcej niż pewien, że jeśli komuś kura wpadnie pod samochód albo padnie zaraza na pomidory, to będę pierwszym podejrzanym... Dziękuję za cytrynę, czarna herbata wystarczy... Natalia... pani Natalia, bo nie byliśmy na ty. Dopiero jak pojawiła się o niej wiadomość, to zacząłem mówić o niej jak wszyscy... Pani Natalia była moją klientką. W ten feralny poniedziałek widziano nas razem. A później ktoś widział, jak klóciła się z jakimś wysokim mężczyzną, który wciągnął ją do samochodu. Informację przekazali trzej miejscowi pijackowie, którzy byli świadkami tego zdarzenia. I co do tych faktów byli pewni i zgodni. Natomiast nie zapamiętali marki samochodu. Każdy opisywał go inaczej. Duży, ciemny – tylko tyle w ich opowiadaniach się pokrywało. No to dodaj dwa do dwóch. Moja... babci toyota. Chociaż nie byli pewni, czy to SUV czy kombiak, czy większa limuzyna. No i nie muszę chyba mówić, że właśnie tamtego dnia Natalia zginęła. Jej ciało znalezione w lesie dopiero tego wieczoru, kiedy zbieraliśmy jabłka. Została zamordowana kilka godzin wcześniej. Ktoś ją przez te kilka dni musiał przetrzymywać. A najciekawsze, że ostatnie połączenie z jej telefonu było do mnie. Nawet odebrałem, tylko nikt się nie odzywał. Wtedy uznałem, że w torebce telefon sam jej zadzwonił.

– Zdarza się – potwierdziła Wera.

– Nie przywiązywałem do tego wagi. Okazuje się, że to było częścią intrygi. Gdybym siedział sam w domu albo był w towarzystwie kogoś innego niż ty, to już wtedy by mnie zamknęli i nie puścili. Na moje szczęście oficer prowadzący tę sprawę nie jest głupi, co nie znaczy, że skreślił mnie z listy podejrzanych. Mam przypiętą taką łatkę, że nikt we wsi nie przyznałby się, że spędzał ze mną czas. Naprawdę doceniam, co dla mnie robisz. Mam nadzieję, że nie będziesz tego żalowała.

– A ja mam nadzieję, że prawda zwycięży.

– Oby.

– Córeczko, ugrzęźliśmy. – Telefon mamy oderwał Werę od rozpakowywania zakupów.

– To znaczy, że dziś nie przyjedziecie? – W głosie dziewczyny wyczuwało się rozczarowanie.

– To znaczy, że toniemy w błocie pod jakimś lasem, a po drugiej stronie mamy zaorane pole. Nigdzie żywego ducha. Już chyba widzę kościół, ale nie wiem, co się stało z drogą. Przecież tu był asfalt. – Głos mamy stawał się lekko histeryczny.

– Za wcześnie skreśliście – domyśliła się Werka.

– Nie możemy wyjechać z tego blocka. Jakiś traktor by się przydał albo chłop z koniem.

Weronika roześmiała się.

– I co w tym takiego śmiesznego? – obruszyła się matka.

– Kiedy ty ostatnio byłaś na wsi i widziałaś chłopca z koniem? Zaczekajcie spokojnie, zaraz przybędzie odsiecz.

Łatwo było zgadnąć, gdzie goście Weroniki ugrzęźli i równie proste było rozwiązanie ich problemu. Zatem Wera wstawiła ostatnie serki do lodówki, ogarnęła wzrokiem kuchnię i uznała, że można tu wypuścić mamę nastawioną krytycznie do świata. Wyprowadziła pick-upa z garażu i ruszyła na pomoc.

– Ale zaryliście! – zauważyła, otwierając ramiona w powitaniu.

– Ale maszyna! – Z uznaniem o aucie babci wyraził się Karol, odwzajemniając uścisk. – Masz linę?

– A ty masz gdzie zaczepić?

W kilka minut uporali się z problemem i wkrótce goście znaleźli się na podwórku Wery.

– Ależ się tu zmieniło – zachwyciła się mama. – Musiałaś chyba jakiś grubszy remont przeprowadzić, bo to była prawie ruina. Ile ten dworek ma lat?

– Pewnie ponad sto – wyjaśniła córka. – Ale to babcia przeprowadziła wszystkie prace adaptacyjne i remontowe.

– Nadal pali się tu w kuchni?

– Mamooo... Zapomnij. Dawno tu nie byłaś, a już za czasów moich przyjazdów na wakacje była tu kuchenka gazowa. Teraz są tu wszystkie wygody i mam nadzieję, że komfortowo spędzisz czas. Rozgościć się. Tu jest łazienka, a tu wasza sypialnia, obok mojej.

– Ja chyba jednak będę spał na kanapie w salonie – Karol wnosił walizkę Sabiny. Była wielka jak szafa. Wyglądało, że mama zabawi tu dłużej.

– Pokłóciliście się? – Weronika zastanawiała się, dlaczego goście nie chcą spać razem.

– Daj spokój, lepiej niech się rozlokują na dole. Inaczej żadna z nas nie będzie spała. On tak chrapie, że dach się unosi. Może z dołu nie będzie go słychać.

– Jak sobie życzycie. Pościeli wystarczy.

W czasie kiedy mama rozpakowywała dobytek, Weronika szykowała obiad. Karol zginął. Poszedł do ogródka na rekonesans i się zawieruszył.

– Pójdę go poszukać – zadeklarowała mama, gdy Wera odlewała ziemniaki.

Po chwili wrócili razem.

– Strasznie masz ten ogród zaniedbany – sarknęła rodzicielka.

– Z czego ja się bardzo cieszę, bo nie będę się tu nudził – zatarł ręce Karol.

– Ty tu przyjechałeś odpoczywać, a nie zajmować się moim ogrodem – skwitowała Werka.

– Przecież to będzie dla mnie odpoczynek. Na co dzień nie pracuję fizycznie, więc potraktuję pobyt tu jako siłownię. Pokażesz mi tylko, gdzie masz narzędzia.

Chociaż nie wypadło Werze zgadzać się, by gość zaprzął się do roboty, w duchu cieszyła się, że ktoś jej pomoże. To nie tak, że migąła się od pracy w ogródku. Po prostu nie miała wyobraźni, co powinno się tam zrobić.

Drugiego dnia pobytu mama zajrzała do lodówki i zaczęła narzekać.

– Dziecko, jakimi świństwami ty się odżywasz!!!

– Jakimi świństwami? – Werka zajrzała jej przez ramię, żeby zobaczyć, co matka może mieć na myśli.

– Twarożek owocowy? Toż to sam cukier! Mrożona fasolka? Jakby świeżej nie było!

– O tej porze roku raczej trudno o świeżą.

– Schab? Kto w dzisiejszych czasach je wieprzowinę?

– Ja. A ty też nie przeszłaś na wegetarianizm, więc zrobisz jutro pyszne kotlety.

– Kochana, jeśli myślisz, że ja tu umrę z głodu, bo nie masz nic, co mogłabym do gęby włożyć, to się mylisz. Jedziemy po zakupy – zdecydowała.

Dla świętego spokoju Wera wyprowadziła pick-upa z garażu.

Zakupy z mamą to wydarzenie z gatunku katastroficznych. Wspólny spacer po hali handlowej Weronika zakończyła po wizycie w dziale serów. Porzuciła rodzicielkę i ruszyła w inny koniec hipermarketu, bo wyglądało to tak:

– Świąży ten rokpol? Nie wygląda zachęcająco... To niech mi pani zważy trzydzieści deko lazura. Nie, może ćwierć... Albo niech będzie ten roquefort. Tak, trzydzieści deko. Za duży ten kawałek. Tego nie chcę, bo same brzegi mi pani daje. Nie ten, ten z tyłu, koło salami, nie tego salami, tylko wędzonego. Tak, może być ten... I goudy w kawałku. Nie, może jednak niech mi pani pokroi. Tylko nie w takie grube plastry. Czemu tak cienko, przecież tego na kanapce nie będzie widać. Pani mi dołoży jeszcze kilka plasterków. Za dużo, kto tyle zje! Albo niech będzie, to zrobimy zapiekanki. Ach, do zapiekanek to by się cheddar przydał. Nie, nie, tym razem w kawałku. Taki może być. A nie macie od razu tartego? Tylko parmezan? To poproszę. Nie, za taki to ja dziękuję, wygląda na zeschnięty. To pani mi da jeszcze tego cheddara w kawałku.

Znudzona zakupami Weronika postanowiła w końcu poczekać na mamę w samochodzie. Wodząc wzrokiem bez celu, zauważyła, jak córka Stefaniakowej wsiada do radiowozu. Kornacki zamyka za nią drzwi i siada za kierownicą.

– Ciekawe, czy coś narozrabiała, czy może było włamanie do sklepu?

Jednak nie zwracała sobie tym głowy, bo właśnie zbliżała się do niej mama, którą ledwie widać było zza wypchanego wiktuałami wózka.

– Dobrze, że nie przyjechałyśmy kijanką – śmiała się Werka.

– Samochód też w spadku? Bo nie przypominam sobie, żeby był wymieniony w testamentcie.

– Podobnie jak babci biżuteria. „Wszystko co w budynkach”, czyli srebrna zastawa też. Właściwie mogłabym nie pracować.

– A pracujesz? Boś głupia!

Wera przestała słuchać mamy, jak tylko uruchomiła silnik. Całą drogę trwała tyrada, jak to powinna korzystać z dobrodziejstw zamożności.

– Zrobisz, jak zechcesz – podsumowała matka, wysiadając pod domem. – W końcu to twój majątek. Rządź się po swojemu. Ja mam co do garnka włożyć.

– No. Cały samochód żarcia – zakpiła Werka, ale na karcący wzrok mamy zamilkła.

Jakże się zdziwiła, kiedy zobaczyła, że w czasie, gdy ich nie było, Karol wykopał w kącie ogrodu dół i zaczął do niego znosić resztę spadłych jabłek. Nie pozostawało jej nic innego, jak wskazać mamie spiżarnię i pomóc Karolowi w zbiorze zgniłków. Nie dane im jednak było skończyć pracy, gdyż w krótkim czasie zepsuła się pogoda. Wiało i padało, co uniemożliwiło dalsze działania w ogrodzie.

– Dziecko, a tobie internet to w workach przywożą? – sarknęła mama, gdy dorwała się do komputera i próbowała przeglądać swoje ulubione portale.

– No, trochę muli. Miałam reklamować, ale ciągle zapominam. Napalić w kominku, żeby było milej, bo taka plucha za oknem?

Karol pomógł jej z rozpaleniem ognia i resztę wieczoru spędzili bardzo przyjemnie przy winku z babcinej piwniczki.

W nocy Weronika usłyszała na dole jakieś dziwne ruchy. Początkowo je zlekceważyła, bo w końcu Karol miał prawo się kręcić, ale kiedy usłyszała jego podniesiony głos, zaniepokoiła się.

– Podejdz do drzwi!... Kto tam, do jasnej cholery? – grzmiał przyjaciel mamy.

A po chwili:

– Komu się na żarty zebrali?! Kto tam jest?!

Weronika zarzuciła sweter na piżamę i zeszła do salonu. Zastała Karola, jak wychylał się przez otwarte okno, sprawdzając, czy nikogo nie ma poniżej parapetu. Wiatr wypychał do wnętrza pojedyncze krople deszczu.

– Nikogo nie ma – obwieścił Karol, zamykając okno.
– A kto miał być? – zdziwiła się Wera.
– Nie wiem. Ktoś się do ciebie dobijał. Ale zwiął.
– Do mnie?
– No przecież nie do mnie. – Karol pomimo obudzenia próbował być dowcipny. – Pukał i pukał, ale się nie odezwał i nikogo tam nie ma. Duchy jakieś.
– Dziwne... Jak się tu wprowadziłam, to pierwszej nocy też tak było.
– Toż mówię. Duchy. Witają nowo przybyłych. Wszystko jasne, chodźmy spać.
Weronika wróciła do łóżka, ale jeszcze długo zastanawiała się, jak to możliwe, że „duch” ponownie się odezwał.

– Wszystko kupiliśmy, tylko nie cytryny. Muszę mieć cytrynkę do łososia. Myślisz, że w tym wiejskim sklepie będą?

Mama Wery przejęła dowództwo nad jadłospisem. Dzięki temu zamiast jajek na miękko była pasta jajeczna, do której siekania przymusiła córkę.

- Skoczyłabyś sprawdzić. A nuż mają – zachęcała Weronikę.
- Zwykle mają, bo to całkiem niezłe zaopatrzone sklepy, ale czy dziś będą, to nie wiem.
- No to na co czekasz? Jeśli chcesz zjeść porządny obiad i o czasie, to pospiesz się.
- Nie będę się spieszyć – zbuntowała się Weronika. – Pójdę na piechotę.
- Tylko biegusiem – ostatnie słowo musiało należeć do pani Sabiny.

Weronika założyła kurtkę, opatulila się szalikiem i naciągnęła kaptur na głowę. Wiatr co prawda ustał, ale chłód dawał się we znaki.

Przed sklepem Stefaniakowej zauważyła znajomą toyotę. We wnętrzu trafiła na ożywioną rozmowę.

- Do tej pory nie dała znaku życia – wzburzona pani Stefaniakowa relacjonowała coś Bartkowi.
- Pani sąsiadko, przecież Dorota jest dorosła, trudno, żeby wszystkie noce spędzała z mamusią – próbował tłumaczyć.
- Ale żeby nie zadzwonić?! Nigdy jej się to nie zdarzało. Tu robota czeka, po towar do hurtowni trzeba jechać. Co ona sobie myśli, że ja sama te skrzynki będę targała? Nie rozumiem. Zawsze taka odpowiedzialna...

- Może raz w życiu chciała sobie zrobić wagary?
- To niemożliwe – kategorycznie zaprzeczyła kobieta.
- Pewnie zaraz wróci – pocieszał chłopak.

– Widział pan ją. Najpierw panu zwracała głowę o ten komputer, a potem nawet nie zaczęła, żeby pan skończył naprawiać, tylko złapała ojca kluczyki do samochodu i pojechała... Co to ja, na komputerach się znam, żeby wiedziała, co panu podpowiedzieć, jak poszła?! Mówiła, że coś ważnego załatwi i zaraz wróci. Całe popołudnie jej nie było i przepadła całkiem. Ojciec z Zaborowskim pojechali jej szukać. Samochód znaleźli pod księgarnią, a jej nie ma. Telefonu też nie odbiera.

– Znajdzie się, pani sąsiadko, na pewno się znajdzie.

– Oby żywa – skwitowała Weronika, kiedy po dokonaniu zakupów znaleźli się z Bartkiem przed sklepem.

– Przeستاń! Pewnie zabalowała. Jej też się coś od życia należy. Całe życie z mamusią za ladą. Może wreszcie poszła w tango.

– Zadzwoniłaby chyba?

– Może bateria jej padła albo nie zabrała telefonu, albo tak jest zajęta, że o bożym świecie zapomniła – próbował znaleźć wytłumaczenie.

– Za dużo zbiegów okoliczności, jak na mój gust... A tak w ogóle, to co było z jej komputerem? – Weronika zmieniła temat.

– Poprosiła, żebym zobaczył, co z internetem, bo strasznie wolno jej chodził...

– To tak jak u mnie...

– Ale u niej to nie była wina internetu.

– A co?

– Ktoś jej wgrał do komputera program szpiegowski.

– Może sama go ściągnęła, latając po jakichś szemranych stronach – podsunęła.

– Też bym tak myślał, gdyby nie to, że to nie jest program z internetu. Ktoś jej to musiał wgrać z nośnika.

– Czyli ktoś, kto był u niej w domu?

– Tak. Ktoś, kto miał dostęp do komputera.

Całą drogę powrotną do domu Weronika myślała o zaginięciu Doroty. Zastanawiała się też nad spowolnieniem komputerów. Coś ją w związku z tym nurtowało, ale nie mogła sprecyzować myśli.

– Coś taka markotna? – napadła na nią mama przy obiedzie, bo Weronika przestała brać udział w rozmowie.

– Daj dziewczynie spokój – strofował ją Karol.

– Należycie sobie winka, a ja coś przez ten czas sprawdzę – zaproponowała Weronika i przeszła do gabinetu.

Z dolnej półki w szafie wyjęła dawno zapomniany laptop babci. Dużo starszy model od Werkowego, ze słabszym i teoretycznie wolniejszym procesorem. Wpisała w niego hasło Wi-Fi i odpaliła wyszukiwarkę. Myk-myk wyskakiwały jej kolejne strony. Weszła na YouTube'a. Bez problemu wyświetlił się jakiś film, w który kliknęła. Po prostu szedł bez buforowania, bez przystanków.

Odbiła wycieczkę góra–dół, bo swój laptop zostawiła w sypialni. Weszła z niego na tę samą stronę i odpaliła ten sam film. Strona ładowała się kilkadziesiąt sekund, a film najpierw długo nie chciał ruszyć, a później odtwarzał się z kilkoma przerwami na doładowanie.

– Czyli to nie Wi-Fi – odkryła ze zdziwieniem.

Zadzwoiła do Bartka, ale nie odbierał.

– Co ty tam dłubiesz w tym laptopie? – usłyszała za plecami głos mamy. – Zajmij się gośćmi. Robotka może poczekać. Zresztą sama powiedziałaś, że nie musisz już pracować.

– A ty sama powiedziałaś, że internet muli. Chciałam sprawdzić, dlaczego. Spowalniał w twoim telefonie, czy korzystałaś z mojego laptopa?

– Chyba nie masz przed matką jakichś tajemnic? – spytała oburzona.

– Znaczą, działałaś na moim lapku?

– Przecież ci go nie zjadłam. – I mama wycofała się obrażona.

Późnym popołudniem zameldował się Bartek. Weronika poprosiła, żeby do nich przyszedł.

– Nie mówiłaś, że tu są tacy przystojni chłopcy – kokieteryjnie przywitała go matka.

– Mamooo! – Weronika tylko przewróciła oczami.

Karol powitał Bartka męskim uściskiem ręki.

Werka postawiła laptop na stole.

– Czy możesz mi go sprawdzić? Oczywiście wiem, że to twoja praca, więc tak to potraktuj. Zapłacę. I przepraszam, że zawracam ci głowę poza zwyczajowymi godzinami urzędowania, ale zależało mi na tym, żeby to było dziś.

– Nie żartuj, chętnie pomogę. Jakie objawy?

– Takie jak u Doroty.

– Nie pier... – Bartek nie skończył zdania, za to pobałdł. – Pokaż, co tam masz.

Dłuższą chwilę grzebał w plikach, ale po ostatnich doświadczeniach wiedział, czego szuka.

– Kurwa – tym razem nie powstrzymał się przed przekleństwem. – Przepraszam państwa bardzo, ale głowie się nie mieści.

– Powiesz, o co chodzi? – zdenerwowała się Weronika.

– Kto tu był? – z powagą na twarzy spytał Bartek.

– W jakim znaczeniu? Różni ludzie tu bywali. Nie strasz mnie, tylko mów precyzyjnie.

– Byłyście szpiegowane. Ty i Dorota. Tym samym programem. I to nie jest żaden dumny trojan zassany z netu. Żeby go wgrać, trzeba było przejść komputer, a nie ma śladów wejścia z zewnątrz. Czyli ktoś to zrobił, siedząc przy klawiaturze.

– Skąd wiesz? – dopytywała Wera.

– To jest mój zawód. Zajmuję się projektowaniem tak zwanych inteligentnych domów i systemami ochrony. Nie zrobiłem certyfikatu bezpieczeństwa, więc nie obsługuję ważniejszych instytucji, ale i tak mam zajęcie. Wiedzą państwo, jedna pani drugiej pani. Zleceń nie brakuje.

– Kto to mógł zrobić? – zastanawiała się na głos mama Wery.

– Mogłaś przywieźć tego szpiega z domu... Znaczący z wcześniejszych czasów. Ale w takim razie, jakim cudem byłby u Doroty, bo to ten sam?

– Czyli wgrano mi go tu. Więc kto? – Weronika nie mogła uwierzyć, że ktoś mógł zainfekować jej komputer.

– Ktoś, kto miał okazję. Przypomnij sobie, kogo tu wpuszczalaś.

– Kominiarze... Ale oni byli głównie na zewnątrz... Chociaż tu też zabezpieczali kominiek folią i nie zawsze przy nich byłam. Gwidon z Zytą...

– Gwidon ma wystarczającą wiedzę, ale jego nie podejrzewam – ocenił Bartek.

– Skąd wiesz, że ma wiedzę komputerową, przecież on jest hodowcą?

– Gwidon, ja, Wiktor Majewski, Borkowski... ten od tych wielkich szklarni, Marek, młody Laskowski i ten mój kolega z miasta należeliśmy w technikum do koła komputerowego. Facet, który to prowadził, był nawiedzony. Było kilka grup, więc nie wszyscy przychodzą mi do głowy. Robiliśmy takie rzeczy, że jak teraz na to patrzę, to politechnika. Marek poszedł w grafikę i nawet jest w tym dobry. Poza tym tak się wycofał z życia, że w tej depresji raczej nie bawiłby się w szpiegowanie kobiet. Gwidon jest uczciwy do szpiku kości, Wiktor zbyt naiwny i prostolinijny. Borkowski miał wypadek. Operowali mu nogę i chyba jeszcze nie wrócił ze szpitala. Laskowski? Nie podejrzewam. Chociaż cicha woda...

– Oprócz tego z miasta, Borkowskiego i Laskowskiego, bo ich nie znam, wszyscy pozostali tu byli... A Bania? – Weronice chyba coś chodziło po głowie.

– Przecież to policjant – zaoponował Bartek.

– Ale też tu był.

– Dlaczego przyszedł ci na myśl Bania? – spytał przysłuchujący się tej wymianie zdań Karol.

– Bo wczoraj w trakcie naszych zakupów widziałam Dorotę w towarzystwie aspiranta Kornackiego. Wsiadała do radiowozu. Jej samochód znalaziono przed księgarnią, a księgarnia jest o rzut miotem od komisariatu. Pod komendą nie zaparkujesz, więc, jeśli tam nie znalazła miejsca, mogła stanąć trochę dalej...

– Chyba nie podejrzewacie policjanta o dłubanie w komputerach – prychnęła mama.

– Dlaczego nie – rozwlekając głoski, zastanawiał się na głos Bartek. – On tylko wygląda na głupka. I jeszcze jedno mnie zastanawia... Ale to nie jest związane z internetem. On zawsze jest pierwszy na miejscu zdarzenia...

– Poza tym zna szczegóły związane ze śmiercią Jagody i powielając detale, może chce wrobić ciebie albo Marka... Słuchaj, a może on dostał pozwolenie na podsłuch u nas? – Wera szukała różnych wyjaśnień.

– Musiałby mieć zgodę sądu. I po co akurat was miałby podsłuchiwać? Dorotę? Już prędzej u mnie by coś zainstalowali... Czekaj, bo może to się nie ogranicza do inwigilacji kompa.

Bartek wstał i zaczął uważnie przeglądać pokój. Przesunął lampę, podszedł do okna, wziął do ręki zegar z kominka, odstawił i przyjrzał się uważnie secesyjnej rzeźbie, którą babcia trzymała na gzymsie. Wyjął z jej splotów jakieś małe pudełeczko. Mniejsze niż na pierścionek.

– Voilà! – Zaprezentował je zebranym.

– Kamera? – zainteresował się Karol.

– Jedna... Poszukajmy następnej.

Znaleźli. W kuchni przy zegarze nad drzwiami. W holu niczego nie było, ale Bartek nie zrezygnował.

– Mogę? – spytał, wskazując schody.

– Jasne, synu, wal! – Karol poczuł się gospodarzem.

Kolejne urządzenie było na rogu szafy w gościnnej sypialni.

– Boże, my tu przed chwilą uprawialiśmy seks – pisnęła mama, która z resztą domowników postępowala w ślad za Bartkiem.

– Niewykluczone, że będą państwo oglądać relację w internecie – pognębił ją Bartek.

Przeszli do sypialni Weroniki, ale tu niczego nie znaleźli. Na wszelki wypadek chłopak przejrzał jeszcze obie łazienki.

– Dziś już ciemno, ale warto zobaczyć, czy nie ma czegoś na zewnątrz.

– Bierz latarkę i do roboty! – Weronika nie mogła pogodzić się z myślą, że jest podglądana.

– Wera, nie znajdę tego dzisiaj, taki pipszytek może być wszędzie. Za dnia poszukamy. Obiecuję, że jutro wrócę. Tu i do Stefaniaków... Tylko nie z samego rana, bo mam zaprogramować czujki ruchu u klienta. To potrwa chwilę, bo już zamontowane, tylko wgrać.

– Czujki... i włamanie – Werka się uśmiechnęła do własnych myśli.

– Właśnie tak to się składa w parę.

– Weraaaa!!! – Głos Karola zwał ją na ganek. – Nie mogę wyjść przez furtkę, bo pod nią leży jakiś wielki pies.

– Wrócił? – Weronika wybiegła przed ogrodzenie. – Ty małpo! – Rzuciła się z pieszczotami do psa.

– To twój? – Karol cały czas trzymał bezpieczny dystans.

– Poniekąd. Znajda. Upredzono mnie, że lubi bywać na gigantach, więc nie martwiłam się, że zginął. Zgłodniałeś, sierściuchu – odgadła. – Chodź, dostaniesz michę.

– Jak zobaczyłem te miski, to myślałem, że dokarmiasz jeże.

– Psią karmą? Można i tak. Właściwie to nie wiem, czym się dokarmia jeże.

– Ja też nie. – Zaczęli się śmiać. – Szkoda, że nie było go pierwszej nocy. Może złapałby tego dowcipnisia, co pukał do okna.

– Albo by przed nim uciekł. Nie jestem pewna, czy to pies obronny. Dokąd się wybierałeś?

– Chciałem sobie otworzyć bramę i jechać na ryby. Wziąłem z domu sprzęt. Myślałem, że wypróbuję przed następnym sezonem. Trochę zaspiałem, ale przecież ryby nie pójda na sjęstę. Może jakaś się złapie.

– Najkrótsza droga nad rzekę prowadzi przez pola. Weź pick-upa, bo znów się zakopiesz.

Karol zadowolony, że odpocznie od kobiet, wyjechał na połów. Weronika postanowiła kontynuować prace ogrodowe. Mama okutała się w koc i towarzyszyła jej z kubkiem parującej kawy w rękę.

– Jeszcze pod tamtym drzewem. – Wskazała palcem, gdzie Werka ma szukać zgniłków. – I pod ścianą garażu, bo tam się sporo potoczyło.

Mama oparła się o ścianę domu nieopodal okna od salonu.

– Jak uporasz się z jabłkami, to będziesz musiała zgrabić te liście – komenderowała. – I na twoim miejscu to przycięłabym gałęzie czereśni, bo ci szyby powybijają.

Weronika wściekła, że zamiast jej pomagać, rodzicielka przyjęła rolę karbowego, podeszła do niej i wzięła się pod boki.

– Jakie gałęzie? Które? – spytała zaczepnie.

– A o, te. – Jednocześnie siorbiąc gorącą kawę wskazała dorodny pęd, który ocierał się o szybę.

Werka już-już miała na końcu języka, żeby mama zamiast kierownikowania sama wzięła się do roboty, gdy doznała olśnienia. Zaczęła się śmiać.

– Z czego tak rechoczesz? – Sabina myślała, że śmiech córki dotyczy jej osoby.

– Jak Karol wróci z ryb, to ci powiem.

W tym momencie pojawił się na podjeździe samochód Bartka.

– Sorry, że to tak długo trwało. Ale po drodze wstąpiłem do Stefaniaków. Doroty nadal nie ma i to już nie jest śmieszne. Ojciec pojechał zgłosić zaginięcie na policji. Mam nadzieję, że nie trafi na Kornackiego. Przy okazji przejrzałem ich dom, ale tam nie ma żadnych kamer... Hugo, nie skacz na mnie brudnymi łapami! Dostyc tych pieszczot...

Bartek przecesał okolicę wjazdu na posesję. Znalazł jedną kamerkę skierowaną na bramę i wjazd do garażu, drugą na drzwi wejściowe.

– Więcej nie widzę. Oby to już były wszystkie – sapnął, gdy zląził z plotu, nad którym była zamontowana jedna z nich.

Na podwórko z wizgiem zajechało mitsubishi.

– Do bani taka robota – sarkał Karol, zabierając z paki wędziska. – Za duża fala. Nic nie brało. Jeśli do jutra się nie wywieje, to wezmę spinning, bo spławikówką nic nie złowię. Haczyk rybie z pyska wyrzywa.

– À propos wiatru. Chodź, pokażę ci ducha. – Weronika poprowadziła Karola pod okno salonu. Za nimi podążyli pozostali. – Pozwólcie, że wam przedstawię ducha, który puka po nocach. Paraaam!

– No i gdzie on jest? – Rozglądał się Karol.

– Tu. Ta oto gałąź pukała w okno. A pukała tylko przy dużym wietrze z tego kierunku. Ja słyszałam pukanie tylko pierwszego dnia, bo później przeniosłam się do sypialni na górę, a stamtąd tego nie słychać. A teraz na ciebie trafiło.

– No to się wyjaśniło – ucieszył się Karol.

– Chciałam ci tylko pokazać, a teraz idę po sekator i odprawimy egzorcyzmy.

– A ja wam obiecałem ryby, a tu klops. Za to sprawdziłem w necie i przeprowadziłem wywiad. Niedaleko jest jakaś kultowa karczma, gdzie podają lina w śmietanie. Zapraszam.

– To wy z mamą jedźcie, a my tu dokończymy temat.

– No jeśli Karol zaprasza... – zaczęła namawiać mama.

– Daj spokój – przerwał jej. – Młodzi chcą być trochę sami. Wskakuj w płaszczyk, a ja się szybko przebiorę... Wera, możemy pick-upem? Spodobał mi się ten samochód. Pasuje do mnie.

– Nie mogę przestać myśleć o Dorocie – wróciła do tematu Weronika, kiedy zasiedli w salonie.

Za oknem robiło się ciemno.

– To już czwarta dziewczyna, która ginie w tej okolicy – podsumował Bartek.

– Piąta – sprostowała Weronika.

– Ja naliczyłem cztery... – Bartek wysłał myśli.

– Jeszcze Jagoda.

Chłopakowi zacisnęły się szczęki.

– Ja bym nie łączył śmierci Jagody z tymi zaginięciami. To było wcześniej i ona właściwie nie zginęła.

– Szukali jej trzy dni – sprostowała Werka. – Wybacz, ja wiem, że to dla ciebie trudne, ale chciałabym zrozumieć, co się wtedy stało i jak to się ma do terazniejszych wydarzeń. I nie z ciekawości. Bo widzę, że mnie to też dotyczy, a chcę się czuć bezpiecznie. Opowiedz mi, proszę, o Jagodzie. – Spojrzała Bartkowi głęboko w oczy.

Chłopak chwilę milczał, po czym wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

– Kochaliśmy się.

– Przecież była dziewczyną Marka.

– Wszyscy tak myśleli. On zresztą też tak myślał. Utwierdzali go w tym przekonaniu rodzice Jagody, którzy bardzo sobie życzyli ich związku. Ja wtedy byłem gołodupcem, a Marek miał dom i był taki elegancki i grzeczny. Myśleli, że przejmie po nich część interesów. Widziałas, jakie pieniądze się przez Powykopoki przewalają.

– Skąd mam wiedzieć? – Weronika wzruszyła ramionami.

– Jak nie fontanna na podjeździe, to lwy przy bramie. Myślałem, że się zorientowałaś.

– Jakoś mi nie przyszło do głowy przeliczanie ozdób ogrodowych na dolary.

– Sorry, nie złość się. My nie byliśmy zamożni, a jeszcze wszystko się posypało, jak siostra zachorowała. Rodzice się wysprzedali ze wszystkiego, a i tak nie udało się jej uratować. Jak ich zabrakło, to twoja babcia była dla mnie największym wsparciem.

– A wracając do Jagody...

– Marek ją właściwie osaczył i wiedzieliśmy, że nie wygramy z presją rodziny. Kiedy okazało się, że Jagoda jest w ciąży, postanowiliśmy uciec. Kolega, ten z miasta, załatwił mi zaproszenie i pracę w Stanach. Zarabiałbym tyle, że moglibyśmy się spokojnie utrzymać. Mieliśmy już zabukowane bilety na samolot. A kiedy pojechałem odebrać wizę, w tym czasie tu doszło do tragedii. Nie było mnie dwa dni. TE dwa dni. Musiałem zostać dłużej, bo jakiś dowcipniś zadzwonił do ambasady, że jest podłożona bomba. Odwlekło się. A tu poszukiwania, sekcja, prokurator... No i póki mnie nie sprawdzili, to byłem zatrzymany. Wałkowali, przesłuchiwali, termin lotu minął, a ja miałem zakaz opuszczania miejsca zamieszkania. Praca też przepadła, bo nie chcieli na mnie czekać. Uznali, że niepoważny jestem. We wsi nie miałem już życia, bo wszyscy mnie traktowali jak trędowatego. Wynająłem klitkę w mieście. Pracowałem jak wyrobnik, żeby zarobić na mieszkanie i kursy. Pracowałem za darmo w dużej firmie IT u jednego faceta, żeby tylko się czegoś nauczyć. Niby staż. Programowanie, elektronika, sieci, śmieci... Takie tam... Oczywiście później w nocy brałem chałtury, żeby mieć z czego żyć. Zrobiliśmy z chłopakami z zespołu, w którym działałem, grę komputerową. Rynek ją lyknął i trochę na tym zarobiłem. I tak daliśmy się wykorzystać, ale trochę kasy wpadło. A jak stanąłem na nogi, to wróciłem. Znow twoja babcia wyciągnęła do mnie rękę. Założyłem działalność. I tak to wyglądało. Dalej już wiesz.

– A dlaczego Jagoda z tobą nie pojechała po paszport?

– Ona swój odebrała wcześniej. W domu powiedziała, że jedzie na wieczór panieński koleżanki... I już jej się nie przydał – Bartek spuścił głowę.

– Do dupy.

– Owszem.

Karol znów wrócił z wędkowania rozczarowany i zły. Rozczarowany, bo niczego nie złowił, a zły, bo stracił ulubione przynętę.

– Niby takie ekologiczne towarzystwo. Śmieci segreguj, fotowoltaika na co drugim domu, a nie wiedzą, że samochody to się odwozi na szrot, a nie topi w rzece. Dwa woblerki straciłem, zanim się zorientowałem, o co haczą.

Weronika wybierała ziemniaki na obiad i z wrażeń wrzuciła oberki do garnka.

– O czym ty mówisz? – spytała jak zahipnotyzowana.

– O samochodzie w rzece. Ledwie mu dach pod wodą widać. Gdyby było słońce, tobym go nie zauważył. A twój później wyczyszczę, bo piachu mi się naniosło.

– Znalazłeś jakiś utopiony samochód? Może miał wypadek? – Sabina nakrywała do stołu.

– Jaki wypadek? To na środku pola było – relacjonował Karol. – Żadnej porządnej drogi, z której można wypaść. Zepchnęła go jakaś łachmyta prosto z między.

– To niemożliwe, żeby tutejsi mieszkańcy sami sobie zanieczyszczali rzekę. Przecież z takiego samochodu mogą wypłynąć resztki benzyny, jakieś smary, płyn z akumulatora... Czy to na pewno samochód? – Wera nie mogła uwierzyć.

– Samochód. Teraz zimna woda, to lepsza przejrzystość. Wiem, co widziałem.

– Po obiedzie pojedziemy tam i mi go pokażesz.

Werka na własne oczy musiały się przekonać, co leży na dnie rzeki. Wstawili naczynia do zmywarki i ruszyli pick-upem na wskazane przez Karola miejsce.

Faktycznie, jak się ktoś dobrze przyjrzał, to pod powierzchnią wody można było dojrzeć zarys samochodu.

– Mam złe przeczucie – niepokoila się Wera i nie wyjaśniając swoim gościom, czego ono dotyczy, złapała za telefon. – Wiktor? Będą potrzebni strażacy i nurkowie. I wasza ekipa. Nie będę dzwonić na 112, bo za długo by tłumaczyć. Jest auto w rzece. Czekam przy kapliczce, to wam pokażę, gdzie szukać.

Pierwszy pojawił się radiowóz z Banią (Bartek miał rację, Bania zjawia się pierwszy) i z oficerem śledczym, którego wcześniej poznała przy okazji odnalezienia torebki.

– Inspektor Wojnicki – przedstawił się Sabinie i Karolowi. – A pani – zwrócił się do Weroniki – poszukiwaczka zagubionych fantów?

– Tak się składa, że wy gubicie, a my znajdujemy – odparła.

– Zobaczymy, co tu mamy i zanim przyjadą pozostałe służby, proszę mi opowiedzieć, kto dokonał tego odkrycia, kiedy, w jakich okolicznościach.

Na opowiadanie o znalezisku mieli dużo czasu, bo zanim przyjechali nurkowie, zanim się przebrali, zanim zeszli pod wodę, zanim podłączono wyciągarkę i zanim wydobyto wrak, wszyscy zgromadzeni na brzegu zdążyli nie tylko zrelacjonować zdarzenie, ale i zmarznąć.

Sprawdził się czarny scenariusz Wiktora. Tak jak przewidział, samochód należał do poszukiwanej bibliotekarki. I już nie będzie poszukiwana. Właśnie się odnalazła. W bagażniku.

– Ja tu przyjechałam odpocząć od stresów – Sabina była wstrząśnięta. – Nie piszę się na żadne kryminały. Zostaniemy tylko do pierwszego, pójdziemy odwiedzić groby i wracamy do domu.

– Miałam nadzieję, że zostanieie dłużej. Może do świąt? – Weronika zdążyła przyzwyczaić się do obecności gości. Tym bardziej że po pierwszych kręceniach nosem mama spuściła z tonu. Widać było, że czuje się tu dobrze i nie zachowywała się jak gość, tylko jak stały mieszkaniec.

– Z przyjemnością przywiozę ci mamę na święta, ale muszę wracać, żeby dopilnować interesów. I tak za długo tu siedzimy – stwierdził Karol.

– Córko, a może ty jedź z nami? Widzę, że tu nie jesteś bezpieczna. Majątek majątkiem... A może to właśnie z powodu tego majątku tak cię szpiegowano?

– Mamo, nie szukaj spisków, gdzie ich nie ma. Żadna z tych kobiet nie była związana z żadną z rodzin babci. Z żadnego z mężów. Mecenas Kwiatkowski mówił, że wszyscy krewni i znajomi króliczka są usatysfakcjonowani zapisami spadku.

– Zadowoleni, zadowoleni – utyskiwała mama. – Jak ktoś ma dużo, to chce mieć jeszcze więcej. Może początkowo byli zadowoleni, a później poszli po rozum do głowy.

– I zaczęli porywać obce kobiety? Maaamooo, daruj.

– Też myślę, że zagrożenie dotyczy Weroniczki tylko w takim zakresie, że również jest kobietą – wtracił się Karol. – Ale jeśli nie czujesz się tu bezpiecznie, oczywiście zapraszamy do nas. Mój dom twoim domem.

– Bardzo ci dziękuję, ale mam własny.

– Świetnie sobie radzisz – przyznała Sabina, czym wprawiła Werkę w zdumienie. – Nie myślałam, że odnajdziesz się na wsi. Jak wspominałaś o początkowych problemach, to myślałam, że porzucisz to miejsce. A szkoda by było, bo tu jest cudownie. Chętnie będziemy tu przyjeżdżać... Oczywiście, jeśli nas zaprosisz.

– Kiedy tylko chcesz... Okej – Wera przerwała wzajemne uprzejmości. – Proponuję, żebyśmy teraz zrobili sobie kaweczkę, a później może poszlibyśmy na cmentarz odwiedzić grób babci. Zrobimy porządek przed Wszystkimi Świętymi.

Plan został przyjęty i niebawem cała trójka krzątała się wokół mogiły Emila i Weroniki Małgorzaty. Tak, babcia mogła wybrać każde miejsce pochówku, łącznie ze swoim osobnym grobem, takim tylko dla siebie. Jednak zdecydowała, że ma zostać pochowana z pierwszym mężem. Postawiła tu skromny jak na tutejsze warunki nagrobek z rodzimego granitu. Niezbyt okazały, ale elegancki w swojej prostocie. Zyta z Gwidonem wypełnili jej wolę, o co dodatkowo zadbała, zapewniając na ten cel u mecenasa konkretne środki.

Weronika przyniosła ze sobą akcesoria do sprzątania. Umyli pomnik, ułożyli na nim świeży wieniec i zapalili znicze. Chwilą zadumy uczcili pamięć babci Gosi i skierowali się do wyjścia.

Okazało się, że nie są na cmentarzu sami, chociaż był środek dnia roboczego. Aśka z Wiktorem porządkowali groby swoich bliskich.

– Dzień dobry państwu – przywitał ich policjant. – Też już kończymy, jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu, to wracamy razem, będzie różniej.

– Miło nam będzie – odpowiedziała w imieniu pozostałych Sabina.

– A na grobie Jagody jak zwykle świeże kwiaty – Aśka wskazała mogiłę, na której leżała biała róża.

Weronika wyłączyła się z rozmowy z sąsiadami. Zaczęła zastanawiać się nad związkiem różnych elementów, na które natknęła się w Powykopkach, od kiedy się tu pojawiła.

– Muszę się skupić, bo coś mi umyka – myślała, wlokąc się za towarzystwem.

Wbiła wzrok pod nogi i uruchomiła myślenie. Przed oczami migaly jej beżowe pantofelki mamy, granatowe mokasyny Aśki, czarne adidasy Wiktora i brązowe pantofle Karola. Ten rytmiczny ruch ośmiu nóg, na którym się skupiła, nadawał rytm przywoływanym faktom.

Jej tok myślenia wyglądał mniej więcej tak:

„Nie jest pewne, że Jagoda popełniła samobójstwo. Zginęła tragicznie i mogły w tym uczestniczyć osoby trzecie. Bibliotekarka w pewnym sensie też została utopiona...”.

– Wiktor – przerwała rozmyślanie. – Czy ustalono przyczynę śmierci bibliotekarki?

– Nie mogę rozmawiać o śledztwie – mruknął, ale widać było, że aż się pali, żeby się z kimś podzielić swoją wiedzą.

– Przestań, przecież my ją znaleźliśmy, a nie było nas tu, kiedy zginęła, więc jesteśmy poza podejrzeniem.

– Ale ja wam tego nie mówiłem – zastrzegł.

– Dawaj – poganiała go Weronika.

– Jeszcze nie ma wyników sekcji, ale ślady na ciele widziane gołym okiem wskazywały, że została uderzona czymś ciężkim w głowę. Nie wiem, czy to była bezpośrednia przyczyna śmierci i czy do bagażnika trafiła żywa.

– Dzięki – mruknęła Wera i wróciła do rozmyślań.

„Jagoda też miała ślady od uderzenia. Biała róża na jej grobie z czymś mi się kojarzy. Ale czy to ma jakiś związek, czy to tylko zbieg okoliczności? Wyjdę na wariatkę, jeśli wyrwę się z takim pomysłem.

Tylko jak skojarzyć z tymi różami osobę? Marek odwiedza jej grób, ale to narzeczony. To naturalne, że mógłby nadal odczuwać żalobę. Kiedy to się stało, był u jej rodziców. Bartek mógł najpierw pomóc jej w samobójstwie, a dopiero później wyjechać po paszport. Wrócił, jak już się wydało. Mogła też być przypadkową ofiarą seryjnego porywacza, jak te późniejsze dziewczyny. Podejrzanie padło na Bartka, a to może Bania, który tak poprowadził dochodzenie, żeby zatrzeć ślady i obciążyć oskarżeniem kogoś innego. Albo w ogóle ktoś na gościnnych występach... Nie, to musi być ktoś tutejszy. Jeśli to ma coś wspólnego z podsłuchami, to strasznie długa lista podejrzanych. Może to być Gwidon. Nienawidzi Bartka i podrzucił mu fanty, a później w czasie wizyty zainstalował kamerki. Ale musiały to zrobić w obecności Zyty albo Wiktora... Może być z kimś z nich w zmowie. U Wiktora rosną róże. I nie patrzmy, że to policjanci. Okazję do wgrania programu szpiegowskiego mieli ci od internetu, kominiarze, Bania, Bartek... Może najpierw nam to powgrywał i założył podglądy, a jak Dorota zaczęła sprawdzać i policja zaczęła się kręcić, to ją uciszył i usunął ślady? Kurka wodna! Wszyscy są podejrzani. Jeśli będę się tym zadrećcać, to zacznę chodzić tyłem, żeby sprawdzać, czy się nie czai za plecami porywacz. A poczuję się całkiem bezpieczna dopiero wtedy, kiedy zagadki się powyjaśniają”.

– Wiktor – zatrzymała go tuż przy swojej furgonce. – Muszę porozmawiać z oficerem prowadzącym sprawę uprowadzeń. Daj mi jego numer.

I od razu pomyślała, że jeśli Wiktor ma z tym coś wspólnego, to ukręci jej łeb. Jednak podał jej telefon bez zadawania dodatkowych pytań. To też wydało jej się zastanawiające. Ona na jego miejscu chciała by wiedzieć, co ma do powiedzenia zwierzchnikowi.

Z inspektorem Wojnickim umówiła się jeszcze tego samego dnia na stacji benzynowej między miasteczkiem a Powykopkami. Przyjechała kijanką, bo mniej rzuciła się w oczy, a on przybył nieoznakowanym samochodem. Nie zwróciła uwagi na tablice, możliwe, że prywatnym. I właśnie w jego wozie usiedli.

– Skąd ta cała konspiracja? – spytał lekko rozbawiony.

– Bo nie wiem, komu mogę ufać i nie chcę, żeby nas widzieli i słyszeli.

– Kto i dlaczego?

Weronika pokrótce przedstawiła mu swój tok myślenia sprzed kilkudziesięciu minut.

– I do jakich wniosków pani doszła? Bo, jak się pani domyśla, wciąż nad tymi sprawami pracujemy. Czyli co konkretnie skłoniło panią do spotkania?

– Weźmie mnie pan za wariatkę, ale trudno. Możliwe, że wiem, gdzie są zwłoki porwanych kobiet. Dwóch. I nie Doroty Stefaniak.

– Jak ta informacja do pani trafiła? – Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Wiadomo – oznajmiła, jakby to było oczywiste. – Przypadkiem.

– Jakiż to przypadek przyczynił się do pani wiedzy? – drążył.

– Sikanie i wichura.

Czekała na dalsze pytania, ale chyba te rewelacje sprawiły, że zamilkł. Na jego twarzy widać było, że zmagają się z myślami. Emocje od rozbawienia przez skupienie do zainteresowania przemknęły jak u mima.

– Czy może pani rozwinąć tę myśl?

– Proszę bardzo. Od stworzenia świata czy w skrócie? – Wera nie wiedziała, od czego zacząć, żeby zostać poważnie potraktowana.

– A od początku to będzie długo? – Trochę go bawił ten dziwny świadek.

– Długo. Dobra, to na skróty. Czyli tak: zatrzymałyśmy się z Zytą na siusiu, to raz. A dwa, to po tej wichurze, która się tu rozpętała, poszłam sprawdzić, co słychać w moim lesie. Bo wie pan, ja mam las. Odziedziczyłam go...

– Miało być na skróty – upomniał ją.

– Okej. No i w obu tych lasach, tym od sikania i tym od lecących patyków rosły piękne krzewy.
– Krzaki? W lesie? To chyba nic nadzwyczajnego? – Inspektor nie mógł dopatrzeć się żadnego związku.

– Nie krzaki, tylko krzewy róż. Róże. Białe. Takie jak na grobie Jagody – wyjaśniła i od razu zastrzegła. – Ja wiem, że to może być zupełny zbieg okoliczności, ale jakoś tak skojarzyłam... Bo wie pan, już jak zobaczyłam te krzewy w lesie, to pomyślałam, że coś z nimi nie halo. Skąd wzięły się róże w lesie. RÓŻE... W LESIE – podkreśliła.

Wojnicki stopniowo bladł.

– Skąd pani wie o białych różach? – spytał napastliwie.

– No przecież panu mówię, że je widziałam na własne oczy – odpowiedziała zdziwiona.

– I nikt pani nie powiedział?

– O czym? O różach? – Teraz to ona brała go za wariata.

Inspektor otrząsnął się z wrażenia.

– Proszę tę informację zachować dla siebie. W bagażniku auta, które państwo znaleźli, oprócz zwłok denatki były zgniłe roślinne szczątki. Początkowo myśleliśmy, że to jakieś rośliny, które dostały się do bagażnika w wyniku przenoszenia ciała, ale nasi chłopcy są wyjątkowo skrupulatni i zabrali te resztki, żeby zbadać. Laboratorium ustaliło, że to róże rzadkiej odmiany... Gdzie pani widziała te krzewy? Jest pani w stanie określić miejsce? Jeśli nie, to ruszymy miejscowych leśników, może oni będą coś wiedzieli.

Weronice wążek róż przez chwilę zjechał z myśli na boczny tor.

– Hmm... Leśnik – pomyślała. – Nareszcie jakiś leśnik. Może ten przystojny jak z bajki?

Ale szybko przywołała się do porządku i wysiliła pamięć.

– Wiem, gdzie szukać. Jeden jest prosto z łąki w las. Może pomyłk się o sto kroków. Teraz może być trudniej go znaleźć, bo już pewnie przekwitł. A ten drugi, to jeśli sama nie znajdę, to leśnicy na pewno będą wiedzieli, gdzie to. Trafiają po imieninach Dupka.

Trudno było Wojnickiemu nadążyć za tokiem myślenia rozmówczyni, ale nadzieja na odnalezienie zwłok, chociaż dziwna i niepewna, pchnęła go do działania.

– Czy możemy od razu ruszyć na poszukiwania? – zaproponował.

Weronika przeanalizowała, czy jest ubrana odpowiednio do łażenia po chaszczach.

– Możemy, tylko powiadomię domowników, że dłużej z panem zabawię, bo pomyślą, że mnie też porwano.

Zanim Weronika zakończyła rozmowę z mamą (co nie było takie łatwe, bo Sabina biadoliła nad bezpieczeństwem córki), Wojnicki zmobilizował swoich ludzi.

Przyjechali technicy śledczy i leśnicy. Uznano, że to ich teren, więc mogą pomóc. Wera przeżyła kolejny zawód, bowiem żaden z leśników nie pochodził z jej bajki. Jeden był w wieku około siedemdziesięciu lat, a drugi, niewiele młodszy, miał obrączkę, za to brakowało mu zęba z przodu.

– Gdzie najpierw? – rozczarowana spostrzeżeniem spytała policjantów. – Proponuję do Dupka, bo do niego bliżej. To jeden z leśnych odcinków drogi miasto–Powykopki. Oddział lasu 19/12. Przy samym słupku.

Kawalkada samochodów ruszyła we wskazanym przez Werę kierunku. Po chwili zjechali z głównej drogi. Wyglądało trochę inaczej, niż kiedy dziewczyny zrobiły sobie tu przystanek. Jesień odmieniła wygląd drzew i krzewów. Jednak dzięki precyzyjnej wskazówce udało się odszukać właściwą lokalizację. Weronikę odesłano do samochodu, a mężczyźni już bez niej rozpoczęli dalsze działania.

Druga ekipa przejęła dziewczynę i ruszyła do wsi. Byli przygotowani na trudne warunki terenowe i poruszali się samochodami przystosowanymi do takich eskapad. Przejechali łąkę i zbliżali się do lasu.

– W którą teraz stronę? – spytał kierowca.

- Prosto – oznajmiła Werka.
 - Tam się już nie da – zdziwił się policjant.
- Prosto były drzewa.

- To tu. Koniec jazdy, panowie. Trzeba wejść w głąb lasu. Prosto, prosto, jak za śladem wystrzału. Proszę za mną – Weronika wysunęła się na czoło pochodu mężczyzn uzbrojonych w różnego rodzaju narzędzia.

Nieśli łopaty, walizki z zestawami kryminologa, oświetlenie, bo zaczęło zmierzchać. Odnalezienie grzewu nie było takie łatwe. Zabrakło słupka, który byłby punktem odniesienia. Wera dłuższą chwilę pokręciła się po domniemanym obszarze, ale nie mogła trafić na właściwe miejsce. Policjant dowodzący ekipą zaangażował w akcję pozostałych. Stworzono tyralierę, która po zaledwie kilkudziesięciu metrach zakończyła marsz sukcesem.

- Jest. Już przekwitł i ledwie go widać na tle reszty roślin – policyjny fotograf już dokumentował obszar, chociaż jeszcze nie wiadomo było, czy jest to miejsce związane ze zbrodnią. W kilku punktach ruszono łopatą. Chociaż teren był starannie zamaskowany, po pobieżnych oględzinach okazało się, że ziemia dookoła róży jest miękka.

- Mamy coś – obwieścił jeden z uczestników poszukiwań.
- No to do roboty – wydał polecenie szef ekipy. – Leon, odwieź panią.
- Chyba pan żartuje?! – oburzyła się Werka.
- Ani trochę – odparł kategorycznie. – Dziękujemy bardzo, ale pani rola jest już skończona.

Weronika chciała zaprotestować. Już otwierała usta, żeby się chandryczyć, ale zanim wydała z siebie głos, przez jej głowę przebiegło stado myśli. Między innymi taka, że nawet jeśli wszyscy chcieliby, żeby dla niej był to koniec, to na pewno nie jest. I nie ma to nic wspólnego z wykopywaniem zwłok ani z jej uporem. Pozwoliła zaprowadzić się do samochodu, potulnie usiadła na miejscu pasażera i w milczeniu dała się dowieźć do domu.

- Przyznam, że jak na miastową, to i tak nieźle się pani orientuje w lesie – skomplementował docho-dzeniowiec.

- Dziękuję panu bardzo. Dalej sama trafię. Do widzenia.

Wysiadła przed bramą i uświadomiła sobie, że jej samochód został na stacji benzynowej.

- Karol, czy możesz ze mną pojechać po auto? – spytała, jak tylko weszła do domu.

Przyjaciel mamy zwietrzył okazję, żeby po raz kolejny przejechać się mitsubishi, co bardzo mu się spodobало.

- Jasne. Teraz czy najpierw zjemy kolację?

- A już gotowa? – Werka zajrzała do kuchni, w której nic nie zapowiadało posiłku. – To ja proponuję, żebyśmy teraz pojechali, a mama przez ten czas przygotowuje nam coś dobrego.

- Już się rozpędziłam – Sabina nie miała ochoty na stanie przy garnkach.

- Tylko kanapeczki – Wera zrobiła słodkie oczy do matki i pociągnęła Karola za rękaw. – No to pa! – rzuciła mamie na pożegnanie.

W drodze ponownie zaczęła analizować wszystkie wypadki. Siedząc na miejscu pasażera, dzieliła się z kierowcą wszystkimi spostrzeżeniami, faktami i domysłami. Karol słuchał uważnie, od czasu do czasu zadając dodatkowe pytania.

- Ja też myślę, że te wszystkie sprawy łączą się ze sobą – podsumował. – Ta Jagody z tymi porwanymi. I wcale ci się nie dziwię, że teraz nie wiesz, komu możesz ufać, a kto stanowi zagrożenie. Nie wiem, czy powinnaś tu zostać sama po naszym wyjeździe. Mama ma rację. Jedź z nami.

- Zrozum – Wera trwała przy swoim zdaniu. – Tu jest moje miejsce na ziemi. Z poprzedniego, o którym przez chwilę tak myślałam, musiałam uciec. Jeśli teraz zacznę uciekać, to będę tak całe życie. Trzeba stawić temu czoła.

- To może być niebezpieczne – ostrzegł.
- Jak jazda samochodem. Jak wyjście na spacer. W każdej chwili wszyscy jesteśmy zagrożeni.
- Ale ty teraz chyba trochę bardziej?
- No dobrze – przyznała. – Trochę bardziej, ale nie stchórzę. Tylko jak odkryć sprawcę?
- Zostaw to policji.
- Zejdźcie im z tym do mojej starości. Każdy mógł to zrobić. Do każdego coś pasuje, jakiś element tych zbrodni.
- Zrób sobie zestawienie, komu co można przyporządkować, i ten, który ma najwięcej punktów, wygrywa – pół żartem, pół serio zaproponował Karol.
- Ha, ha! – Wyszczrzyła zęby w ironii.

Dojechali na miejsce. Stacja benzynowa o tej porze była pusta. Wewnątrz pracownik przecierał mopem podłogę. Raczej z nudów niż z konieczności. Kia stała tam, gdzie ją zostawiła, czyli w połowie odległości do kompresora, w miejscu, gdzie nie sięgały światła lamp ani oczy kamer monitoringu. Karol zaparkował tuż obok.

- To ja jeszcze wpadnę do miasteczka po szampana na pożegnanie.
- O tej porze? – zdziwiła się Weronika. – Alkohol masz na stacji.
- Żabka czynna do późna, a tu szampana nie dostanę.
- Przyznaj się, że chcesz sobie zrobić jeszcze rundkę za kierownicą – przejrzała go.
- Zgadłś. Pozwolisz?
- Baw się dobrze! Zobaczymy się w domu.

I Wera wsiadła do swojego auta, nie oglądając się, co dalej zrobi przyjaciel mamy. Zgrabnie wycofała z miejsca parkingowego i wyjechała na główną drogę. Szosa była pusta. Jak często o tej porze. Dopiero po kilku kilometrach pojawiła się za nią jakaś furgonetka. Trochę się zdziwiła, bo wyglądało na to, że wyjechała z pola albo z lasu. No cóż, może tamta droga to skrót z jakiejś wsi albo kierowca też zatrzymał się na siusiu. Reflektory tego samochodu odbijały się w jej wstecznym lusterku, oślepiając i rozpraszając. Zmrużyła oczy, żeby widzieć, co ma przed maską. Zbliżała się do przejazdu kolejowego. Z daleka dostrzegła, że pulsuje na nim czerwone światło zwiastujące nadjeżdżający pociąg. Spojrzała w prawo i zobaczyła go na tle czarnej ściany lasu. Przypominał świetlistego węża. Werka zatrzymała się przed sygnalizatorem. Auto, które za nią jechało, również stanęło. Pociąg się zbliżał. Torowisko prowadziło łukiem, więc nie był bardzo rozpedzony, ale do stacji było stąd daleko, więc poruszał się raźnie. W pewnym momencie dziewczyna poczuła szarpnięcie i jej kijanka zaczęła sunąć w kierunku torów. Ułamki sekund trwało, zanim zorientowała się, że jest na nie spychana przez tego z tyłu. Wcisnęła pedał hamulca do samej podłogi, ale malutki miejski samochodzik nie miał szans z ciężkim autem dostawczym. Wektory drogi pociągu i kii Werki zaczęły niebezpiecznie zbliżać się do siebie. Pociąg wydał z siebie donośny, żaloszny ostrzegawczy dźwięk. Weronika zorientowała się, że jeśli czegoś nie zrobi, za chwilę skończy pod kołami pędzącej lokomotywy. Nie było żadnej możliwości, żeby cofnąć. A jeśli nie cofnąć, to w desperacji wrzuciła pierwszy bieg i nacisnęła pedał gazu. Koła zabuksowały, ale samochodzik wystrzelił z miejsca i znalazł się po drugiej stronie torów tuż przed buforem lokomotywy. Jeszcze za plecami usłyszała jej syrenę.

- Kurdesz, chciał mnie wepchnąć pod pociąg! – odkryła zaskoczona.

Nie zastanawiała się, co zrobić dalej, bo łatwo było przewidzieć, że napastnik zechce dokończyć dzieło w inny sposób. I zapewne to zrobi, jeśli tylko uda mu się Werkę dogonić.

- Raju zielony!!! Spieprzamy!!! – Zazgrzytała skrzynią biegów i wyciskając z samochodzika najwyższe obroty, rzuciła się do ucieczki. Popierdółka, bo popierdółka, ale kia wcale nie jest taka wolna. Mimo to różnica odległości, jaka powstała, gdy furgonetka musiała przepuścić cały skład, powoli malała. Wera była dobrą kierowcą i lubiła szybką jazdę, ale to, co wyczyniała w ciemnościach, zakrawało na szaleństwo. Tylko przez chwilę zastanawiała się, czy skręcić do wsi, wiedząc, że przed zakrętem

będzie musiała zwolnić, czy gnać dalej prostą drogą. Zdecydowała, że musi się znaleźć przy domach, bo tylko wśród ludzi ma jakąś szansę. To nic, że pewnie połowa wioski już śpi. Z piskiem opon weszła w zakręt i na pełnej szybkości wpadła między zabudowania. Zaczęła trąbić, żeby zwrócić uwagę sąsiadów na to, co dzieje się na drodze. Z bijącym sercem, wciąż hałasując, zbliżała się do dworku. W otwartą bramę wjechała niemal ślizgiem i z ledwością wyhamowała tuż przed wrotami garażu. Milimetry dzieliły ją, żeby w nie uderzyć. Obejrzała się za siebie, ale żadnego napastnika nie było. Nie zauważyła, w którym momencie zrezygnował z pościgu. Wpadła roztrzęsiona do domu.

– Córciu, wyglądasz, jakbyś diabła zobaczyła – przeraziła się na jej widok mama.

– Bo go widziałam. No, niedokładnie. Ale to na pewno był diabeł. I chciał mnie zabrać do piekła. – Weronika rzuciła się do lodówki, nalala sobie szklankę mineralnej i opróżniła ją jednym haustem, po czym padła na krzesło. – Dzwonię na policję – oświadczyła.

– I po straż – usłyszała głos przejętego Karola, który prosto od drzwi, przez które właśnie przeszedł, skierował się do okna.

Kobiety podeszły i również wyjrzały. Gdzieś za drzewami sadu Łopatkowej widać było rosnącą lunę ognia.

– Spalcie mnie na stosie – oznajmiła. – Jadąc tutaj, planowałam krzyknąć „pali się!”, żeby ludzie wychodzili z domów.

– Po co mieliby wychodzić? – spytała niczego nieświadoma mama.

– Na ratunek... – W tym momencie Werka uświadomiła sobie, że jeśli do mamy i Karola dotrze, że ktoś czyhał na jej życie, nie zostawi jej tu, tylko każą jechać do Kolonii. To nic, że jest dorosła. Mama będzie gotowa ją ubezwłasnowolnić, byle mieć ją pod lupą i pilnować, żeby jej włos z głowy... Znaczy, żeby niełysiała.

– Straż jedzie – zakomunikował Karol na widok niebieskich świateł i odgłosu syren.

– Dobrze, że tak szybko przyjechali, bo jakby ogień się rozprzestrzenił, mogłoby i do nas dotrzeć – martwiła się Sabina. – No, skoro wszystko pod kontrolą, to może byśmy wreszcie zjedli kolację.

Gaszenie pożaru trwało podejrzanie długo. Zdążyli zjeść kolację, obejrzyć durny film, a goście nawet wstępnie się spakować przed jutrzejszym wyjazdem, kiedy wciąż widać było pożogę.

Weronika długo w nocy nie mogła zasnąć. Przy stole nadrabiała miną, udawała wesołość i podstawiła Karolowi kieliszek do napełniania kupionym w Żabce szampanem. I może udało jej się wyprowadzić w pole gości, ale teraz, gdy w całym domu zapadła cisza i zgasły wszystkie światła, ogień ugaszono i wozy strażackie przestały roztaczać trupie światło, Weronika nadal trzęsła się z emocji. Rzucała się na łóżku i przewracała z boku na bok, a głowa pękała jej od domysłów.

– Czy jestem po prostu kolejną „jakąś kobietą do porwania” (jakby to było tak po prostu), czy chodziło konkretnie o mnie? – myślała. – A jeśli to na mnie czyhał? Czy ktoś mógł przewidzieć, że wrócę po samochód? Taka przewidywalna jestem? Nie, to chyba jednak przypadek. A jeśli nie, to kto? Kto wiedział, że będę tamtędy jechała? Policja: Wojnicki, Wiktor, a jak oni, to i Bania. Reszty ekipy nie biorę pod uwagę... A może powinienam? Leśnicy? Nie, no bzdura! Aśka, ale przecież nie ona, bo trzeba mieć zimną krew, żeby tak kogoś z premedytacją... A Wiktor przyjaźni się ze wszystkimi facetami we wsi, czyli każdemu mógł chlapanąć, że głupia Werka szuka trupów i umówiła się na stacji... Karol? Wiedział, ale jechał terenówką babci i musiałby coś z nią zrobić. Nie zdążyłby po nią wrócić. Już mi chyba na głowę padło, żeby go podejrzewać... Chociaż z drugiej strony, to ja o nim za dużo nie wiem. To, że mama się zakochała i ponoć, przynajmniej na oko, dobrze im się powodzi, nie znaczy, że Karolowi nie przyda się spadek po babci. Czyli teraz po mnie. Kurza dupa!

Wstała z bólem głowy. Nie wiedziała, czy z nadmiaru rozmyślań, czy to kac po pożegnalnym szampanie, ale czuła się podle.

– Kochanie, o której ruszamy na cmentarz? Chcielibyśmy jak najwcześniej, bo po południu zaczną się powroty i będzie tłok na drogach.

– Dajcie mi chwilę na ogarnięcie i zjedźmy spokojnie śniadanie – powiedziała Wera, ale w złym momencie, bo w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Korczyński starannie wycierał nogi obute w czarne adidasy i zdejmował szalik.

Sabina przejęła rolę gospodyni.

– Kawa, herbata, może zje pan z nami śniadanie?

– Dziękuję – odparł służbiście. – Ja tylko na chwilę. Chciałem zapytać, czy coś państwu wiadomo o wczorajszym pożarze.

– Wiemy, że był – w imieniu wszystkich odpowiedział Karol.

– A coś więcej? – drążył aspirant.

– No, paliło się gdzieś tam i to niedaleko – Karol wskazał kierunek.

– Czy widzieli państwo coś niezwykłego, ktoś tędy szedł, uciekał?

Cała trójka pokręciła głowami.

– A czemu pani używała sygnału dźwiękowego, jadąc z dużą prędkością? – zwrócił się bezpośrednio do Weroniki.

– No bo właśnie jechałam z maksymalnie dopuszczoną prędkością i trąbiłam, żeby kogoś nie rozjechać – wyjaśniła.

– Czyli użyła pani klaksonu w terenie zabudowanym.

Werce zakręciły się tryby w głowie.

– Nie – sięgnęła po kanapkę. – Użyłam go między domami.

– Toć mówię.

– Teren zabudowany – tłumaczyła twardym głosem – oznaczony jest stosownymi tablicami. Powyższe oznaczone tylko zielonymi.

Bania zgrzytnęła zębami, bo stracił pretekst do nękania Wery. Uznał, że jest za cwana. Wiadomo, miastowa.

– I niczego państwo nie zauważyli? – dociekał.

– Tylko tyle, że się paliło – uściślił Karol.

Nie wiadomo, czy ich zeznania usatysfakcjonowały Banię, ale dłużej nie naciskał. Po jego wyjściu Weronika zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, przemilczając przed nim wczorajszą przygodę. Jednak w tej chwili miała całkowity mętlik i nie była w stanie myśleć racjonalnie.

Może to nie byłoby takie głupie, żeby zostawić to wszystko w cholerę i ratuj się, kto może?

Po wizycie na cmentarzu i wyjeździe gości uznała, że czas powrócić do własnych rytuałów. Jeszcze takich nie stworzyła, ale była na dobrej drodze. Zatem sprzątnęła po ostatnim wspólnym posiłku, rozjechała się, czy zostało coś po wizycie, co powinna ogarnąć, i usiadła do komputera. Hulał, aż miło. Przejrzała media społecznościowe, sprawdziła pocztę, a w końcu pozamykała zbędne strony i zabrała się do korekty. Kiedy skończyła, dochodziła jedenasta wieczorem. Rozprostowała zdrętwiałe plecy. Przeszła do kuchni, żeby chwycić kawałek kielbasy z lodówki. Rozglądała się za musztardą, kiedy najpierw go usłyszała, potem zobaczyła niebieskie światła, a w końcu wiejską drogą przejechał radiowóz. Pognał gdzieś dalej i zamilkł.

– O tej porze? Na sygnale? Chyba nie do awantury domowej.

Zamknęła lodówkę, łyknęła ostatni kęs i ruszyła do snu.

– Pani Weroniko, poprosimy, żeby pani do nas przybyła w celu spisania protokołu. Czy przysłać kogoś po panią?

Kurtuazja Wojnickiego trochę ją zdziwiła. Z jednej strony po ostatnich przygodach bała się sama poruszać po drodze, ale z drugiej strony wiedziała, że została tu, żeby stawić czoła wszelkim strachom. Pomyślała o babcinej broni, ale szybko odpędziła od siebie tę myśl. Za to tym razem wybrała się do miasta pick-upem, uznając go za cięższy... Tak w razie czego.

– Czy może nam pani jeszcze raz dokładnie opowiedzieć, w jakich okolicznościach i od kogo dowiedziała się pani o miejscu ukrycia zwłok?

– Czyli tam jednak były zwłoki? – upewniła się Wera.

Protokół spisywał jakiś nowy policjant wyznaczony przez Wojnickiego. Abramski. Sierżant. Jakiś najstarszy, obersierżant. Werce było wszystko jedno, jaki miał stopień, ale wszyscy się tymi stopniami przedstawiali, jakby nie mieli imion. Inspektor przy sąsiednim biurku przeglądał jakieś tajemnicze teczki. Był, a jakby go nie było. Jedynie dał dyskretny znak sierżantowi, że może uchylić rąbka tajemnicy.

– Były – potwierdził Abramski.

– Ja się o tym nie dowiedziałam – sprostowała.

– Czyli co? – Sierżant nie ogarniał, jak można wiedzieć, ale się nie dowiedzieć.

– Ja to wydedukowałam – wyjaśniła.

– Jak Sherlock Holmes? – W jego głosie słychać było lekką kpinę.

– Nie wiem, jak jemu się udawało. Conana Dole'a czytałam w podstawówce i nie pamiętam. Ja po prostu skojarzyłam różę.

I już bez dalszego kręcenia, widząc, jak sierżant poci się przy spisywaniu zeznań, zaczęła mu dyktować gotowe zdania do protokołu, a po chwili zaproponowała, żeby puścił ją do komputera, to ona sama to opisze. Abramski porozumiał się wzrokiem z inspektorem, ten tylko kiwnął głową w przyzwoleniu.

– I to wszystko – podsumowała Weronika, gdy skończyła.

– Jeszcze pouczenie o składaniu fałszywych zeznań, bo zapomnieliśmy. I podpisy. Dziękuję.

– Kogo znaleźliście pod tymi różami? – Weronika nie uznała spotkania za skończone. – Oprócz córki dyrektora rodzinnego domu dziecka? Bo jedna z nich to ona, prawda?

– A o niej skąd pani wie? – Wojnicki zatrzymał się w pół gestu, przekładając jakiś formularz. – To się stało, zanim pani u nas nastąpiła.

– Z samego źródła. Od jej ojca. Straszna to wiadomość dla niego, ale chyba lepsza niż czekanie... A ta druga? Bo była druga?

Inspektor odłożył wreszcie trzymaną kartkę.

– Tak. Znaleźliśmy okaleczone ciało kobiety, która przyjechała tu do ośrodka SPA i zaginęła.

– Okaleczone piłą? – To pytanie wyskoczyło z ust Weroniki zupełnie bez kontroli.

– Dlaczego piłą? Nie. Prawdopodobnie siekierą, ale sekcja jest jeszcze w toku. Dlaczego pani pyta?

– Tak z ciekawości – Weronika usiłowała przyjąć rolę nieświadomej idiotki.

– Wie pani, jak to jest z ciekawością – sierżant wstał, dając tym znać, że wizyta dobiegła końca. Wera zrzuciła pasek torebki na ramię i ruszyła do drzwi. W połowie drogi zatrzymała się.

– Czy mogą mi panowie jeszcze powiedzieć, co się u nas we wsi działo wczoraj w nocy?

– To nie jest związane z tą sprawą – inspektor podniósł głowę znad dokumentów. – Chodziło o kradzież samochodu.

– Białej furgonetki? – Wera rzuciła to pytanie, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Widziała pani pożar? – Domyślnie poniekąd przytaknęła.

– Chce pan powiedzieć, że to ta furgonetka płonęła? – Oczywiście Werki zrobiły się okrągłe.

– Owszem. A od niej zajęły się baloty słomy. Dlatego tak długo trwało gaszenie – odpowiedział sierżant. – Ale już złapaliśmy sprawcę.

Inspektor obserwował zmieniający się wyraz twarzy Weroniki. Odłożył dokumenty na bok i zaczął się jej uważnie przyglądać.

– Możesz pani opowiedzieć – zgodził się łaskawie.

– Nie ma tu wiele do opowiadania. Trzy miesiące temu Kordaś zwany Bońkiem wyszedł z więzienia.

– Boniek, bo grał w piłkę?

– Nie, bo skopał psa właścicielki pralni. Właśnie w tej sprawie go szukaliśmy, bo złożyła doniesienie, a wpadł na kradzieży samochodu. Jak się okazuje, nie pierwszego. Wyszedł według więziennego psychologa zresocjalizowany. Taaa, jak Hannibal Lecter.

– I ten Kordaś jest z Powykopek? A teraz jak wpadł?

– Jest nagraniem, jak kręcił się po parkingu tej firmy dostawczej.

– Dał się nagrać, jak kradnie?

– No, nie całkiem. Łaził tam trochę wcześniej. Bo w tym czasie, kiedy zginęła furgonetka, monitoring był już zepsuty.

– Sam się zepsuł? Ten Kordaś potrafiłby dostać się do stanowiska ochrony i wyłączyć nagrywanie? – Weronika wciąż miała w głowie same niesprecyzowane wrażenia, których nie dało się złożyć w myśl.

– Pani Weroniko – inspektor spojrzał na nią skupiony. – Czy pani coś więcej o tym wie?

– Chyyby nie. – Wciąż się zastanawiała. – A powiedzcie mi jeszcze, czy on oprócz tego psa byłby zdolny na przykład do jakiegoś cięższego przestępstwa?

– Paaani, to tchórz. Co innego skroić samochód, a co innego mokra robota. Zsikałby się chyba przy niej.

– Ale wobec psa użył przemocy... To do widzenia panom.

I Wera opuściła posterunek.

Czas był najwyższy zająć się sprawami służbowymi. Po powrocie z miasta Weronika odgrzała sobie wczorajsze resztki na obiad i zasiadła do komputera. Ostatni raz zaczytała końcowy fragment przygotowanego tekstu i przesłała go do wydawcy. Zapewne tkwił przy swoim laptopie, bo natychmiast odzwonił.

– Cieszę się, że wracasz na lono! – piał w słuchawkę. – Brakuje nam ciebie. Zresztą nie tylko ciebie. Wyłożyło się pół załogi. Majka poszła rodić i zapowiedziała, że teraz ma inne zajęcia, niż ślęczyć nad zleceniami, Wacek zoperował ząbnię i ma oszczędzać oczy. Kilka tygodni zakazu ekranów. I podkupili nam Ola. Zakochał się w jakimś eleganciku z Łąk Marzeń i trzepie kasę na folderach domów weselnych i ekologicznych agroturystyk. Straciliśmy grafika.

– A Robson? – Wera wspomniała innego współpracownika.

– Nie chcę z tym smarkaczem mieć nie wspólnego. Raz, że kiepski... Nie czuje bluesa. Toporne to wszystko i niespójne. Żadnego layoutu nie potrafi utrzymać. Dwa, wiecznie z głową w chmurach. Ciągle nawala z terminami. Może masz tam jakiegoś grafika do rzeczy?

– Tak, jasne. Poszukam w kukurydzy albo na pastwisku. Krowa ogonem ci namaluje graficzkę, jaką chcesz – kpiała. – Niby skąd ja ci na zapadłej wsi wezmę grafika... Chociaż... – Weronice zamajaczyło w pamięci niedawno usłyszane określenie: „poszedł w grafikę i nawet jest w tym dobry”. O kim to było? – Rozejrzę się. Tyle mogę obiecać. I podeślę jakąś nową robótkę. Tylko małą! – zastrzegła. – Tu tyle się dzieje, że nie mam czasu na ślęczenie przy klawiaturze.

– Pewnie ci już jakiś rolnik, co szuka żony, zaproszył głowę? – szef snuł swoje scenariusze. – Nie zapomnij zaprosić nas na wesele – dowcipkował.

Po skończonej rozmowie Wera zastanawiała się nad znalezieniem grafika do wydawnictwa. Grafik komputerowy to też jeden z takich zawodów, które można wykonywać wszędzie. Oznacza to, że jeśli znalazłby się taki w Powykopekach, to pracowałby online i nawet umowę może podpisać via poczta. Pod

tym względem świat to globalna wioska. A słyszała o kimś takim od Bartka. Tylko o kim on wtedy mówił?

Przypomniała sobie i od razu postanowiła działać. Złapała kurtkę, szalik zamotała już w drodze i ruszyła porozmawiać o świeżo wyklutej propozycji.

Zarówno furтка, jak i drzwi wejściowe do domu były uchylone. Dziwne to, bo przy takich temperaturach na zewnątrz raczej pilnuje się, by ciepło z domu nie uciekało. Nawet trochę prószyć zaczęło i śniegu nawiewało do sieni. Weronika zapukała, ale nikt się nie odezwał.

– Halo! Jest tu ktoś? Puk, puk! Marek!

Nadal nikt się nie odzywał, ale przecież było otwarte, więc gospodarz musiał tu gdzieś być. Wera wsunęła niepewnie głowę do wnętrza, a później przekroczyła próg.

– Marek, jesteś tam? – Cisza.

Minęła przedpokój, potykając się o rozrzucone niedbale czarne adidasy.

– Halo, Marek! Dzień dobry!

Nie był dobry. Nie dla Marka. Pierwsze, co zobaczyła, to jego nogi. Leżał bez przytomności na podłodze w pokoju, który mógł służyć za pracownię lub gabinet. Obok niego porozrzucone były szczątki jakiegoś rozbitego urzędnika.

– Marek, cholera jasna!

Weronika dopadła do sąsiada i szarpnęła go za ramię.

– Marek, odezwij się. Żyjesz? – Przyjrzała się twarzy chłopaka. Był błądy i zupełnie nieprzytomny. – Ja pierdykam! – zaklęła.

Uważnie zbadała objawy. Oddychał. Ona również odetchnęła. Wyszarpnęła z kieszeni telefon i wybrała 112. Musiała wyjść przed posesję, żeby sprawdzić, jaki tu jest numer domu i podać go dyspozytorce. Kiedy wróciła, żeby w oczekiwaniu na pomoc monitorować stan poszkodowanego, zauważyła pod biurkiem jeszcze jeden ważny szczegół. Na jego widok wybrała kolejny numer w swoim telefonie.

– Inspektor Wojnicki? Chyba mamy próbę zabójstwa.

– Ale co tu robi zakrwawiony nóż?

Po odejździe karetki ekipa śledcza prowadziła swoje czynności w mieszkaniu Marka. Gdyby nie to narzędzie, można byłoby założyć, że Marek uległ wypadkowi. Mógł się potknąć o dywan, mógł spaść z krzesła i pociągnąć za sobą radio (bo to ono leżało obok rozbite). Mógł uderzyć się o szafkę w kuchni, a dopiero tu zemdleć... Wszystko mogło się zdarzyć, ale nóż sam siebie nie mógł zakrwawić, a w całym domu nie znaleziono nic, co wskazywałoby na źródło jego pochodzenia.

– Ciekawe, czyja to krew? – snuła domysły Weronika. Chociaż wyproszona na zewnątrz, wciąż uczestniczyła w postępowaniu. To nic, że teraz zaocznie. Przywykła do bycia online. Naciągnęła kaptur na głowę, poprawiła szalik, by zakrył brodę, i skryła się za pergolą, żeby chociaż trochę odciąć się od zacinającego śniegu.

– Co za pieprzona pogoda. Chyba tę zimę za wcześniej przygnało – pomyślała, rozcierając ręce.

– Wstępne oględziny wskazują na uderzenie tępym narzędziem. Zarobił radioodbiornikiem. Znaleźliśmy na nim ślady tkanki. Nie ma żadnych ran klutych – relacjonował inspektorowi jeden z dochodzeniowców.

– Jeśli nóż ma ślady człowieka, a człowiek nie ma śladów noża, to znaczy, że to nie ten człowiek – zastanawiała się na głos Werka. – Brakuje tu jednej osoby.

– A pani co tu robiła? – ocknął się Wojnicki.

– Rzucalam radiami do celu ruchomego – zakpiła w pierwszym odruchu, po czym wyjaśniła swój udział w zajściu.

– I nikogo pani po drodze nie spotkała? Nie widziała pani, żeby ktoś stąd wychodził?

– Nie. Nikogo nie było. Ani żadnych odcisków na śniegu. Zresztą dopiero zaczęło sypać.
– Krew zastygła, więc mógł tu już trochę leżeć – wtrącił się gość z ekipy. – Szukaj wiatru w polu.
– Zbierzcie ślady, bo jeśli z tego nie wyjdzie, będziemy mieli zabójstwo. I wezwijcie tu Majewskiego. Jest tutejszy, to szybciej się dogada z miejscowymi. Niech wszystkich przepytają. Może ktoś coś widział.

O ile w drodze do Marka Weronika zastanawiała się, czy dobrze robi, proponując mu współpracę, to po dzisiejszym wypadku przestała mieć wątpliwości. Po tym, jak na niego napadnięto, wykreśliła go z listy podejrzanych. Przecież właśnie stał się ofiarą. Tylko czyją? Jeśli odzyska przytomność, będzie sam mógł powiedzieć, kto na niego napadł... Jeśli... Jego stan był ciężki. Chociaż nie było widać wiele krwi, obrażenia czaszki mogły być poważne. Zarówno w czasie oględzin, jak i przy przenoszeniu do karetki nie odzyskał przytomności. Weronika zastanawiała się, czy to dobry pomysł, żeby odwiedzić go w szpitalu. Nie należy do rodziny, więc od personelu niczego się nie dowie, a nie chciała tworzyć wrażenia, że go uratowała i oczekuje podziękowań. Postanowiła zatem poczekać na rozwój sytuacji. W końcu jeśli Marek wydobrzeje, będzie mogła ponownie do niego wpaść, żeby zaproponować pracę. Ma pretekst, to z niego skorzysta, również po to, żeby wysondować, jak do tego wszystkiego doszło. A może wcześniej wydusi coś z Wiktora? Pod warunkiem że posterunkowy Majewski zdoła coś ustalić po przesłuchaniu sąsiadów.

– Przepraszam, że bez uprzedzenia, ale stwierdziłam, że sprawa nie może czekać. Zrobiłam świeżą sałatkę i trochę wam przyniosłam, bo dla mnie samej to za dużo. Mówiłaś, że poprzednia bardzo ci smakowała. A wiesz, jak to jest... Sałatki nie da się zrobić mało. Jedna puszczyka kukurydzy, jedno jabłuszko, jeden kawałek serka.... I już cała salaterka.

– Wejdz, proszę – Joanna Majewska szerokim gestem otworzyła przed Weroniką drzwi.

Właśnie na to liczyła. Przetrzęsła spiżarnię w poszukiwaniu składników na sałatkę i bębniła nożem po desce, żeby mieć pretekst do złożenia wizyty Majewskim.

– Nie chcę wam przeszkadzać, ale nie wypada tak wpaść i wypaść... Chyba że masz jakąś robotę, to znikam.

– Oglądaliśmy teleturniej, więc nic ważnego. Herbaty? Wiktor, zabierz ten bałagan ze stołu.

Wiktor rzucił Werce krótkie powitanie i zabrał się do porządkowania porozkładanych notatek.

– Chyba jednak przeszkadzam – dziewczynie zrobiło się głupio, że tak wprosiła się bez uprzedzenia.

– Daj spokój, to może poczekać – odpowiedział gospodarz.

– Nie mogę wydebić, żeby przestał przynosić robotę do domu – skarżyła się na męża Joanna. – Gorzej niż nauczyciel. Też cały czas myśli o pracy.

– Jeśli udałoby mi się rozwiązać tę sprawę, to może dostałbym awans. Cały czas narzekasz, że tak mało zarabiam, a jak chcę się wykazać, to marudzisz.

– Ty mi zamieniasz chałupę w komisariat, a i tak cały splendor spłynie na Wojnickiego. To jego sprawa, nie twoja... Mówię ci, Weronika, nie wychodź za policjanta.

– Ale chyba ma jakieś zalety? – zażartowała Werka.

– Ma. Śmieci wyrzuca. Ale też tylko wtedy, kiedy mu się trzy razy przypomni... Czarna, zielona czy earl grey?

– Zwykłą poproszę. – I zwróciła się do Wiktora. – Rozpracowujesz te porwania czy napad na Marka?

– Próbuje jedno i drugie, ale albo tępy jestem, albo mnie to przerasta.

– Nie jesteś tępy. Bardziej doświadczonym od ciebie nie udało się rozwiązać tych spraw.

– Tę Markową to dopiero zaczęli rozkminiać – usprawiedliwił zwierzchników.

– I mają coś? – niby mimochodem spytała Weronika, odbierając z rąk Aśki parujący kubeczek.

– Przepytalem całe Powykokpie, ale nikt nie widział ani nie słyszał. Ślepa uliczka.

– Bo widzę, że nie od tej strony zaczęliście się do tego tematu zabierać – stwierdziła Wera.

- Dlaczego tak myślisz? – Wiktor odłożył notatki na komodę.
- Macie zakrwawiony nóż... Ktoś kogoś nim pchnął... Kto? Kogo? Marek nie miał ran ciętych ani kłutych na ciele. Czyli nie on był dźgnięty. Więc kto? Czyja krew jest na nożu i kto go użył?
- Czy chcesz powiedzieć, że jeśli nie Marek był dźgnięty, to Marek dźgał?!
- Weronice z wrażenia herbata chlapnęła na spodnie.
- O, cholera! – Nie wiadomo było, czy jej okrzyk dotyczy oparzenia, czy świeżego odkrycia.
- Musimy szukać kogoś poranionego – posterunkowy myślał na głos.

Całą drogę do domu Weronika zastanawiała się, przed kim ofiara napadu broniła się przy pomocy noża. A im dłużej analizowała tę sprawę, tym mniej była dla niej jasna.

Hugo pojawiał się i znikał. Weronika wiedziała, że pies lubi samowolne wycieczki i nie popadała w histerię, kiedy nie wracał z nią ze spaceru. Oczywiście, że niepokoiła się, czy nie zaatakują go dziki albo wilki (czy są w tych lasach wilki?), a może jakiś zły człowiek, jak Boniek, zrobi mu krzywdę. Jednak zaakceptowała psią naturę i nie próbowała ograniczać kudłaczowi wolności. W żadnym wymiarze nie czuła się jego panią, a jedynie tymczasowym opiekunem. Jego miska na ganku zawsze była pełna, a w drugiej każdego dnia czekała świeża woda. Nawet mama z Karolem przez kilka dni pobytu przyzwyczaili się, że na podwórzu może być pies, ale równie dobrze może go nie być.

Tym razem pojawił się z jakimś tłumokiem w pysku. Włókł go po śniegu. Wciągnął szmaty na ganek, udeptał, ułożył po swojemu i na nich zaległ.

– Coś ty mi przyniósł? – Wera nie wiedziała, czy cieszyć się, że pies potrafi zadbać o swoje wygody, czy go zbesztać. – Proszę mi nie znosić do domu żadnych fantów. Komu to ukradłeś? Kurtka? Błeee, nie dość że zaśliniona, to jeszcze zablocona. I co ja mam z nią teraz zrobić? Pewnie ją ktoś wyrzucił albo jej szuka, bo poza tym że wyświechtana, nie wygląda na starą. Pokaż.

Pies warknął ostrzegawczo, bo ani myślał dzielić się zdobyczą. Werka machnęła ręką.

– Dobra, zostaw ją sobie – mruknęła.

Miała swoje plany i nie chciało jej się droczyć z psem. Anomalie pogodowe sprawiły, że od wczorajszego popołudnia przez całą noc sypało. Przedwczesna zima pokryła świat grubą warstwą śniegu. Temperatura co prawda wahała się w granicach od minus jednego do zera stopni, ale nie można było liczyć, że problem poruszania się po posesji i swobodnego wyjścia z domu rozwiąże się sam. Weronika odszukała w składziku szufłę do odśnieżania, ubrała się stosownie do okoliczności i ruszyła na wojnę z białym całunem, zaczynając od ścieżki do furtki. Hugo dzielnie jej w tym towarzyszył, nurkując w zasy i rozgrzebując łapami usypane przez Weronikę bandy.

Po kilku minutach katorzniczej pracy dotarła z szufłą do ogrodu. Najbardziej napracowała się za plotem na małym kawałku między posesją a białym w tej chwili asfaltem. Pozostało odśnieżyć podjazd.

– Widzę, że nie próżnujesz – usłyszała, gdy ostatni fragment został oczyszczony.

Bartek z gołą głową, ale postawionym kołnierzem brnął skrajem drogi.

– Poranna gimnastyka – Werka oparła się o szufłę.

I w tym momencie przejechała pługopiaskarka. Cały jej wysiłek został w jednej chwili zaprzepaszczone. Przed furtką Weroniki wyrósł zwał zsuniętego z szosy brudnego śniegu, a po nogach sypnęło piachem z solą.

– Ja pierdykam! – zaklęła Wera po swojemu i z impetem wbiła szufłę w przyzmę. Oboje zaczęli się śmiać. – A ty nie odkopałeś samochodu?

– Z premedytacją tak na nogach. Wczorajszy jestem, bo opijaliśmy z kumplem nowe zlecenie. Będzie roboty na cały miesiąc. Zrobiłem sobie spacer do Stefaniaków po zapas coli na kaca – wymownie wskazał kciukiem plecak. – Żal na tych ludzi patrzeć. Stefaniakowa jakby się postarzała o dwadzieścia lat,

a stary Stefaniak chodzi jak zombi. Nadal nic nie wiedzą o losach Doroty. A ty co tak szuflą machasz? Babcina odśnieżarka nie działa?

– Jaka odśnieżarka? – Werka była zdezorientowana.

– Babcia w komórce miała odśnieżarkę. Powinna tam nadal stać. Czemu jej nie odpalisz, tylko mordujesz się z szuflą?

– Odśnieżarka? Taka co sama odśnieża?

– Może nie sama, ale zapewne łatwiej nią niż ręcznie.

– A możesz mi pokazać, która to?

Wciąż się okazywało, to Bartek lepiej zna gospodarstwo niż właścicielka. Wyciągnął szuflę jak miecz króla Artura i ruszył gotowy do działania, otrzepując ze śniegu oblepione buty.

– Otwórz komórkę – poleciał.

Weronika zakrążyła się wokół kluczy i po chwili wkroczyli do składzika. W kącie, jak je pierwszego dnia zastała, stały dwa urządzenia – kosiarka i drugie podobne, które okazało się odśnieżarką.

– To to? – Weronika spytała zdziwiona.

– Toto – potwierdził chłopak. Odkreślił wlew paliwa i zajrzał do baku. – Trzeba wlać benzynę – orzekł.

Wiedział, gdzie czego szukać. Z jednego z dwóch kanistrów stojących przy regale z narzędziami i doniczkami nalał odliczoną ilość paliwa, po czym rozejrzał się po półkach.

– Czego szukasz? – Wera chciała pomóc.

– Gdzieś tu powinna być flaszka oleju...

– Przyniosę z kuchni – zaoferowała.

– Nie będziemy smażyć, tylko odśnieżać. Jest! – Ucieszył się odkryciem. – A teraz patrz, żebyś na przyszłość wiedziała. Jeden do stu, czyli sto mililitrów oleju na dziesięć litrów paliwa. W kosiarce i odśnieżarce masz dwa litry, czyli jedna piąta – wyliczał. – Jeśli zapomnisz wlać olej, zatrzesz silnik. Jeśli wlejesz za dużo, będzie dymić i zapaprzesz świece.

Weronika z fascynacją podglądała wszystkie czynności Bartka. Zaimponował jej. Zamiast się zżymać, że się u niej rządzi, podziwiała jego zaradność.

– Jest coś, na czym się nie znasz? – spytała bynajmniej nie zaczepnie.

– Malarstwo artystyczne i szydełkowanie – roześmiał się tym swoim rozbajającym śmiechem. – A teraz chwila prawdy – pociągnął linkę rozrusznika.

Za drugim razem silnik zaskoczył. Odśnieżarka zawarczała i można było działać. Na zmianę objeżdżali maszyną podjazd, wzbijając tumany puchu, aż ukazała się goła kostka.

– Zbawco! – sapła Weronika. – Szufelką to ja bym tu ruski miesiąc skrobała. – Zapraszam na kawę. Zasłużyliśmy sobie.

Otrzepali ze śniegu ubrania i buty i wkroczyli zgodnie na ganek.

– Co tu robi kurtka Bońka? I to w takim oplakany stanie? – Bartek zainteresował się tłumokiem służącym psu za posłanie i uniósł go w dwóch palcach na wysokość oczu.

– Hugo przywłókł. Mówisz, że co to jest? – Weronika zatrzymała się w pół gestu.

– Kurtka Bońka... Chyba Bońka – uściślił. – Jeszcze dwa dni temu go w niej widziałem.

– Skąd wiesz, że to jego? – Weronice dobry humor minął, jak ręką odjął.

– Zobacz – Bartek prezentował połę wiatrówki. – Logo OSiR-u.

– Same litery OSiR. Myślałam, że to nazwa firmy odzieżowej.

– Ośrodek Sportu i Rekreacji. Kordaś tam pracował ostatnio. Wybujających kwalifikacji to on nie ma, więc robił za technicznego.

– Czyli co?

– No wiesz, co trzeba było: malował linie na boisku, kosił trawę, zdejmował po treningu siatki z bramek, zamiatał korty... Takie tam prace pomocnicze. A że większość na powietrzu, to przysługiwała mu odzież ochronna. Chyba w zeszłym sezonie zamówili im te kurtki.

– Skąd wiesz, że ta jest jego?

– Jeśli znalazła się w Powykopkach, to raczej nikogo innego. Tam jest jeszcze dwóch takich pracowników, ale jeden z miasta, drugi z Andrzejowa, czyli jeszcze dalej.

– Pokaż mi ją. – Weronka prawie wyrwała kurtkę z rąk Bartosza. I zaczęła ją dokładnie oglądać. – Zobacz – zaprezentowała chłopakowi dwa okazałe rozcięcia.

– Dziurawa. Pewnie dłatego wyrzucił – podsumował znaleźnik.

– Wyrzucił albo gdzieś schował, ale Hugo to odkrył. Muszę zadzwonić do Wojnickiego. Wejdźmy do środka. Hugo – odwróciła się do psa. – Idziesz się ogrzać?

Zwierzakowi nie trzeba było powtarzać. Otrzepał sierść ze śniegu i z zadowoleniem pakował się do ciepłka. Zajął miejsce przed wygasłym kominkiem.

Bartek nie brał udziału w wydarzeniach związanych z pobiciem Marka i znał sprawę jedynie z plotek, więc słuchał z uwagą relacji i dedukcji Weroniki. Przy opowieściach nad parującymi kubeczkami doczekali się przyjazdu Abramskiego, oddelegowanego do tej sprawy przez szefa. Sierżant zabezpieczył w plastikowej torbie znaleźnik Hugona, wysłuchał, jak trafiło w ręce Weroniki, odmówił poczęstunku i poszedł sobie.

– To rozcięcie na wysokości brzucha mogło trafić samą kurtkę i nie dosięgnąć człowieka – analizowała Weronika. – Ale to na rękawie na pewno doszło do ciała. Jeśli Kordaś jest poraniony, to mamy sprawcę napadu na Marka. Tylko jaki miałby motyw?

– Może się kiedyś dowiemy – orzekł Bartek i zaczął zbierać się do wyjścia. – Dzięki za kawę.

– To ja dziękuję za odśnieżanie. Jeśli chcesz, to mogę ci tę piekielną maszynę pożyczyć.

– Zapowiadali powrót jesieni, więc może matka natura mi odśnieży, ale dzięki.

– Wczoraj nie dało się tu wózkiem przejechać – narzekała Zyta, brnąc z synkiem przez błoto pośniegowe.

Hugo po brzuch utyłany w brei towarzyszył mamie i cioci Werze w spacerku z maluchem.

– Wszystkie nieszczęścia spadły na tego biednego Marczka – Zyta litowała się nad sąsiadem. – Wyobrażam sobie, co teraz musi przeżywać. Ale żeby kolega kolegę... Przecież oni się znają od małego.

– To już na sto procent potwierdzone, że to Boniek?

– Jego kurtka, jego rany, które odpowiadają cięciom. Ponoć teraz badają, czy krew na nożu jego. Pójdzie siedzieć jak nic. Jeśli nie za zabójstwo, to za usiłowanie. Wszystko zależy od tego, czy Marek z tego wyjdzie. Nadal trzymają go w śpiączce.

Weronika nawet nie próbowała dociekać, skąd Zyta ma te wszystkie wiadomości. Powykopki to bardzo mała społeczność. Jeśli ktoś na jednym końcu wsi puści baka, to na drugim już wiedzą.

– Nie wiesz, przyznał się? – zapytała.

– No właśnie nie. W ogóle nic nie powiedział. Ponoć jak po niego przyszli, to tylko krzyczał: „Wrobił mnie! Znowu mnie wrobił!”. A jak go pytali kto, to stwierdził, że i tak mu nikt nie uwierzy. Ponoć zachowywał się jak zranione zwierzę. A potem się zaciął i w ogóle przestał się odzywać. Gwidon mówił, że zabrali go na obserwację do psychiatryka, bo wpadł w jakiś stupor i był całkiem otepiały. Szkoda, że o jedno tempo za późno, bo i tak stawiał opór przy zatrzymaniu, więc mu jeszcze za to dolożą.

– Kto mógł go zrobić i dlaczego? – zastanawiała się Wera na głos.

– A tam! Takie gadanie, żeby odsunąć od siebie winę. Niby kto i po co miałby go wrabiać?

– Dobre pytanie...

Wieczorem Weronikę pochłonęła lektura. Całą uwagę skupiła na książce i gdy sięgała po herbatę, potrafiła kubek. Wszystko wylało się na stół. Zła na siebie ruszyła do sprzątanía. Zaplamiony obrus wniosła do łazienki i z grubsza splukała w umywalce. Starła blat i dosuszyła go ręcznikami jednorazowymi. A kiedy sięgała do szuflady po świeży obrus, wpadł jej w oczy zapomniany babciny pistolet. Obrus tak spod niego wysunęła, żeby nawet nie musnąć ręką broni. Budziła w niej strach... No, może raczej respekt.

– Ciekawe, czy teraz, w tych okolicznościach jestem bezpieczna? – pomyślała. – Kordaś pod kluczem, czyli chyba złapano winnego? Okej, winnego napadu na Marka, ale czy winnego porwań tych kobiet? Przecież to chuchro jakieś. Musiałby je upić albo inaczej obezwładnić... Chociaż... Jeśli powalił Marka, a przecież to kawał chłopca, to takiej Natalii albo Dorocie też dałby radę, gdyby zniecacka dał którejś po głowie. Trochę trudniej byłoby mu pozbyć się ciała, ale, jak mówią: „chłop jak żaba silniejszy niż baba”, to pewnie poradziłby dźwignąć taką niespecjalnie utuczoną kobitkę. Tylko dlaczego krzyczał, że ktoś go wrobił? A jeśli to prawda? To czemu nie powie, kto i w jakim celu? Hmm... Może coś z niego niebawem wyduszą. W końcu nie zapadł na afazję z minuty na minutę i do końca życia. Przejdzie mu szok, dostanie coś na uspokojenie i puści parę... Chyba że się kogoś boi. Ale nie aż tak, żeby dać się zamknąć za niewinność. Zaraz, zajrzyjmy do kodeksu...

Weronika odpaliła komputer.

– Kodeks karny: „Kto zabija człowieka...”. Trochę tych paragrafów jest. Od ośmiu lat po dożywocie. Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie poświęci ze strachu ośmiu lat życia albo nawet całego. Musiałby być ogromny ten strach. Nie. Skreślał ten pomysł. Oba pomysły. Bo Boniek nie nadaje się na mordercę. Co innego skopać psa czy ukraść samochód, a co innego przeprowadzić cztery porwania, zakopać ciała, zatopić auto i jeszcze różę posadzić. To jest za prosty umysł na takie przedsięwzięcie... Cztery przedsięwzięcia. To znaczy, że zabójca chodzi wolno i się z nas wszystkich śmieje. A co za tym idzie, nadal nie mogę spać spokojnie. Tylko wciąż zadaję sobie pytanie, co ten ktoś... Jeśli to ten sam ktoś... Co ten ktoś ma do mnie? Ani go widziałam, ani znam tu ludzi, ani, ani... Więc dlaczego chcieli mnie zepchnąć pod pociąg? To, że znalazłam jakieś fanty, było przecież przypadkiem. Znalezienie ciała, a dokładniej wskazanie domniemanego miejsca ich tymczasowego pochówku, to wynik domysłów. Czyżbym aż tak domyślna była, że ktoś się przestraszył? Jeśli tak, to musiałam z domysłami być blisko. I on też jest blisko, skoro je znał. Kurdesz!

Tym razem Weronika wzięła pistolet do ręki. Zważyła go w dłoni.

– Ciężki – pomyślała.

Z boku miał jakiś przycisk, którego użyła. Z rękojeści wysunął się magazynek. Wyjęła go do końca i sprawdziła, czy pełny. Tak. Z pojemnika wystawał nabój. Wsunęła magazynek na miejsce, aż kliknęło, i odłożyła pistolet do szuflady.

– Lepiej, żeby nie trzeba było z niego korzystać.

Pomyślała, że mogłaby zrobić komuś krzywdę przy pomocy tej broni i aż się wzdrygnęła. Wcale nie czuła się bardziej bezpieczna przez to, że w domu miała takie coś. Wręcz odwrotnie. Chyba w jakimś filmie słyszała, że jeśli wyjmiesz broń, to nie na postrach, tylko po to, żeby jej użyć. Lepiej, żeby nie trzeba było... A tak w ogóle, to chyba nie powinna tego wcale mieć. Przecież na broń potrzebne jest specjalne zezwolenie. Babcia miała. Miała? Weronika nie przypomina sobie, żeby wśród dokumentów widziała pozwolenie na broń. Może przegapiła, a może wcale go nie było. Jak by nie patrzeć, to bez względu na uprawnienia babci, ona, Weronika Sabina Wielowiejska jest nielegalną posiadaczką broni. I tak oto poniekąd babcia zrobiła z Werki przestępcę.

– Kurdesz! Muszę coś z tym zrobić.

Pierwsze, co zrobiła z samego rana, to zadzwoniła do inspektora. Przyznała się do posiadania babcinego pistoletu, przy czym trochę naciągnęła fakty, zeznając, że właśnie go znalazła. Została pouczone, że powinna jak najszybciej oddać go na posterunku do depozytu. Może go otrzymać z powrotem, kiedy

zdobędzie pozwolenie na broń. W tym celu musi przejść specjalne szkolenie oraz badania stanu zdrowia zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Wojnicki zapewnił ją, że jako samotna kobieta mieszkająca na skraju wsi ma podstawę do wystąpienia o taki dokument. Nie musiała nawet wspominać o realnym zagrożeniu życia, jakie nad nią faktycznie zawisło (patrz przygoda na przejeździe).

– Czyli mam teraz wrzucić broń i naboje do torebki i przyjechać do was do miasta?

– Dokładnie tak.

– A jak mnie po drodze zatrzyma Korczyński i aresztuje za bezprawne posiadanie?

– To najwyżej szybciej pani tu dotrze – zażartował. – A ja potwierdzę, że pani mi to zgłosiła... A przy okazji chciałem pani przekazać dobrą wiadomość. Poszkodowany, którego pani uratowała, wczoraj wieczorem opuścił szpital na własne życzenie.

– Jak to, opuścił szpital? Przecież był w śpiączce!

– Chyba ktoś panią wprowadził w błąd. Owszem, dostawał leki uspokajające, bo był pobudzony i wrywał się do wyjścia, a nie było jeszcze wyników wszystkich badań. Ale to nie to samo co utrzymywanie w śpiączce. Przepraszam, chyba się rozpędziłem, bo to należy do tajemnicy lekarskiej. Ale skoro facet zawdzięcza pani życie i już tyle pani wie, to tylko dodam, że poza lekkim wstrząśnięciem mózgu panu Markowi nic nie jest. Musi tylko na siebie uważać. No to czekamy tu na panią.

– Powinam być za jakieś pół godziny – uprzedziła.

Weronika odetchnęła. Spakowała pistolet razem z amunicją do torebki, poprawiła makijaż i ruszyła zdać broń władzy.

– Może jak już mam po drodze, to zajrzę do Marka, dowiem się, jak się czuje i pogadam z nim na legły temat.

Wyprowadziła pick-upa z garażu, starannie zamknęła wrota i bramę. Rozejrzała się, czy gdzieś nie pęta się Hugo, ale nigdzie go nie było.

– Znów się łajdaczy. Jak to facet – podsumowała zwyczajnie kudłatego gościa i wsiadła za kierownicę.

Mijając sklep Stefaniaków, pomyślała o jakimś upominku dla ozdrowieńca. Zaparkowała na podjeździe i weszła po zakupy. Bartek miał rację. Pani Stefaniakowa schudła i posiwiła. Wyglądała dużo starszej, chociaż od ostatniego razu, kiedy ją widziała, nie minął nawet miesiąc. Obsługiwała klientów bez dawnego uśmiechu, bez zagadywania „co słyhać”. Chmurna, smutna i nieobecna. Jakby za ladą stał robot ze szrotu.

W sklepie nie było wielkiego wyboru słodyczy. Weronika kupiła więc pudełko Ferrero, nieco zakurzone, ale nieprzeterminowane, a dla siebie wzięła całą paczkę snickersów.

– Będzie zapas na czarną godzinę – pomyślała, nawet nie zdając sobie sprawy, że proroczo.

Do domu Marka było stąd zaledwie kilka kroków, więc zostawiła samochód przed sklepem i ruszyła pieszo.

Marek otworzył drzwi, ale nie wyglądał na zadowolonego z wizyty. Niechętnym gestem zaprosił Werkę do pokoju, w którym wcześniej znalazła go nieprzytomnego.

– Nie będę ci zabierała czasu, domyślam się, że możesz się jeszcze niezbyt dobrze czuć. Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– A co ma być nie w porządku? – mruknął niezbyt grzecznie. – Żyję, jak widzisz.

– To dobrze – ucięła. – Ale ja mam do ciebie jeszcze jedną sprawę...

W tym momencie odezwał się gwizdek czajnika.

– Wyłączę – Marek porzucił Weronikę w pół zdania i poszedł do kuchni.

Dziewczyna stała skępowana i nie wiedziała, jak ma się zachować. Bezwiednie rozglądała się po pomieszczeniu. W zasięgu ręki na biurku leżała książka. Sądząc po okładce, fantastyka.

– Co czytasz? – Werka wzięła książkę do ręki i przerzuciła kartki. Spośród stron coś wypadło na podłogę. Schyliła się, żeby podnieść. Paspport rozpoznała od pierwszego rzutu okiem, ale kiedy odczy-

tała napisy, zorientowała się, że to drugie to bilet lotniczy. Oba na nazwisko Jagody.

Weronika usłyszała zbliżające się kroki. Było już za późno, żeby nieopatrzenie odłożyć dokumenty na miejsce i udawać, że się ich nie widziało. Zdołała tylko schować do kieszeni zmięty bilet. Marek zatrzymał się w progu. Jego oczy pociemniały i zaczął powoli zbliżać się do Weroniki.

– Wiedziałaś, że chciała od ciebie odejść – stwierdziła, ledwie wydobywając z siebie głos.

Marek wyjął jej książkę i paszport z ręki. Odłożył na stół.

– Wiedziałem. Teraz ty też wiesz. – Zawiesił głos. – Ciekawe, co z tą wiedzą zrobisz?

Weronika zrozumiała, że wpakowała się w pułapkę. Rzuciła się w stronę drzwi, ale była bez szans. Marek złapał ją za ramię i zatrzymał z taką siłą, że aż nią zakręciło w miejscu. Chwycił lampę z biurka i zamachnął się. Weronika widziała jego ruch, ale zdążyła się tylko nieco uchylić. Za mało.

Kiedy się ocknęła, poczuła przejmujący chłód. Leżała twarzą na jakimś twardym podłożu. Czula wszechobecną wilgoć. Z trudem otworzyła oczy. Nie wiedziała, czy jest ciemno, czy straciła wzrok. Bojąc się poruszyć, powiodła oczami dookoła. W górze prześwitywało jakieś światło. Bardzo słabe i niewyraźne. Mogła się tylko domyślać, że to drzwi, za którymi panuje mrok. Nie wiedziała, czy jest wieczór, czy już poranek. Przypomniała sobie, co się stało, zanim tu trafiła. Czy jest bezpieczna? Czy jak się poruszy, może coś jej grozić? Postanowiła najpierw chwilę ponasłuchiwać. Zaryzykowała i próbowała odwrócić się na plecy. Ledwie wykonała ruch, poczuła ostry ból z tyłu głowy. Domyśliła się, że to od wcześniejszego uderzenia. Jęknęła.

– Jezul Ty żyjesz? – usłyszała słaby kobiecy głos gdzieś z kąta.

– Twierdzą, że zmartwychwstał, ale nie pamiętam, co z Nim było dalej – stęknęła Weronika i z trudem usiadła.

W rzednących ciemnościach rozpoznała, że znajduje się w piwnicy podobnej do ziemianki babci, tylko rozleglejszej. Pod ścianami majaczyły połamane półki, po części puste, po części zawierające jakieś rupiecie: poprzewracane butelki, pudła, plastikowe doniczki. Pod ścianą dostrzegła jakby kupę szmat, a spośród nich wystającą głowę dziewczyny. Podpełzła do niej na kolanach.

– Mnie nie jest do śmiechu – usłyszała. – Tobie też przestanie być, jak cię tu potrzyma. Byłaś długo nieprzytomna. Myślałam, że już nie żyjesz.

Dziewczynie z trudem przychodziło mówienie. Zanosła się obrzydliwym kaszlem. Była brudna, przetluszczone włosy lepiły jej się do twarzy. Chociaż w pomieszczeniu panował chłód, była spocona. Patrzyła na Weronikę rozszerzonymi źrenicami. Zapewne miała gorączkę. Była okręcona jakimś brudnym kocem i niepowleczonej starą kołdrą, które miały ochronić ją od zimna, ale nie uchroniły przed chorobą.

– Dorota? – próbowała zgadnąć Werka.

– Długo tu jestem? Straciłam rachubę czasu. Zaczęłam stawiać kreski, ale później nie pamiętałam, czy już jakąś zaznaczyłam, czy nie.

– Siedzisz tu prawie miesiąc. Musimy cię stąd wyciągnąć. Potrzebujesz lekarza.

– Nie wyjdiesz stąd. Jeśli on nas nie uwolni, to nie ma innego wyjścia. A nie uwolni.

– No to koniec – Weronika z desperacją pacnęła na tyłek obok Doroty. – W każdym razie mnie nie wypuści. Za dużo wiem.

– No to jesteście dwie – podsumowała Dorota i znów się rozkaślała.

Atak odebrał jej siły. Skuliła się pod łachmanami i ciężko oddychała. Po chwili zasnęła niespokojnym snem.

Weronika próbowała analizować sytuację, w której się znalazły. Trudno jej było zebrać myśli, bo wciąż doskwierał jej ból głowy. Pomacała guza. Wyglądało, że skóra nie jest rozcięta, a kości czaszki całe. Śliwa pod palcami była ogromna, ale poza tym uderzenie chyba nie poczyniło większych szkód. Wera przeprowadziła test neurologiczny, jaki widziała na filmie: zamknęła oczy i próbowała trafić palcami

jednej i drugiej ręki w nos. Trochę się rozminęły, ale nie niepokojąco. Ruszyła głową w prawo i w lewo. Bolała, ale ruchy były możliwe.

– Dobra, przeżyję – orzekła i trochę ją to podniosło na duchu. – A teraz pomyślmy...

Co tu robi Dorota? Dlaczego ją tu trzyma? A dokładniej, dlaczego tak długo trzyma ją przy życiu? Z tamtymi kobietami nie cackał się tyle czasu. Chyba że z tamtymi kobietami to nie był on. A jeśli Dorota jeszcze żyje... Co tu dużo mówić, LEDWO żyje... To dla mnie też jest szansa. Przynajmniej na krótko... Ciekawe, na JAK krótko? A jeśli nie mam wiele czasu, to należałoby szybko znaleźć jakieś wyjście.

Weronika oparła się o ścianę, wstała i wciąż trzymając się tej podpory, ruszyła w kierunku schodów.

– Cokolwiek robisz, na twoim miejscu zaczekałabym z tym jeszcze trochę – dał się słyszeć słaby głos spod łachmanów.

– Dlaczego? – Weronika zatrzymała się w pół drogi.

– Zwykle o tej porze ten drań przychodzi sprawdzić, co ze mną. – Atak kaszlu spowodował przerwę. – Przynosi coś do jedzenia i pewnie tym razem da nam wiadro na nieczystości, bo poprzednio zabrał do opróżnienia i nie odniósł.

– Często tu zagląda? – Weronika wróciła na posłanie Doroty.

– Zwykle dwa razy dziennie. Rano z jakimś niby śniadaniem i wieczorem z czymś innym do zarcia. Raczej obrzydliwe, ale pozwala przeżyć. Upprzedzam, nie dasz mu rady, więc nie próbuj żadnej walki. Tylko cię stłucze ku przestrodze i najwyższej zwiąże.

– Dobrze, że mi powiedziałaś – Weronika w myślach wciąż pracowała nad uwolnieniem ich obu. – Może jak będę udawała słabszą niż jestem, to nie będzie podejrzewał, że kombinuję.

– A kombinujesz? – W głosie Doroty był jednocześnie strach i nadzieja.

– Owszem, ale nie oszukujemy się za bardzo, że się uda. Tobie się nie powiodło.

– Ale teraz jesteśmy dwie – zauważyła dziewczyna. – Chociaż realnie patrząc, to stanowią teraz bardziej obciążenie niż wsparcie. Na nic nie mam siły.

I jakby na potwierdzenie tego stwierdzenia opadła niemal bezwładnie na posłanie.

– Widzę – mruknęła Weronika i wróciła do analizy ich położenia.

Rzeczywiście, zgodnie z zapowiedziami Doroty po kilku minutach nad głowami dosłyszały odgłosy, a po chwili chrobot klucza obwieścił otwarcie drzwi. Po schodach wtoczył się do piwnicy Marek obarczony pakunkami i brzęczącym wiadrem.

Wera oparta plecami o ścianę udała nieprzytomną.

Marek odstawił kubek, odłożył na ziemię pakunki z jedzeniem i dwiema butelkami wody i podszedł do dziewczyn. Zaczepnie kopnął wyciągnięte nogi Werki, licząc na jakąś reakcję. Osiągnął tyle, że Wera osunęła się na ziemię.

– Zostaw ją – wyszeptęła Dorota. – Potrzebuje lekarza, bo nie przeżyje. Nie wiem, czy już nie umarła.

– A niech zdycha. Oszczędzę na zarcu.

Zza pazuchy wyjął torebkę Weroniki i rzucił u jej stóp.

– Jeszcze to u mnie ktoś znajdzie – podsumował i wyszedł, zamykając kłódkę. Kilka minut później usłyszały odgłos odjeżdżającego samochodu. Marek, jak codziennie, jak gdyby nigdy nic pojechał do pracy.

– Dzięki, że mnie nie wyspałaś – odezwała się Wera. Po czym dopadła torebki i zaczęła w niej grzebać. – Skur... – zmęła przekleństwo. – Znalazł pistolet... I zabrał nam telefon. Czyli teraz jest uzbrojony, a my nie mamy jak wzwąć pomocy.

– Miałaś w torebce pistolet? – Skala zdziwienia w głosie Doroty sięgała czerwonego pola. – Nosisz broń? Kim ty właściwie jesteś?!

– Uspokój się – Weronika zbagatelizowała historię koleżanki. – To była broń, którą znalazłam w dworku. Zapytałam na policji, co mam z nią zrobić i kazali mi ją przywieźć. Co mnie podkuśiło, żeby

po drodze tutaj wstąpić?! Samarytanka, jego mać!

– No właśnie... Skąd się tu wzięłaś właściwie? – ożywiła się Dorota.

– Chyba niewłaściwie – mruknęła Werka w odpowiedzi, ale zreflektowała się i zaczęła relacjonować, co wydarzyło się we wsi od czasu zaginięcia dziewczyny.

Dorota stopniowo się rozluźniała, aż w końcu wyczerpana rozmową i uśpiona monotonnym głosem opowiadania odleciała w objęcia Morfeusza.

Weronika ponownie przetrząsnęła torebkę. Batony energetyzujące przydadzą się zgodnie ze wstępnym założeniem ich zakupu. Portfel, chociaż zawierał wszystko, co w nim wcześniej było, nie przyda się w tych okolicznościach do niczego. Klucze do dworku – raczej nie otworzy sobie tu nimi drzwi na wolność. Puderniczka. Kurde! Połamał ją, rzucając torbę! Barbarzyńca. To oryginalne Bourjois! Pomadka ochronna do ust? Zwykła, Nivea. Ta się nie połamała. Raczej nie ma tu zastosowania. Notesik z długopisikiem – chyba zaczniesz pisać pamiętniki więźnia w piwnicznej izbie... Na nic. Paczka chusteczek higienicznych – o, to cenne znalezisko! Będzie potrzebne przy korzystaniu z wiaderka. Paragon za paliwo – taaaa! Pilniczek. Szkoda, że papierowy, gdyby był metalowy, może by się na coś przydał. A w zakamarkach za dużej podszewki... zapomniany i przegapiony przez Marka, bo pewnie by go zabrał... szczyryk. Ten sam, którym miała sobie wystrugać szczęście. Jak go wrzuciła do torebki, tak tkwił w niej zupełnie zignorowany przez wszystkich. Może się do czegoś nada. Tylko do czego?

Ze słów Doroty wynikało, że Marek wróci dopiero pod wieczór. Oznacza to, że ma kilka godzin na działanie. Rozejrzała się. Pomieszczenie stanowiło monolit. Wydrążone było w ziemi i zabezpieczone deskami przed jej osuwaniem się. Czyli nie ma ścian, za którymi jest wolność. Jedyna ku niej droga jest w górę. Zobaczmy...

Wera zerwała się z posłania. Została natychmiast ukarana za tę niefrasobliwość. Ból głowy osadził ją w miejscu. Skrzywiła się, rozmasowała guz, odczekała, aż jej przejdzie i tym razem wolniej podeszła do schodów. Wspięła się na nie i dokładniej przyjrzała się drzwiom. Metalowe. A dokładniej blaszane. Żadnych zamków, co oznacza, że są zamknięte na kłódkę. Skobel albo co gorsza sztaba... Jednak skobel, bo odkryła śruby, które go mocowały. Nie da się ich odkręcić, bo nie dość, że zamalowane, to jeszcze z rozklepanym końcem gwintu. Samymi palcami ich nie ruszy. Nawet kluczem nasadowym nie dałaby rady. Trzeba by było pilować diaksem... Co takiego cennego trzymano tu wcześniej, że tak porządnie ktoś to zrobił?

A jednak nie do końca porządnie... Drzwi pancerne, za to ościeżnica.... Werka przyjrzała się jej uważnie. Drewniana! Sprawdziła paznokciem, czy drewno jest miękkie. Zostało niewielkie wgłębienie. Czyli może da się coś wydłubać, tylko gdzie? W którym miejscu? Nie widać było, gdzie kończy się mocowanie skobla – może poza futryną, gdzieś w obudowie wejścia. Druga strona ościeżnicy dawała nadzieję. Były w nią wkręcone zawiasy. Od wewnątrz. To ich skrzydło, które trzymało drzwi, też wymagałoby zeszlifowania, ale skrzydełko od strony futryny przykręcone było do drewna. Spróbowała ostrzem szczyryka usunąć wkręty. Na próżno. Nawet przy użyciu odpowiedniego wkrętaka byłoby trudno, a co dopiero narzędziem zastępczym. Ale drewno da się pilować. A Werka ma pilkę w szczyryku i może jej użyć. Nie będzie to łatwe i trochę potrwa, ale jest wykonalne. Która może być godzina? Weronika nie nosiła zegarka, wystarczył jej telefon. Istniało ryzyko, że nie zdąży się z tym uporać do powrotu Marka z obiadem czy też kolacją. A jeśli ich oprawca zauważy, że coś dłubała przy drzwiach... W najlepszym wypadku zabierze im narzędzie, w najgorszym... Oznacza to, że chwilowo trzeba będzie dobrze schować szczyryk i poczekać do jutra. Łatwo się domyślić, że nie będą miały światła, żeby można pracować nocą. Zatem potrzeba cierpliwości.

A o cierpliwość było trudno. Najtrudniej zaś – zachować spokój, opanować podniecenie wywołane nadzieją i grać przed Markiem ciężko poszkodowaną. Bardzo pomocny okazał się stan Doroty, chociaż okropnie to brzmiało. Była bezwolna i w swojej chorobie całkowicie zubożniała na otoczenie. Uśpiony jej biernością porywacz zlekceważył Werkę, która jego wieczorną wizytę spędziła w udawanym bezwładzie. Rzucił na nie tylko okiem, wymienił pojemniki z jedzeniem i butelki z wodą, zajrzał do wiadra,

stwierdził, że jeszcze nie czas go opróżnić i wyszedł. Weronika szczerzej opatulila koleżankę i wsunęła się do niej pod kołdrę. Tak zasnęły.

Poranek przebiegał podobnie jak poprzedni, z tą różnicą, że stan Doroty gwałtownie się pogarszał. Rzęziła i była rozpalona. Szklanymi oczami patrzyła w nicość. Weronika co chwila poila ją wodą. Miała tylko nadzieję, że nie jakąś skażoną, a tak w ogóle, to cholera wie, bo chociaż butelki były po mineralnej, to nie oryginalnie zamknięte.

Gdy tylko ucił odgłos odjeżdżającego samochodu Marka, Wera zabrała się do roboty. Nie było to łatwe. Po pierwsze, prymitywnie skonstruowane schody nie dawały stabilnej pozycji, żeby zaprzeć się przy pilowaniu. Po drugie, szpara między drzwiami a framugą była zbyt mała, żeby w nią swobodnie wsunąć piłkę. Wymagało to wstępnego podcięcia ostrzem. Trzeba było przy tym uważać, żeby nie złamać szczyryka, bo wtedy przysłaby wszelka nadzieja na ratunek. Postępy były bardzo powolne, ale dawały nadzieję. Weronice paznokcie wbijały się w dłonie, ale nie zwracała na to uwagi. Z zaciętością i poświęceniem wytrwale pilowała oporną framugę. I tak miała szczęście, że drewno było miękkie i podatne, bo przy innym materiale chyba nie udałoby się jej tego dokonać. Co jakiś czas przerywała pracę, żeby odsapnąć i zaopiekować się Dorotą. Zwiżyła swój polarowy szalik i przemyśla dziewczynie twarz. Próbowala ją nakarmić, ale bezskutecznie. Jedynie udawało jej się wlać po kilka kropli wody w usta dziewczyny. Chwile odpoczynku były krótkie, bo zależało jej, by jak najszybciej uporać się z robotą i znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, nim wróci porywacz. Z wysiłku i emocji tak się spociła, że pomimo panującego w piwnicy chłodu zdjęła kurtkę. Górny zawias podpiłowała prawie do końca. Zostawiła go na jednej nitce i zabrała się do dolnego. Tu było gorzej, bo musiała kuć. W końcu usiadła na schodku i niestrudzenie walczyła o wolność.

W pewnej chwili usłyszała jakieś ruchy dochodzące z podwórza. Zamarła i nasłuchiwała.

– Marek, jesteś tam? Wera! – dobiegł jej uszu głos Bartka i zaraz po nim popiskiwanie i poszczekiwanie psa.

– Tutaj! – wrzasnęła i zaczęła walić pięściami w blachę. – Tu jesteśmy!

Bartek zlokalizował jej krzyki i dopadł do drzwi piwnicy.

– Co ty tam robisz? Kto cię zamknął?

– Możesz dwa razy zgadywać. – Chociaż wciąż w beznadziejnej sytuacji, siłła się na dowcip.

– Czekał, poszukam czegoś ciężkiego.

Bartek rozejrzał się po gospodarstwie. Dojrzał oparty o komórkę szpadel. Kilkoma potężnymi uderzeniami rozbił kłódkę. Jednak w tej chwili za jego plecami usłyszeli, a wkrótce i zobaczyli samochód Marka. Bartek porzucił narzędzie i ruszył w jego kierunku. Marek wysiadł z samochodu. Gdy się zbliżył, zobaczyli, że z bronią w ręku. Weronika nie słyszała słów Bartka, ale odpowiedzi nie było. A właściwie odpowiedzią były dwa strzały. Przyjaciel zgiął się wpół i padł na kolana, po czym przewrócił się na ziemię. Zapewne dostałby więcej kul, gdyby nie Hugo. Jak wystrzelony z procy skoczył w obronę. Miażdżącym uściskiem chwycił zębiskami przedramię napastnika. Broń upadła na ziemię. Zaczęli się szarpać – pies i człowiek. Z gardła zwierzęcia dobywał się morderczy charkot. Marek kłął i próbował się uwolnić. Kopał i walił go pięścią wolnej ręki po łbie. Bezskutecznie. Cofał się zatem, aż nastąpił moment, gdy Hugo puścił jego rękę, dając szansę na uwolnienie się. Facet dopadł samochodu, w którym się zatrzasnął. Widać było przez szybę, jak wściekle walił rękoma w kierownicę i zapewne złorzeczył. W końcu zapuścił silnik i wzbijając żwir spod kół, odjechał w stronę głównej drogi.

Werka wreszcie uwolniona doskoczyła do Bartka, który gramolił się niezgrabnie i usiłował się podnieść.

– Nie ruszaj się! – Uklękła przy nim i próbowała ocenić jego stan.

Bartek wciąż trzymał się za brzuch, a pomiędzy jego palców powoli sączyła się krew.

– Idź po pomoc. Wytrzymam – stęknął.

– Masz telefon? – spytała.

– Został w samochodzie. Idź. Nic mi nie będzie.

Przez krótki moment Weronika zastanawiała się, gdzie znajdzie najbliższe wsparcie. Biegiem ruszyła do Stefaniaków. Zdyszana i rozemocjonowana wpadła do sklepu.

– Dajcie jakiś telefon! – wysapała.

Wszyscy znieruchomieli.

– Dorota żyje. Potrzebna jest pomoc. Cholera, co tak stoicie, niech mi ktoś pożyczy tego pieprzonego telefonu!

W jej stronę wyciągnęły się ręce z aparatami. Chwyliła najbliższy. Bez problemu wybrała numer alarmowy.

– Potrzebne są dwie karetki do Powykopek – prawie krzyczała w słuchawkę. – Mężczyzna około trzydziestki, rana postrzałowa brzucha. Przytomny. Traci dużo krwi. I kobieta też w tym wieku, wysoka temperatura, nieprzytomna. – Podała dokładny adres.

– Przyjęłam – usłyszała.

Nie czekała na reakcję świadków. Oddała telefon właścicielowi i ruszyła, by sprawdzić, co z przyjaciółmi. W sklepie jakby ktoś granat rzucił. Wszyscy ruszyli za nią.

Werze coś świtało na temat zabezpieczenia miejsca zbrodni, więc usiłowała powstrzymać sąsiadów przed wejściem na posesję. Sama dobiegła do wciąż leżącego Bartka, padła przy nim na kolana niemal bez siły. Otworzył oczy.

– Zaraz przyjadą. Trzymaj się – wyszeptała.

Ktoś jednak podszedł i zarzucił jej kurtkę na plecy, ktoś inny podłożył swoją pod głowę chłopaka.

– Nie ruszaj pan tej broni – usłyszała za sobą.

– Masz pan rację – ktoś odpowiedział.

– Kurdesz, mówiłam, żeby tu nie łazić i nie zacierać śladów.

Po chwili pojawili się Stefaniakowie.

– Gdzie Dorota? Mówiłaś, że znalazłaś Dorotę.

Weronika miała tak ściśnięte gardło, że nie była w stanie wydobyć głosu.

– Tam – wykrztusiła, wskazując wylamane drzwi piwnicy.

Rzucili się w ich kierunku. Niemał spadając ze schodów, oboje znaleźli się na dole. Ledwie poznali córkę pod stertą łachmanów. Pani Stefaniakowa uknęła przed nią.

– Córka – łkała. – Ty żyjesz! Bogu niech będą dzięki!

Ale kiedy dotarło do niej, w jakim stanie jest Dorota, zawyla jak zwierzę.

W kilka minut na Markowym podwórku pojawił się radiowóz. Kto był pierwszy?... Oczywiście! A chwilę po Korczyńskim karetka.

Funkcjonariusz próbował rozpytywać, co się tu wydarzyło, ale nikt, na kogo trafił, nie miał pojęcia o zajściu. Widzieli tylko efekty.

– Później, panie aspirancie – ratownik medyczny zdecydowanym gestem odsunął policjanta. – Nie widzi pan, że zeznania muszą zacząć? – I zwrócił się do Weroniki. – To pani nas wzywała? Mamy tylko jeden ambulans – oznajmił.

Weronika wskazała oboje pacjentów. Medycy zdecydowali, że zabiorą Bartka. Zanim go umieścili w karetce i odjechali, Wera przyprowadziła swój samochód. Ratownicy pomogli ulokować w nim Dorotę. Rodzice pojechali razem z nią.

Kornacki został na miejscu w oczekiwaniu na techników.

Ten sam szpital, taki sam korytarz, tylko powód wizyty odmienny.

Weronika siedziała na takim samym niebieskim i zimnym krzeselku, tyle że tym razem nie była sama. Zarówno Dorota, której stan był bardzo ciężki, jak i Bartek po zabiegu usunięcia kuli mieli trafić na ten sam oddział – intensywnej opieki medycznej. Tyle że ona na salę ogólną, jak to określiła pie-

łęgniarka „wielostanowiskową”, a on do izolatki. Ponieważ jeszcze nie dotarło do policyjnej świadomości, czy to on strzelał, czy do niego strzelano, postawiono pod jego drzwiami policjanta. Werka zżymała się, że wyznaję filozofię jak w dowcipie: „on ukradł, czy jemu ukradli, w każdym razie jest zamieszany w kradzież zegarka”. Tak czy inaczej, nawet jeśli Bartek odzyska świadomość po narkozie, Wery do niego nie wpuszczą. W tej chwili wraz z rodzicami Doroty czekała na informacje o stanie zdrowia obojga. Czas im się dłużył, tym bardziej że nie bardzo potrafili ze sobą rozmawiać.

W ten nastrój napiętego oczekiwania wkroczył sierżant Abramski.

– Ponoć jest pani jedyną osobą zorientowaną w przebiegu wydarzeń. Inni świadkowie na miejsce zająścia przybyli niejako po fakcie.

Przeszli w odosobniony kąt korytarza. Weronika bez wdawania się w szczegóły opowiedziała przebieg wypadków – od zniknięcia Doroty przez powody jej wizyt u Marka, znalezienie dokumentów wyjazdowych Jagody, uwięzienie ich obu w piwnicy i wreszcie mrozące krew w żyłach sceny, które rozegrały się na podwórku.

– Trwają poszukiwania sprawcy – zapewnił ją Abramski. – Jeśli nadal porusza się samochodem, to szybko go namierzemy. A panią będziemy prosili, żeby nas pani odwiedziła i złożyła zeznania do protokołu. Wie pani: szczegóły, osoby, świadkowie, czas, no i podpisy. I oczywiście, gdyby pani sobie coś przypomniwała, prosimy o kontakt. Numer pani ma... – bardziej stwierdził niż zapytał.

– Numer mam, ale telefonu nie mam. Został gdzieś u tego... – I chociaż brzydkiego słowa nie wyartykułowała, łatwo było się domyślić, u kogo. – Muszę go odzyskać.

– Bylibyśmy wdzięczni, żeby pani zechciała dokonać tych formalności jak najszybciej, najlepiej zaraz, póki pamięć świeża.

Weronika zastanawiała się chwilę. Oceniała sytuację w szpitalu. Wiedziała, że nic tu nie pomoże ani w najbliższym czasie nie dowie się niczego nowego. Dorotę wciąż diagnozowano. Podłączono jej kroplówkę, bo była odwodniona. Prześwietlenia, badania krwi, pewnie dostanie antybiotyki i coś na wzmocnienie. Muszą ją umyć, bo o własnych siłach nie stanie pod prysznicem. Bartek jeszcze leżał na stole. Zanim skończą, zanim się obudzi po narkozie i ochłonie po przejściach... Minie kilka godzin. Najważniejsze, żeby teraz oboje dochodzili do siebie.

– Pojadę od razu z panem – zadeklarowała.

Jej zeznania Abramski spisywał w tym samym pokoju, gdzie spotkali się wcześniej. Również i tym razem odbywało się to w obecności inspektora Wojnickiego.

Powtórzyła to samo, co opowiadała wcześniej, ale teraz dodała dowód w postaci biletu lotniczego Jagody. Pistolet z odciskami Marka już mieli.

– Możemy udowodnić jedynie uprowadzenie, bezprawne pozbawienie wolności... może ze względu na stan pani Doroty uda się dolożyć, że ze szczególnym udręczeniem, nielegalne posiadanie broni (to nic, że to była poniekąd pani broń, wszedł w jej posiadanie). I jeszcze mamy usiłowanie zabójstwa... Jeśli dodamy atak na panią, to nawet dwa usiłowania. Chociaż może to być zakwalifikowane jako naruszenie nietykalności cielesnej. Zależy, jak dobrą będzie miał papugę. Reszta to poszlaki.

– Przecież przyznał się – protestowała Weronika.

– Czy powiedział: „tak, zabiłem narzeczoną”? Nie. Jedyne stwierdził, że wiedział, że chce go porzucić.

– Swoją drogą, jaki cyniczny... Zrzucił z mostu, a potem poszedł do jej rodziców i udawał, że na nią czeka. To trzeba być wyjątkowym.... – Wera powstrzymała się od użycia słowa, które cisnęło jej się na usta.

– Nie znamy kolejności wydarzeń tego dnia. Nie da się precyzyjnie określić godziny śmierci Jagody, a co za tym idzie, trudno będzie to udowodnić. Raczej mu się upieczce.

– A pozostałe kobiety?

- Przeprowadzimy okazanie, może świadkowie porwania pani Natalii go rozpoznają.
- Musieliby wytrzeźwieć – Wera wąpiła w ich wiarygodność.
- Spróbujemy – zapewnił, ale bez przekonania.

Do pokoju zapukał jakiś mężczyzna po cywilnemu.

- Mamy coś – rzucił przez uchylone drzwi, ale zamilkł, gdy zobaczył Weronikę.

Wojnicki podniósł się zza biurka i ruszył na korytarz. Zanim zniknęli, Wera zdążyła usłyszeć:

- No, co tam?

Razem z Abramskim czekali w milczeniu na powrót inspektora. Przez ten czas drukarka wypluwała spisane zeznania.

- Znaleźli samochód – obwieścił Wojnicki po powrocie. – Zaparkowany, a może porzucony przed motelem w Andrzejowie. Zapłacił kartą za pokój, ale nie ma go tam. Jest szansa, że wróci. Chłopaki zrobią mu niespodziankę.

- Jeśli zorientuje się, że to zasadzka, ukradnie następny samochód i znów zwieje – dywagowała Wera.

- Skąd przypuszczenie, że ukradnie samochód? Przedtem nigdy tego nie robił – zainteresował się Abramski.

- A jednak...

I Weronika trochę relacjonując fakty, trochę dedukując na głos, przedstawiła swoje spostrzeżenia z tym związane.

- Pamiętają panowie spaloną furgonetkę na polu w Powykopkach? Padło na Bońka... jak mu tam...

- Kordaś – usłużnie podsunął sierżant.

- Właśnie. I ten Kordaś, jak go zatrzymywaliście, krzychał: „Znowu mnie wrobił!” – kontynuowała.

- Zgadza się.

- Nie „Wrobił mnie”, tylko „Znowu mnie wrobił”, czyli to nie było pierwszy raz. Kordaś może jest na tyle głupi, żeby kraść samochody, ale nie aż tak, żeby dać się nagrać na miejscu planowanego przestępstwa.

- Nooo, tam nawet wiszą tablice informujące, że obiekt jest monitorowany – wtrącił Abramski.

- Właśnie. A jeśli już o intelekcie mowa, to wcześniej wam mówiłam, że Boniek nie potrafiłby zepsuć monitoringu. Za to wiem, kto by umiał.

Mężczyźni spojrzeli na nią pytająco.

- Ten sam, który u mnie i u Doroty zainstalował program szpiegowski. I wiem, po co to zrobił... Przynajmniej u mnie... – Zawiesiła głos. – Stwierdził, że jestem za blisko rozwiązania kwestii zaginięć.

- Chyba się pani zagalopowała – Wojnicki odchylił się na swoim fotelu.

- Wcale – Weronika ciągnęła ze stoickim spokojem, bynajmniej nie zbita z tropu wątpliwościami dochodzeniowców. – Tą furgonetką chciał mnie zabić. Na zderzaku mojego auta powinien pozostać ślad lakieru, a maszynista lokomotywy zapewne odnotował gdzieś ten przypadek jako zagrożenie na przejeździe. A winowajca musiał mieć kozła ofiarnego.

- To czemu Boniek... znaczy Kordaś napadł później na niego? – spytał zaczepnie Abramski.

- Nie wiemy, kto na kogo napadł – zauważyła Wera.

- Kurka wodna, żeby nie powiedzieć dosadnie! Musimy jeszcze raz przesłuchać Kordasia. Ciekawe, co teraz nam powie – sapnął inspektor.

- Jeśli coś w ogóle powie, bo jak się zaciął, to nadal będzie milczał – dywagował sierżant.

- Może jak uwierzy, że wy mu wierzycie, to zacznie zeznawać – zastanawiała się Weronika.

- Taaak – zaczął Wojnicki filozoficznie. – Najważniejsze to uwierzyć, że uwierzą... Dawać mi tu Kordasia!

– A mnie zmyliło to, że pierwszego dnia, kiedy go spotkałam, miał w rękę chryzantemę – westchnęła na odchodne.

– Chryzantemę? – spytali zgodnym chórem, nie rozumiejąc.

– Gdyby wtedy szedł z różą...

Kiedy Weronika wychodziła z komisariatu, było już ciemno. Pojechała prosto do szpitala, w drodze posilając się snickersami. Nie było dziś czasu na obiad. Czuła się brudna, zmęczona i wyczerpana psychicznie. Od momentu uwolnienia zdążyła jedynie obmyć twarz i porządnie wyszorować ręce w szpitalnej toalecie. Marzyła o prysznicu i łóżku. Jednak wiedziała, że przez telefon niczego się nie dowie.

– Czy można już odwiedzić Bartosza Gabriela, tego od postrzału? – spytała młodego lekarza siedzącego przy komputerze w recepcji.

– A pani to kto? – spytał obcesowo.

– Żona – skłamała bez zmruczenia oka.

– Gabriel nie ma żony – odparł rozbawiony. – Pewnie Weronika? – domyślił się. – I czemu się dżiwisz? – Przeszedł na ty. – W tej dziurze wszyscy wiedzą o wszystkich. Sala siedemnaście. Można wejść, bo już odwołali stojkowego. Tylko krótko, bo jak nie zginął od kuli, to ty go wykończysz.

– Dzięki – rzuciła przez plecy, odchodząc.

Bartek błady jak poduszka, na której leżał, podpięty był do aparatury. W jego ramieniu tkwił wenflon połączony z kroplówką. Płyn z umieszczonej na wieszaku butli skapywał miarowo w jego żyłę mniej wężej w tempie popiskiwania monitorów. Kiedy skrzypnęły drzwi, otworzył oczy.

– A tę Cygankę to zabiję – wyszeptał.

– Bredzi? – pomyślała Werka, ale podeszła do łóżka i uważnie przyjrzała się przyjacielowi. Nie wyglądał na nieświadomego.

– Cyganka? – spytała.

– Wyglądała na autentyczną. Dałem sobie powróżyć, bo wiedziałem, że nie mam przy sobie żadnej kasy oprócz jakichś drobniaków, więc mnie nie obrobi... W ustach mi zaschło, a jeszcze nie mogę pić. – Suchym językiem powiódł po spierzchniętych wargach. – Powiedziała, żebym się wystrzegał broni. Myślałem, że to takie głupie gadanie do wszystkich facetów w wieku poborowym. Niech ją tylko dorwę...

– Muszę pana ostrzec, że to są groźby karalne – Weronika odetchnęła, że z głową Bartka wszystko w porządku.

– Rozumiem, pani mecenas – chciał się roześmiać, ale namiastka uśmiechu spelzła mu z twarzy, bo spowodowało to ból. Zaklął. – Już mi powiedzieli, że z Dorotą nie jest najlepiej, ale wyjdzie z tego.

– To wiesz więcej ode mnie.

– Złapali go? – spytał.

– Nie. Znaleźli tylko samochód... Czekaj... – Werce coś zaczęło się kojarzyć. – Pamiętasz, jak wracaliśmy z tymi jabłkami... Znaczy już bez jabłek, ale tego wieczoru? Przy drodze stał jakiś durnie zaparkowany samochód. Powiedziałaś, że wiesz, czy...

– No, oczywiście. Marka.

– Oczywiście – powtórzyła i kiwnęła głową na znak, że też nie ma co do tego wątpliwości. – Ja nie byłam pewna, jak zobaczyłam, czym jeździ, bo w nocy wszystkie koty... i tak dalej.

– Co ci przyszło do głowy?

– A pamiętasz, w którym to było miejscu? – Zignorowała jego pytanie. – Bo ja przypominam sobie tylko słupek kilometrowy.

– Między ubojnią a torami. Gdzieś w okolicach tego paśnika, co go prawie przy samej drodze postawili. Za dużo kilometraków to tam nie ma, bo je latem pijany kombajnista skosił i do tej pory nie zamontowali nowych. A o co chodzi? – zażądał wyjaśnień.

Weronika wybiegła z sali, wpadając wprost w objęcia lekarza, z którym przed chwilą rozmawiała.

– Masz telefon? – Niemal wyszarpnęła mu komórkę z kieszeni fartucha. Numer do prowadzącego dochodzenie składał się z powtarzalnych cyfr, więc był łatwy do zapamiętania. – Inspektor Wojnicki? W którym miejscu znaleziono Natalię? Zbadajcie samochód. Tam muszą być jej ślady.

Weronika obawiała się, że Marek, wiedząc, że pali mu się ziemia pod nogami, zdecyduje się na zacieranie wszelkich śladów. Pierwsze, co mógłby zrobić, to spalić własne auto. Ogień był jego ulubionym narzędziem. Prawdopodobnie samochód był niemyym świadkiem wielu jego występków. Być może pamięta każdą z zaginionych kobiet i tylko on (samochód) może być źródłem dowodów oskarżenia. Pozostawało ufać, że technicy coś interesującego znajdą... Jeśli zdążą.

Nie, Marek nie spalił samochodu, żeby pozacierać ślady. Auto trafiło do aresztu, w przeciwieństwie do właściciela. Ten przepadł. Budziło to obawy wszystkich. Już każdy w Powykopkach zdawał sobie sprawę, że z głową ich sąsiada było nie w porządku. Bardzo szybko wieść obiegła nowina o uwolnieniu Doroty i Miastowej. Jeśli potrafił zamknąć kobiety w piwnicy i trzymać w zimnie chorą dziewczynę... a jeszcze nie wiadomo, jakie miał względem nich zamiary... to można mu było przypisać każdą zbrodnię. Osoba Marka stała się tematem plotek w całej okolicy. W tych legendach przypisywano mu również grzechy niepopelnione. A to komuś zginął rower z komórki, a to gdzieś stukło się okno, a to czyjeś koło złapało gwoździa – wszystkiemu był winien Marek. Lista przewinień powiększała się w miarę rozchodzenia wieści.

Tymczasem Marek nie próżnował. I ta aktywność w końcu go zgubiła.

Mieszkańcy wioski przekonali się o niej już w nocy. Znow obudziło ich wycie syren. Podekscytowani ostatnimi wiadomościami trwali w stanie podniecenia. Nic więc dziwnego, że szybko zareagowali na kolejny pożar. Jednak nie dość szybko. Chociaż... Ogień został podłożony w sposób przemyślany i wyjątkowo perfidny. Ktoś... chociaż tym razem nikt nie miał wątpliwości, kto... Ktoś obrzucił koktajlami Mołotowa dom i sklep Stefaniaków. Płonące butelki powrzucono przez prawie wszystkie okna. Państwo Stefaniakowie mieli dużo szczęścia, że żyją i nikt z nich nie ucierpiał w pożarze. Mama Doroty postanowiła spędzić noc przy łóżku córki, na co jej w szpitalu pozwolono, więc jej na miejscu zdarzeń nie było. Pan Stefaniak w czasie ataku akurat szykował się do kąpeli. Wieczorem wrócił z miasta i zmęczony przeżyciami przysnął w fotelu. Kiedy się obudził, było już na tyle późno, że posłał sobie łóżko i poszedł do łazienki. W którymkolwiek pokoju by się znalazł, mógł zostać poparzony mieszkanką zapalającą. Początkowo próbował gasić pożar kocem ściągniętym z kanapy, ale szybko się okazało, że jego starania są daremne. Musiał się ratować ucieczką z płomieni. Przytomnie zgarnął po drodze telefon i wezwał straż. Uratował z pożogi jedynie dokumenty. Ogień rozprzestrzenił się szybko, ale zdążył wyprowadzić samochód z garażu.

Stefaniak był w samych spodniach koszuli. Najbliżsi sąsiedzi jeszcze nie spali i wylegli przed dom, żeby pomóc. Niestety, ogień był już zbyt rozległy, żeby go gasić wiaderkami, a przy wiejskich hydrantach brakowało węży. Te miała tylko straż. W zaledwie kilka minut przed sklepem zebrała się nieomal cała wieś. Pozostało podziwiać niszczącą siłę żywiołu.

Strażacy przyjechali nawet szybko, ale nie dość, by cokolwiek uratować. Dogaszanie pogorzelska trwało do późnej nocy. Właściciel sklepu początkowo bezsilnie miotał się między druhami, aż w końcu zrezygnowany i zropaczony usiadł na rowie i zapłakał.

– Stefaniak, gdzie wy się podziejecie? – spytał ktoś z tłumu.

– Chodźcie do mnie – odezwał się gospodarz mieszkający przez płot ze sklepem. – Znajdziemy wam jakieś ciuchy na grzbiec.

Weronika wszystko przespała. Gdy wróciła do domu, czuła się tak zbrukana minionymi wydarzeniami, że ciuchy, które miała w tym czasie na sobie, z wyjątkiem kurtki i butów, po prostu wyrzuciła. Dłu-

go stała pod strumieniem gorącej wody. Przeszło jej przez głowę, że przelewa szambo, ale miała to w nosie. Pomimo dojmującego głodu nie była w stanie nic przełknąć. Wypiła tylko jogurt (no dobrze, duży) i poszła spać. Po nocy spędzonej na piwnicznej podłodze, po dwóch dniach pełnych emocji po prostu padła jak nieżywa.

O pożarze dowiedziała się dopiero około południa, kiedy podjechała kijanką po zakupy. W miejscu sklepu zastała pogorzeliśko. Ten widok ją przeraził. Domyśliła się, że dom nie spłonął tak doszczętnie sam z siebie. Był zbyt porządnym... Był... Wera zastanawiała się, dlaczego Stefaniaków to spotkało. Dlaczego tylko ich? Tylko? Wykręciła samochodem z piskiem opon i paląc gumy, ruszyła zobaczyć, co z domem Bartka. Stał na miejscu nienaruszony. Odetchnęła z ulgą.

– Ciekawe...

Przy łóżku Bartka zgromadziło się grono żądnych informacji – Wojnicki z Abramskim i lekarz z siostrą oddziałową.

Pielęgniarka niosąca tacę z przyborami do zmiany opatrunku, w tym nerkę z zabrudzonymi gazikami, minęła się w drzwiach z Weroniką. Dziewczyna rzuciła okiem na tacę. Odetchnęła, nie znalazłszy śladów krwi.

– Panowie – lekarz zwrócił się do policjantów. – I panie – dodał na widok Werki. – Nie męczymy pacjenta. Kilka minut. Najwyżej jutro dopytacie o resztę. Trochę się przy nim napracowaliśmy, więc nie zepsujcie tego.

I wyszedł.

Wojnicki w pierwszej chwili chciał wyprosić Weronikę na czas przesłuchania Bartka, ale machnął ręką.

– Skąd się pan tam w ogóle wziął? – Abramski już otwierał notes. – Znaczący na tamtym podwórku.

– Najpierw nie mogłem się dodzwonić do Wery. Nie odbierała. Teraz już wiadomo, dlaczego. A później był komunikat, że abonent nieobecny albo ma wyłączony telefon. Pomyślałem, że jest zajęta i oddzwoni, ale nie oddzwaniała. Przyszło mi do głowy, że nie chce ze mną gadać, ale nie wiedziałem, z jakiego powodu. Przy czym, wie pan, jak to z babami...

Weronika znacząco chrząknęła.

– No i czego się burzysz? – zareagował Bartek. – Różnie z wami bywa... Ale potem chciałem sobie smażyć placków kartoflanych i zabrakło mi oleju. No to wiadomo... Poszedłem do Stefaniaków. Już miałem wychodzić z zakupami, jak z zaplecza wyszedł Stefaniak i mówi: „E, zaczekaj! Ty się zadajesz z tą miastową, to weź jej powiedz, żeby zabrała swój samochód, bo tak go zaparkowała, że już drugi dzień nie możemy towaru rozładować, trzeba latać dookoła tej jej landary”. No to dodałem dwa do dwóch i mi wyszło, że jeśli nie odbiera telefonu i zostawiła na tyle czasu samochód pod sklepem, to chyba coś z nią nie w porządku. No i zacząłem pytać: Kiedy tu była? Czy mówiła, gdzie się wybiera? I w końcu, co kupiła? Jak Stefaniakowa wspomniała o czekoladkach, to zastanawiałem się, po co jej tyle słodczy. Wyszło mi, że takie lepsze to się w prezencie kupuje. A że Werka tu nikogo nie zna oprócz Gwidonów i Majewskich, a to nie ich żadne imieniny, to dalej się zastanawiałem. Wyszedłem przed sklep, a przy jej samochodzie kręcił się Hugo. I tak właściwie to bardziej dla jaj mówię: „Gdzie ta twoja pani?”. A on, jakby zrozumiał, nos do ziemi, zakręcił się i idzie. To ja za nim. Jak zbliżyliśmy się do domu Marka, to nawet sobie pomyślałem, że pewnie wzięta te czekoladki, żeby odwiedzić chorego. Więc wbijam się na podwórko. Dom zamknięty, samochodu nie ma, ale tak na wszelki wypadek krzyczę: „Marek! Werka!”. No i się znalazły obie. Mówiąc szczerze, to ja nie wierzyłem, że Dorota jeszcze żyje.

Kiedy Bartek już bardzo zmęczony kończył swoją relację, odezwał się telefon Wojnickiego.

– Co tam? – rzucił w słuchawkę.

Słuchał dość długo, marszczył brwi i co chwila spoglądał na Weronikę. Wszyscy z zaciekawieniem czekali, aż zakończy rozmowę.

– Dobra, dzięki. Odwołaj chłopaków – wydał polecenie podwładnemu po drugiej stronie łączy i zwrócił się do obecnych: – Mamy go.

– Wrócił do hotelu? – chciała wiedzieć Wera.

– Nie. – Inspektor sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej blister jakichś leków. – Mogę? – spytał Bartka i nie czekając na pozwolenie, popił tabletkę z jego kubka. Skrzywił się, bo szpitalna herbata była obrzydliwa. – Zgarnęliśmy go u pani.

– U mnie?! Ale... – Wera była tak zaskoczona, że zabrakło jej słów.

– Przewidzieliśmy, że pożar u Stefaniaków to dopiero rozgrzewka. Dlaczego właśnie u nich, skoro to pani i pan Gabriel w jego mniemaniu najbardziej go skrzywdzili? Chłopaki już mu zadali to pytanie. U pani w nocy był ten pies i bał się nie tylko, że zaatakuje, ale że narobi jazgotu i go wyda. A u pana – zwrócił się do Bartka. – Akurat pod pana płotem zatrzymali się Grobicki i Słomczyński. Ponoć plotkowali jak baby pół godziny i klócili się zawzięcie, aż mu się znudziło czekać. Więc całą złość skupił na sklepie. A dziś spróbował nadrobić, ale go przejrzeliliśmy. Chłopaki z powiatu pomogli obstawić wszystkie miejsca. Rozłożyli się z punktem obserwacyjnym u Łopatkowej. I wpadł. Mało go nie przegapili, bo nie było go za bardzo widać przez drzewa, co tam rosną. Usiłował pokonać płot i się pod nim zawalił tak szczęśliwie, czy dla niego nieszczęśliwie, że ma złamaną rękę i już nawet nie próbował uciekać.

– A mówią, że prowizorki są najtrwalsze – westchnęła Weronika. – Ta nie była. Bo pewnie przechodził przez to przeszło, które ucierpiało pod topolą. W innym miejscu by mu się udało dostać do środka.

Epilog

Gdyby Marek nie pękł i nie zaczął się chwalić podczas dochodzenia, proces oparty byłby na poszlakach. Zeznania świadków i znalezione dowody wskazywały, że znał wszystkie zaginione kobiety, ale nie dowodziły, że był mordercą. Owszem, Natalia i córka dyrektora domu dziecka jechały jego autem, ale jakie były ich dalsze losy? Dopiero jak zaczął mówić, wydało się, dlaczego dom był czysty i nic w nim ani w gospodarstwie nie znaleziono przy przeszukaniu. Narzędzia zbrodni i pamiętki po kobietach zamiast trafić na dno rzeki, upchnięte zostały na cmentarzu, w donicy przy grobie jego matki. Nawet psycholog nie był w stanie określić, co się działo w jego głowie. Możliwe, że był to jakiś chory hołd dla matki albo odwrotnie, chęć dokuczenia jej. Jego proceder prawdopodobnie nie miałby końca, bo każdą kobietę, która była dla niego miła albo poprosiła go o jakąkolwiek pomoc, uważał za swoją. Nie przyjmował do wiadomości, że uśmiech był grzecznościowy. „Najpierw coś chciała, a potem go zostawiała”. Nie rozumiał, że gesty grzeczności nie oznaczają deklaracji czy przyzwolenia. „Uśmiechnęłaś się, to znaczy, że chcesz być moja”. Żadna odmowa nie wchodziła w rachubę. Na szczęście był odludkiem i niewiele kobiet miało pecha spotkać go na swojej drodze.

Córkę dyrektora rodzinnego domu dziecka poznał, gdy spadł jej łańcuch w rowerze. Zaprosił „na kawę”. Kiedy kawa okazała się propozycją nie do odrzucenia, a jednak została odrzucona, bo umówiła się z chłopakiem z Andrzejowa, nie potrafił pohamować wściekłości. Przy czym za każdym razem cała złość skierowana była na ukaranie. Żadnej ze swoich ofiar nie zgwałcił. To też było osobnym rozdziałem badań – może nie mógł i dlatego wyładowywał się w innego rodzaju brutalności.

Klientka SPA przysłała do jego punktu usługowego, żeby kupić ładowarkę, bo nie zabrała swojej z domu. Nudziła się tu jak mops, więc trochę z nim poflirtowała. W międzyczasie wydało się, że ma męża. No i już nie wróciła do ośrodka. Później pojawił się małżonek ze zgłoszeniem zaginięcia, stąd poszukiwania.

Z bibliotekarką nawet kilka razy razem pili. To była kobieta rozrywkowa i nieznająca monogamii. Dowiedział się, że spotyka się z innymi i nie mogło mu się to spodobać.

Natalia miała to nieszczęście, że zobaczył ją w towarzystwie Bartka. Pomyślał, że jeśli Bartek „ukradł mu kobietę”, to nie będzie miał żadnej. Nie wiedział, że to znajomość służbowa. Była z nim, więc musiała zginąć.

Dorotę porwał prawie spod drzwi komisariatu. Wgrywał Stefaniakom Wi-Fi. Nie było to całkiem proste, bo oprócz laptopa ich córki miała na tym działać kasa fiskalna i terminal płatniczy w sklepie. A kiedy wyszło na jaw, że zainstalował szpiega i dziewczyna wykrzyczała mu, że idzie na policję, szukał najlepszego momentu na zemstę. Widział, jak pod hipermarketem wsiada z Korczyńskim do radiowozu, a kiedy aspirant zostawił ją przed komisariatem i odjechał kawalek, żeby zaparkować, Dorota przepadła.

Dla rodzin kobiet najważniejsze było, że odnaleziono ciała. Co prawda wszyscy żyli nadzieją, że kiedyś wrócą całe i zdrowe, ale oczekiwanie spalało ich i rozbijało psychicznie. Niebawem będą mogły odbyć się pogrzeby, bo wszelkie badania w zakładzie medycyny sądowej już się zakończyły.

Zakończył się również pobyt w areszcie Kordasia. Biedak odetchnął, ale nie wyzbył się żalu do policji. Nie bez podstaw. Faktycznie Marek wrobił go dwa razy. Po raz pierwszy, kiedy wmówił mu, że firma transportowa (ta od białej furgonetki) szuka kierowcy i Kordaś świetnie by się do tej roboty nadawał.

– Co będziesz za grosze zmiatał liście z kortu. Tam zarobisz kupę kasy i jeszcze za granicę sobie pojeździsz – nęcił.

Zapewniał, że już „rozmawiał z panem Jankiem” i pan Janek go wkręci do tej roboty.

– Jak tam pójdziesz, to szukaj go na placu.

I wpakował go prosto pod obiektywy kamer ochrony.

Kiedy Kordaś wrócił do niego z pretensjami, że żadnego pana Janka tam nie było i jeszcze policja się go czepia, że ukradł jakiś samochód, Mareczek włożył mu w ręce nóż, podstawił pod nos jakiś sznurek i mówi:

– Przytnij mi tu – stąd ślady Kordasia na nożu. A potem grzecznie podziękował, odebrał narzędzie i usiłował nim biedaka raz na zawsze uciszyć. Stąd krew. A radiem dostał w samoobronie. Kordaś przestraszył się, że go zabił, i zwiął.

Cokolwiek Marek robił, było to tak wyrafinowane, że tylko przypadki sprawiały, że jakiś szczegół jego poczynań wychodził na światło dzienne. I we wszystkim palce maczała Miastowa. Należało się jej pozbyć. Ją i Dorotę ocaliło jedno – Marek szukał pomysłu na oryginalne pozbycie się zwłok. ORYGINALNE – takiego właśnie słowa użył.

Zanim Dorota i Bartek wyszli ze szpitala, Weronika złożyła wizytę mecenasowi Kwiatkowskiemu. Długo rozmawiali i tym razem również nie obeszło się bez pizzy. Prawnik jeszcze do późna siedział i prowadził rozmowy telefoniczne. Wrócił do domu wykończony, ale zadowolony.

– Załatwione – zameldował Werce SMS-em.

Jakież było zdziwienie Stefaniaków, kiedy u rodziny, która tymczasowo ich przygarnęła, pojawiło się dwoje pracowników nieznanego nikomu fundacji. Najpierw przeprowadzili skrupulatny wywiad. Wynikało z niego, że rodzina została ze zgliszczami, a oprócz tego ze splatą kredytu zaciągniętego swego czasu na rozbudowę domu i sklepu. Oszczędności stopniały do zera, bo w poszukiwaniu córki zaangażowali detektywa i jasnowidza, którzy oskubali ich ze wszystkiego, oczywiście bez efektów. Było jeszcze do zapłacenia kilka faktur hurtownikom za towar, który spłonął, ale że to ziomki, więc odroczyli terminy. Jednak dług pozostaje długiem. Stefaniakowie nie mieli ubrań poza kilkoma kupionymi po pożarze sztukami bielizny, żadnych mebli, wyposażenia domu, którego zresztą też nie mieli. Z pogorzelniska wykopali garnki, ale i tak do niczego się nie nadawały. W tych okolicznościach trudno im było cieszyć się, że żyją. Szczególnie że rodzina przygarnęła ich z obowiązku i na każdym kroku wypominała wsparcie. Ten nastrój doskonale odebrali wrażliwi na krzywdę ludzką działacze.

– Jesteśmy od pomagania ludziom w nagłej potrzebie – wyjaśnił Stefaniakom mężczyzna. – Dostaliśmy zgłoszenie państwa sprawy.

– Ale my nie zgłaszaliśmy nikomu – zdziwiła się mama Doroty.

– Sąsiedzi zgłosili – poinformowała kobieta.

– Którzy? – chciał wiedzieć ojciec.

– Jesteśmy zobowiązani do dyskrecji. Mówiąc szczerze, pierwszy raz zdarza się, żeby jednocześnie zgłoszono nam problem i jego rozwiązanie. Znalazł się darczyńca, który zobowiązał się pokryć koszty związane z odbudową państwa domu. Muszą państwo tylko wyrazić na to zgodę i podpisać dokumenty.

– Ale jak to? – Stefaniakowie nie mogli uwierzyć.

– To będzie proste. Ekipa remontowa wystawia fakturę, zakup wszystkich materiałów budowlanych musi być udokumentowany. My dostajemy rozliczenie, a darczyńca pokrywa koszty.

– Ale kto to i dlaczego?

– Życzył sobie zachowania anonimowości. Oferuje darowiznę dedykowaną.

– A to legalne, żeby ktoś nam dom...

– Jak najbardziej.

– Jezusku! – mama Doroty osunęła się na fotel.

– Ci to mają szczęście – zawistnie wycedziła kuzynka Stefaniaków.

– Bo zostali na łasce nie do końca życzliwych ludzi, stracili wszystko, co mieli, a ich córka ledwie uszła z życiem? – Kobieta zmierzyła zimnym wzrokiem kuzynkę. – Ma pani dziwne wyobrażenie o szczęściu... To jak? – Pytanie skierowane było do Stefaniaków. – Jeśli mają państwo jakieś wątpliwości, to proszę skontaktować się z prawnikiem. Proszę, to jego wizytówka. Dla jasności, on też działa pro bono.

– Za dobre zakończenia! – Bartek wznosił toast.

Siedzieli z Weroniką przy kominku, w którym wesoło trzaskał ogień. Hugo wygrzewał się po dwudniowych łajdactwach. Nie dość, że pochrapywał, to jeszcze puszczał bąki.

Zapowiadał się miły wieczór i żadne z nich nie wiedziało, jak się skończy. Panującą między nimi chemię trudno było ukryć. Rozmowa się nie kleiła, a spojżenia były coraz dłuższe i coraz intensywniejsze. Dochodziła północ...

W ten pełen napięcia nastrój wdarło się lomotanie do drzwi. Ktoś bez czekania na zaproszenie wtargnął do wnętrza.

– Nie było tu u was Joanny? – Wiktor obtupywał buty ze śniegu. – Pojechała rano po karmę dla kotów i przepadła. W tym sklepie, gdzie zawsze się zaopatruje, jej nie widzieli. Wymogłem przegląd monitoringu w hipermarkecie, też jej tam nie było. Kazała mi czekać na siebie z kawą, bo zaraz wraca. Rosół zostawiła na gazie. Obdzwoniłem koleżanki i rodzinę. Po drodze nie było żadnego wypadku, bo wpłynęłoby do nas zgłoszenie. Zniknęła.

– A Marek siedzi....

Podziękowania

Człowiek głupi się rodzi i głupi umiera

Jeśli myślicie, że autor/pisarz to taki człowiek, który posiadał całą wiedzę świata i wie wszystko, zna się na wszystkim i jest specjalistą od wszystkiego, to muszę zburzyć ten wyidealizowany wizerunek i niniejszym bardzo niektórych rozczarować.

Otóż nie znamy się na każdej dziedzinie wiedzy i działalności ludzkiej. Żeby nie pisać głupot (co niektórym się zdarza), musimy się douczyć. I pragnę podkreślić, że takie studiowanie różnych zawiloci świata uwielbiam. Jak to w mojej rodzinie mawiają: „człowiek głupi się rodzi i głupi umiera”. Może dzięki temu, że piszę powieści, umrę chociaż trochę mniej głupia, bo przy okazji KAŻDEJ dowiaduję się czegoś nowego. W każdym razie bardzo się staram.

Zgłębianie tajników wiedzy wygląda bardzo różnie. Oczywiście najprościej zapytać wujka Google albo ciotki Wikipedii. Jednak nie zawsze to wystarczy, bo oni też nie wszystko wiedzą, a poszukiwania nie są takie proste i wśród sprzecznych informacji trudno się rozeznaczyć.

Co zatem robimy, żebyście nas nie wytykali palcami jako dyletantów?

Ano różnie.

Nie wiem, jak to wygląda u innych (pewnie podobnie), ale u mnie przebiega tak:

Gdy potrzebna mi jest jakaś szersza wiedza, obkładam się literaturą przedmiotu. Tak było, kiedy pisałam „Prażenikę”. Odwiedziłam okoliczne biblioteki, pożyczyłam tomiszcza od Przyjaciół i trzy miesiące siedziałam z nosem w książkach historycznych, robiąc notatki.

Częściej jednak w sprawach doraźnych sięgam po telefon. Zastanawiam się wtedy, kto może to wiedzieć. W pierwszej kolejności zwracam głowę Rodzinie, Przyjaciółom i Znajomym. I tak:

– w sprawach medycznych – byłam już chora „na wszystko” i pielęgnowałam chorych w wielu przypadkach, więc część rozumów sama pozjadałam, ale nie wszystkie i wtedy wspiera mnie doktor nauk medycznych Bogusia;

– we wszelkich kwestiach wsi (bom ja miastowa): plony, hodowla, realia życia itd. moi krewni ze strony Taty, rodzeństwo Marysia, Agnieszka i Wiesiek. Mieszkają na wsi i znają ją jak nikt inny (z tych, których ja znam);

– w tematach prawnych wspiera mnie moja siostrzenica Malwina;

– wątpliwości policyjno-proceduralno-kryminalne rozwiewa z dużą cierpliwością Bogdan – doświadczony policjant, koordynator akcji „Bezpieczne miasto” – współpracowaliśmy, żeby było jeszcze bardziej bezpieczne;

– w sprawach wędkarskich i technicznych dzwonię do Krzysia;

– kiedy mam wątpliwości natury ogólnej (czy to w ogóle coś warte), to ślę tekst do Baśki, Marzenny albo Danuśki – czytają i wytykają.

Oprócz tego wciąż zwracam komuś głowę. Do tej pory konsultowałam wiedzę z:

– naprawiaczem pralek,

– Polskim Związkiem Łowieckim,

– specjalistą od fotowoltaiki,

– weterynarzami,

– dostawcami gazu,

- serwisem pieców gazowych,
- kominiarzem (to mój dawny zawodnik Sebastian, dobrze mieć takie znajomości!),
- właścicielem firmy georadarów,
- strażakiem (kolega szkolny Grześ).

I wszystkim tym osobom oraz tym, o których mogłam przez sklerozę nie wspomnieć, SERDECZNIE DZIĘKUJĘ za życzliwość, cierpliwość, wiedzę i chęć pomocy.

Specjalne podziękowania kieruję również do tych, dzięki którym książki przeze mnie napisane przybierają ostateczną formę:

Pani Halinie Bogusz, która wycina nadmiar zaimków i czuwa nad Opatrznością (sic!),

Pani Ilonie Gostyńskiej-Rymkiewicz za oryginalne okładki, na które patrzy się sercem, bo z sercem były tworzone,

Panu Mariuszowi Dańskiemu za wszystko, co widzicie czarno na białym, czyli przejrzysty, czytelny skład,

Wydawcy za zaufanie i zaangażowanie,

Koleżankom po piórze z tej stajni za stworzenie rodzinnej atmosfery dla wspólnych przedsięwzięć.

Dziękuję również Czytelnikom i Bibliotekarzom, że kupują moje książki, dzięki czemu wiem, że to co robię, ma sens.

I wszystkim, którzy mnie wspierają, dopingują, mobilizują, a nawet jeśli nie chwala, to interesują się moimi poczynaniami.

Dobrze Was mieć!